

MUSSOLINI I ŻYDZI
Włoski dyktator wobec Holokaustu

WYPRAWA KIJOWSKA
Wojsko Polskie walczy nad Dnieprem

WĘGRZY NA SŁOWACJI
Mocarstwowa ekspansja Budapesztu

CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 11(117)/2022 LISTOPAD 2022

HISTORIA

DO RZECZY
MIESIĘCZNIK LISICKIEGO

Przeciw bolszewikom

PAKT PIŁSUDSKI–PETLURA

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296 031

eprasa.pl c6b51



Projekt współfinansowany przez
Polski Instytut Sztuki Filmowej

POLSKI
INSTYTUT
SZTUKI
FILMOWEJ

eprasa.pl c6b514a6e3

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA
REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy:
Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska**
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Kamila Frach, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),
PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek
tel.: 539 953 631, 508 040 664
pon-pt w godz. 10.00-16.00
prenumerata@pmpg.pl
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515, Nr indeksu 296 031
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803
lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, 15 listopada 1920 r.

Marszałek Józef Piłsudski na placu Zamkowym, po wręczeniu mu buławy



FOT. NAC

Od redaktora



Piotr Zychowicz

Pożegnanie

Drodzy Czytelnicy, to ostatni numer „Historii Do Rzeczy", który przygotowałem jako redaktor naczelny. Bardzo Państwu dziękuję za blisko 10 lat, które spędziliśmy razem. Trudno w to uwierzyć, ale w tym czasie ukazało się 117 numerów naszego pisma!

Zawsze starałem się, aby zawarte w nim artykuły były jak najciekawsze. A „Historia Do Rzeczy" nie dała się łatwo zaszufladkować. Przedstawialiśmy historię w sposób realny. Trzymaliśmy się z dala od polityki, ideologii i popularnych mitów, które na ogół mają mało wspólnego z rzeczywistością.

Bardzo dziękuję wszystkim moim współpracownikom, bez których „Historia Do Rzeczy" nie mogłaby się ukazywać. A więc przede wszystkim chłopakom z redakcji: Maćkowi Rosalakowi, Tomkowi Stańczykowi, Piotrowi Włoczykowi i Krzyśkowi Masłoniowi. Specjalne podziękowanie należy się niezastąpionej Eli Statkiewicz.

Dziękuję wszystkim autorom i felietonistom „Historii Do Rzeczy". Grafikom, fotoedytorom, korektorkom i pracownikom działu marketingu. Przepraszam, że nie wymieniam Was wszystkich z imienia i nazwiska, ale nie starczyłoby na to miejsca w tym krótkim felietonie.

Last but not least chciałbym podziękować kolegom z „Do Rzeczy" – Pawłowi Lisickiemu i Piotrowi Gabryelowi. Współpraca z Wami była dla mnie ważnym zawodowym i życiowym doświadczeniem. Pawłowi Lisickiemu dziękuję za liberalizm. A więc cechę, która wśród większości szefów polskich mediów właściwie już nie występuje.

Drodzy Czytelnicy, przestaję piastować funkcję redaktora naczelnego, ale nie znikam z łamów. Będę współpracował z „Historią Do Rzeczy", na łamach pisma będą ukazywały się moje artykuły. Gazetą będzie zaś kierować ta sama ekipa co do tej pory – z Maćkiem Rosalakiem na czele. Z łamów nie znikną Wasi ulubieni autorzy. Zatem – do zobaczenia! ©℗

eprasa.pl c6b514a6e3

/ TEMAT NUMERU

.6–11 JAN JACEK BRUSKI
Pakt Piłsudski–Petlura

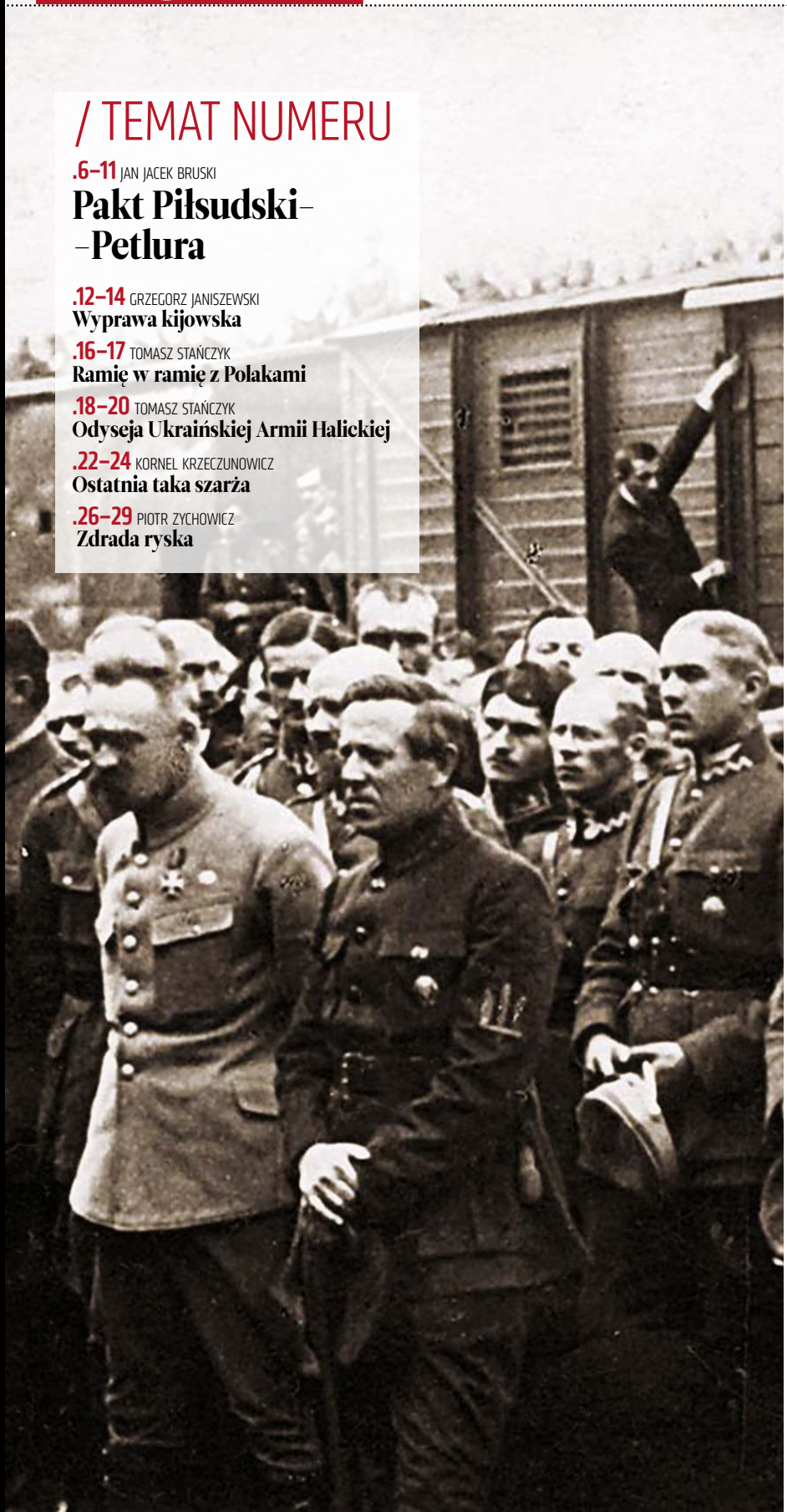
.12–14 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Wyprawa kijowska

.16–17 TOMASZ STAŃCZYK
Ramię w ramię z Polakami

.18–20 TOMASZ STAŃCZYK
Odyseja Ukraińskiej Armii Halickiej

.22–24 KORNEL KRZECZUNOWICZ
Ostatnia taka szarża

.26–29 PIOTR ZYCHOWICZ
Zdrada ryska



/ CZASY I LUDZIE



.30–33 MIKOŁAJ IWANOW
Krasnoarmiejcy i AK



.34–37 KEITH MCCLOSKEY
Horror na Przełęczy Diatłowa

.38–41 MAREK GAŁĘZOWSKI
Trzy niezłomne

.42–45 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Mussolini i Żydzi



.46–48 SŁAWOMIR KOPER
Rubinstein: seksoholizm pianisty

.49–51 PIOTR SEMKA
Prymas niezłomny z Pragi

.52–54 JAKUB OSTROMĘCKI
Upadek Wielkich Moraw

.56–59 MACIEJ ROSALAK
Pat w Sejmie II RP

eprasa.pl c6b514a6e3

/ CO CZYTAĆ



.60–63 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Indiana Jones po polsku

.64-67
Recenzje

/ FELIETONY

.68 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Wynegocjowana historia

.69 PIOTR SEMKA
W tęczy Franków rozgrabieni

/ KRESY

.70–73 TOMASZ STAŃCZYK
Rosyjskie rządy we Lwowie



/ BATALIE I WODZOWIE



.74–77 MACIEJ ROSALAK
Obrona Rodos

.78–79 MICHAŁ MACKIEWICZ
Technika wojskowa

/ TECHNIKA

.80–81 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Kosmiczne oko

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Bohater na szubienicy

REKLAMA



eprasa.pl c6b514a6e3



Symon Petlura i Józef Piłsudski w Winnicy, kwiecień 1920 r.
FOT. WIKIPEDIA

Wywiad / Z prof. Janem Jackiem Bruskim

rozmawia Piotr Zychowicz

Pakt Piłsudski–Petlura

Gdyby wizja obu liderów skończyła się sukcesem, Rosja zostałaby odepchnięta od Europy

PIOTR ZYCHOWICZ: Podczas obchodów rocznicy Bitwy Warszawskiej prezydent złożył wieniec na grobie ukraińskich żołnierzy, którzy razem z Polakami w 1920 r. walczyli przeciwko bolszewikom. Wielu ludzi było zaskoczonych, nigdy bowiem o tej historii nie słyszeli. Co to byli za żołnierze?

PROF. JAN JACEK BRUSKI: W Polsce utarło się przekonanie, że w 1920 r. walczyliśmy w osamotnieniu. To nieprawda. Wspomagały nas wojska Ukraińskiej Republiki Ludowej. W maju 1920 r. na froncie walczyło ok. 12 tys. żołnierzy i oficerów ukraińskich. Całkiem poważna siła. Należy wyraźnie podkreślić, że kampania kijowska to nie była wojna z Rosją o Ukrainę. To była wojna prowadzona wspólnie z Ukrainą przeciwko Rosji.

Jak bili się Ukraińcy?

Bardzo dzielnie. Mieli duży udział w początkowych sukcesach nad bolszewikami, a później w skutecznej obronie w trakcie walk odwrotowych.

Prezydent Wołodymyr Zełenski w sierpniu 2022 r. nadał 110. Brygadzie Zmechanizowanej ukraińskich wojsk obrony terytorialnej imię gen. Marka Bezruczki. Kto to był?

To ważna postać, która w Polsce do niedawna była niemal zapomniana. Marko Bezruczko, wówczas pułkownik, był dowódcą jednej z sojuszniczych ukraińskich dywizji – 6. Dywizji Siczowej Armii URL. W sierpniu 1920 r. kierował obroną Zamościa. Dowodzone przez niego ukraińskie i polskie oddziały dzięki nieustępliwej postawie zatrzymały bolszewików. Przyczyniło się to do ostatecznego sukcesu na całym froncie.

W jaki sposób?

Kawaleria Siemiona Budionnego ugrzęzła na południowym odcinku frontu. Właśnie pod Zamościem. W efekcie nie doszło do połączenia Armii Konnej i sił Tuchaczewskiego, które zostały odepchnięte, ale jeszcze nie ostatecznie rozbite, pod Warszawą. Bezruczko i jego żołnierze odegrali więc dużą rolę w historii Polski. Armia Budionnego została później pobita w czasie wielkiej bitwy kawaleryjskiej pod Komarowem, w której również walczyli Ukraińcy.

Porozmawiajmy o tym, jak doszło do tego sojuszu. Po upadku mocarstw zaborczych powstały dwa ukraińskie państwa. Dlaczego?

Jako pierwsze upadło imperium Romanowów. W efekcie w 1917 r. na terenach zamieszkałych przez Ukraińców, które wchodziły wcześniej w skład Rosji, powstała Ukraińska Republika Ludowa (URL) ze stolicą w Kijowie. Potem upadło imperium habsburskie i jesienią 1918 r. na terenach Galicji Wschodniej powstała Zachodnioukraińska Republika Ludowa (ZURL) ze stolicą we Lwowie.

Nas interesuje ta pierwsza.

eprasa.pl c6b514a6e3



Symon Petlura (pierwszy z prawej) w otoczeniu oficerów Ukraińskiej Republiki Ludowej podczas defilady w Kijowie, maj 1920 r. FOT. CAW

W Kijowie powołano do życia Ukraińską Radę Centralną. Początkowo Ukraińcy wysuwali hasło autonomii w ramach demokratycznej Rosji. Rada współpracowała z Rządem Tymczasowym Aleksandra Kiereńskiego. Między Piotrogrodem a Kijowem raz po raz pojawiały się jednak tarcia. Gdy doszło do rewolucji bolszewickiej, Ukraińcy poszli swoją drogą i proklamowali URL, a wkrótce pełną niezależność od Rosji.

Na arenę wkroczyli Niemcy.

Na początku 1918 r. Rosja bolszewicka i Ukraina zawarły traktaty z państwami centralnymi w Brześciu Litewskim – Ukraińcy w lutym, bolszewicy w marcu. Ukraińcy podjęli współpracę z Niemcami, bo liczyli, że w ten sposób powstrzymają pochód „czerwonych", opanowanie przez nich całej Ukrainy. Układ z mocarstwami centralnymi wydawał się jedynym ratunkiem.

Te nadzieje się spełniły?

Tak, wojska austriacko-niemieckie pomogły Ukraińcom przepędzić najeźdźców. Ale ceną był drenaż Ukrainy ze zboża i z innych płodów rolnych. Rada, w której dominowali socjaliści, szybko została zastąpiona przez gen. Pawła Skoropadskiego, który z niemiecką pomocą ogłosił się hetmanem Ukrainy.

Kim był Skoropadski?

Arystokratą, byłym adiutantem cesarza Mikołaja II. Wywodził się ze starej ukraińskiej rodziny, wywodzącej się ze starszyzny kozackiej. Od dawna jednak mocno zrusyfikowanej.

Państwa centralne w listopadzie 1918 r. przegrały wielką wojnę.

To oznaczało również upadek hetmana. Na domiar złego ogłosił on uroczystą hramotę, w której zapowiedział połączenie Ukrainy z Rosją. Tego było za dużo dla ukraińskich patriotów. Wybuchło powstanie. Oddziały powstańcze wkroczyły do Kijowa, a hetman w przebraniu czmychnął na emigrację.

W ten sposób na arenę wkracza główny bohater naszej opowieści – Symon Petlura.

Petlura był członkiem kierującego powstaniem Dyrektoriatu i naczelnym atamanem wojsk URL. Wywodził się z partii socjaldemokratycznej, był cywilem, ale z samorodnym talentem dowódczym. Nasuwa to oczywiście analogie z Piłsudskim. Petlura urodził się w Połtawie w niezamożnej rodzinie mieszczańskiego pochodzenia. Jego ojciec miał drobną firmę przewozową.

Petlura też długo w Kijowie nie urzędował.

Dla bolszewików traktat brzeski był tylko pieriedyszką, taktyczną przerwą dla nabrania oddechu. Gdy tylko Niemcy zaczęli szykować się do odwrotu znad Dniepru, „czerwoni" ruszyli do ataku. W Charkowie stworzyli marionetkowy, komunistyczny rząd Ukrainy.

Na jego czele umieścili... Bułgara.

Tak, Lenin na swojego czołowego „Ukraińca" mianował Bułgara, będącego poddanym rumuńskim – Christiana Rakowskiego. On świetnie mówił po francusku, ale po rosyjsku już gorzej. A po ukraińsku w ogóle. Liczyła się jednak siła. Ukraińcy jej nie mieli.

Jak to? Przecież dopiero co wywołali skuteczne powstanie.

Armia Dyrektoriatu składała się z chłopów, którzy po przepędzeniu hetmana po prostu rozeszli się do domów. Bolszewicy zajęli Kijów i Petlura razem z rządem URL musiał wycofać się na teren Wołynia, a następnie do Kamieńca Podolskiego. Jakby tego było mało, Ukraińcy musieli później stawiać czoła również „białym" Rosjanom. Dla gen. Denikina ukraińscy niepodległościowcy byli groźnymi separatystami. Petlura był więc wzięty w dwa ognie.

Czyli – gdy sprzymierzył się z Piłsudskim – łapał się brzytwy?

Tak, innego wyjścia nie miał. Uznał, że w tej dramatycznej sytuacji naturalnym sojusznikiem jest Polska.

Ale Polska w 1919 r. stoczyła krwawą wojnę z drugim państwem ukraińskim – ZURL. Dla Ukraińców z Galicji Wschodniej wrogiem numer jeden byli Polacy, a nie bolszewicy.

Zawarcie tego sojuszu było bez wątpienia trudne psychologicznie. Szczególnie że w styczniu 1919 r. doszło do zawiązania unii pomiędzy wschodnim i zachodnim państwem ukraińskim, URL i ZURL. W ten sposób URL formalnie stała się stroną w konflikcie zbrojnym z Rzeczpospolitą. Galicyjscy Ukraińcy – chociaż kontrolowali mniejszy obszar – dysponowali większą armią, bardziej zdyscyplinowaną i lepiej wyszkoloną niż armia URL. Z ich zdaniem trzeba było się poważnie liczyć.

A może polskie zwycięstwo nad ZURL oczyściło atmosferę?

W jakimś stopniu – tak Petlura miał rozwiązane ręce i obrał kurs na zbliżenie z Polską. Już latem 1919 r. działania zbrojne zostały wstrzymane, a 1 września zawarto formalny rozejm. Zaczęły się rozmowy.

Jaka była motywacja Piłsudskiego? Chodziło mu o zbudowanie polsko-ukraińskiej federacji?

Wśród zwolenników Piłsudskiego było wielu przekonanych federalistów. Sam Piłsudski był raczej realistą i pragmatykiem. Chodziło mu o wykorzystanie szansy, momentu, gdy Rosja jest słaba, i odepchnięcie jej jak najdalej na wschód od polskich granic. Krótko mówiąc – pozbawienie Rosji statusu imperium. Dlatego Piłsudski uważał, że należy wesprzeć niepodległościowe aspiracje narodów żyjących między Polską a Rosją. W przypadku Ukrainy myślał o niepodległym państwie, ściśle sprzymierzonym z Polską. W przypadku Litwy marzył o federacji. A Białoruś mogła liczyć na autonomię.

eprasa.pl c6b514a6e3



Józef Piłsudski i Symon Petlura w Stanisławowie FOT. DOMENA PUBLICZNA

Czym koncepcja federacyjna różniła się od endeckiej koncepcji inkorporacyjnej?

Endecy również chcieli przesunąć granice Rzeczypospolitej na wschód. Ale miało to być państwo narodu polskiego. Endecy uważali, że w jego granicach może znaleźć się tylko tylu przedstawicieli mniejszości narodowych, żeby można ich było zasymilować. Z punktu widzenia interesów Rosji koncepcja Piłsudskiego była niewątpliwie bardziej niebezpieczna.

Czy zgodzi się pan z taką analogią historyczną: koncepcja federacyjna była nową ugodą hadziacką – która w 1658 r. stworzyła Rzeczpospolitą Trojga Narodów – a koncepcja inkorporacyjna nowym rozejmem andruszowskim, który w 1667 r. podzielił Ruś między Moskali i Lachów?

W tej analogii jest dużo racji. Trzeba podkreślić, że niepodległą Ukrainę endecy postrzegali jako zagrożenie dla Polski. Samo istnienie narodu ukraińskiego było przez nich podważane. Powstanie narodowego ruchu ukraińskiego uważali za efekt machinacji austriacko-niemieckich. Dlatego m.in. endecy dążyli do kompromisu z Rosją, wspólnego hamowania ukraińskich dążeń niepodległościowych.

Wizje Piłsudskiego i Petlury się spotykały.

Tak, 21 kwietnia 1920 r. w Warszawie podpisany został układ sojuszniczy między Rzecząpospolitą Polską a Ukraińską Republiką Ludową.

Ten układ już na początku naznaczony był dwoma poważnymi problemami. Podczas negocjowania sojuszu Piłsudski „przystawił Petlurze rewolwer do głowy". Zmusił go do wyrzeczenia się Galicji Wschodniej i Wołynia. Kiepski początek przyjaźni.

Było to poważne obciążenie. Aby układ z Polską spełnił swoją rolę, Petlura musiał pozyskać wsparcie galicyjskich Ukraińców. To mogło przesądzić o powodzeniu walki o niepodległą Ukrainę. Ale bez zrzeczenia się Galicji Wschodniej Petlura nie mógł marzyć o zawarciu sojuszu z Piłsudskim.

W efekcie galicyjscy Ukraińcy woleli walczyć po stronie Rosjan przeciwko Polakom.

Tak, Ukraińska Armia Halicka pod koniec 1919 r. przeszła na stronę „białych" gen. Denikina, a parę miesięcy później na stronę bolszewików.

To była kwadratura koła.

Ale czy Petlura miał wtedy jakąś alternatywę? Nie można było liczyć na to, że Polacy powiedzą: „Oddajemy wam Galicję Wschodnią w zamian za to, że pójdziecie z nami na Kijów". Dla ówczesnej polskiej opinii publicznej rezygnacja ze Lwowa była psychologicznie niemożliwa. Nie po to toczyliśmy ciężką wojnę o Galicję Wschodnią, aby teraz wyrzec się owoców zwycięstwa – mówiono. Może gdyby udało się na trwałe osadzić Petlurę w Kijowie, gdyby powstała silna Ukraina – sytuacja uległaby zmianie.

Ale to jest argument na rzecz endeków. To oni ostrzegali, że jak URL okrzepnie, zgłosi pretensje do Galicji Wschodniej i Wołynia. Według zwolenników narodowej demokracji Piłsudski hodował przyszłego wroga Polski.

Pierwsze oszałamiające sukcesy wspólnej ofensywy spowodowały, że galicyjscy Ukraińcy zaczęli patrzeć nieco przychylniej na sojusz z Polską. Piłsudski podtrzymywał dyskretne kontakty z metropolitą Andrejem Szeptyckim – największym autorytetem moralnym i politycznym Haliczan (skądinąd wnukiem hr. Aleksandra Fredry i bratem wybitnego polskiego generała Stanisława Szeptyckiego). Metropolita, widząc perspektywę wywalczenia państwa nad Dnieprem i pokonania bezbożnych bolszewików, był skłonny dojść do jakiegoś porozumienia z Polakami. Gdyby dobra wojenna passa trwała dłużej, może udałoby się osiągnąć kompromis.

Jaki?

Po zwycięskiej wojnie z bolszewikami Polacy musieliby coś zaoferować. Kartą w grze mogło być nadanie autonomii Galicji Wschodniej. Albo stworzenie z niej kondominium polsko-ukraińskiego. Wtedy Galicja przestałaby być obszarem spornym, a stałaby się obszarem łączącym. Ogniwem konfederacji polsko-ukraińskiej.

Drugi problem związany z paktem Piłsudski-Petlura: olbrzymia część ziemi na Ukrainie należała do polskich ziemian. W latach 1917–1918 doszło do fali pogromów polskich dworów, mordów i grabieży gruntów. We wspomnieniach ocalałych ziemian zachowanie petlurowców niczym nie różniło się od zachowania bolszewików. Zwolennicy atamana mieli dopuszczać się straszliwych zbrodni na Polakach.

Taka była perspektywa ziemian – gnębionych i grabionych. W rzeczywistości te pogromy miały mało wspólnego z Petlurą i jego regularnymi wojskami. Do najgorszych napadów na ziemian doszło wcześniej, gdy załamała się dawna armia carska i masy zrewoltowanych chłopów wróciły do domów z bronią w ręku. Ci ludzie działali zgodnie z bolszewickim hasłem: „Grab zagrabione!".

Jakie było stanowisko władz URL wobec polskich ziemian?

Trudno było pogodzić interesy wielkiego ziemiaństwa z lewicowym, radykalnym społecznie programem URL. Ukraińskie władze zapowiadały radykalne reformy: odebranie ziemi „obszarnikom" i rozdanie jej chłopom. Sprawiało to, że większość ziemian z Ukrainy nie popierała paktu Piłsudski-Petlura. Marsz polskich wojsk na wschód wywołał ich entuzjazm, ale dlatego, że mieli nadzieję, iż wrócą do swoich majątków.

Tak by się stało?

Nie. W specjalnym rozkazie z 8 maja 1920 r. Naczelne Dowództwo podkreślało, że zadaniem Wojska Polskiego jest walka o niepodległą Ukrainę, a nie przywrócenie stanu posiadania polskich ziemian. Należy instalować władze ukraińskie, wyraźnie podkreślać, że polska okupacja jest obliczona na miesiące, a nie na lata. Oczywiście Piłsudski starał się znaleźć jakieś modus vivendi. Nie mógł całkowicie zignorować postulatów ziemian.

Co zrobił?

Jednym z tajnych postanowień układu z Petlurą było wprowadzenie do ukraińskiego rządu dwóch polskich ministrów. Henryk Józewski został wiceministrem spraw wewnętrznych, a Stanisław Stempowski – ministrem rolnictwa. Obaj mieli w Kijowie „trzymać rękę na pulsie".

eprasa.pl c6b514a6e3

Stempowski był co prawda ziemianinem z Ukrainy, ale dość specyficznym. Nazywano go chłopomanem.

Zgoda. Stempowski był lewicującym masonem, głoszącym hasła poprawy doli chłopstwa. Była to postać środka, która miała stać się pośrednikiem pomiędzy Polakami i Ukraińcami. Zabrakło czasu, żebyśmy mogli się przekonać, jak rozwiązano by antagonizm rolny. Widać jednak, że Piłsudski wprowadzał do układu z Petlurą bezpieczniki, które miały zagwarantować polskie interesy.

Skoro Piłsudski mógł wpakować Petlurze do rządu dwóch ministrów, to trudno mówić o partnerskim sojuszu. To był raczej – używając terminologii geopolitycznej – układ junior partner-senior partner.

W tym układzie była wyraźna asymetria. Ukraina bardziej niż Polska potrzebowała sojuszu, co stawiało ją w pozycji petenta. Gdy Petlura wiosną 1920 r. negocjował z Polską, pod jego kontrolą znajdowało się tylko kilka powiatów Podola i Wołynia. Na tereny te wkroczyły wojska polskie i tylko dlatego Ukraińcy mogli się tam utrzymać. Atakowali ich „biali" i „czerwoni". A także trzeci wróg: epidemia tyfusu, która powaliła wojsko ukraińskie. Prawie cała armia Petlury leżała w lazaretach.

Układ z Petlurą był ratum. A co było consummatum?

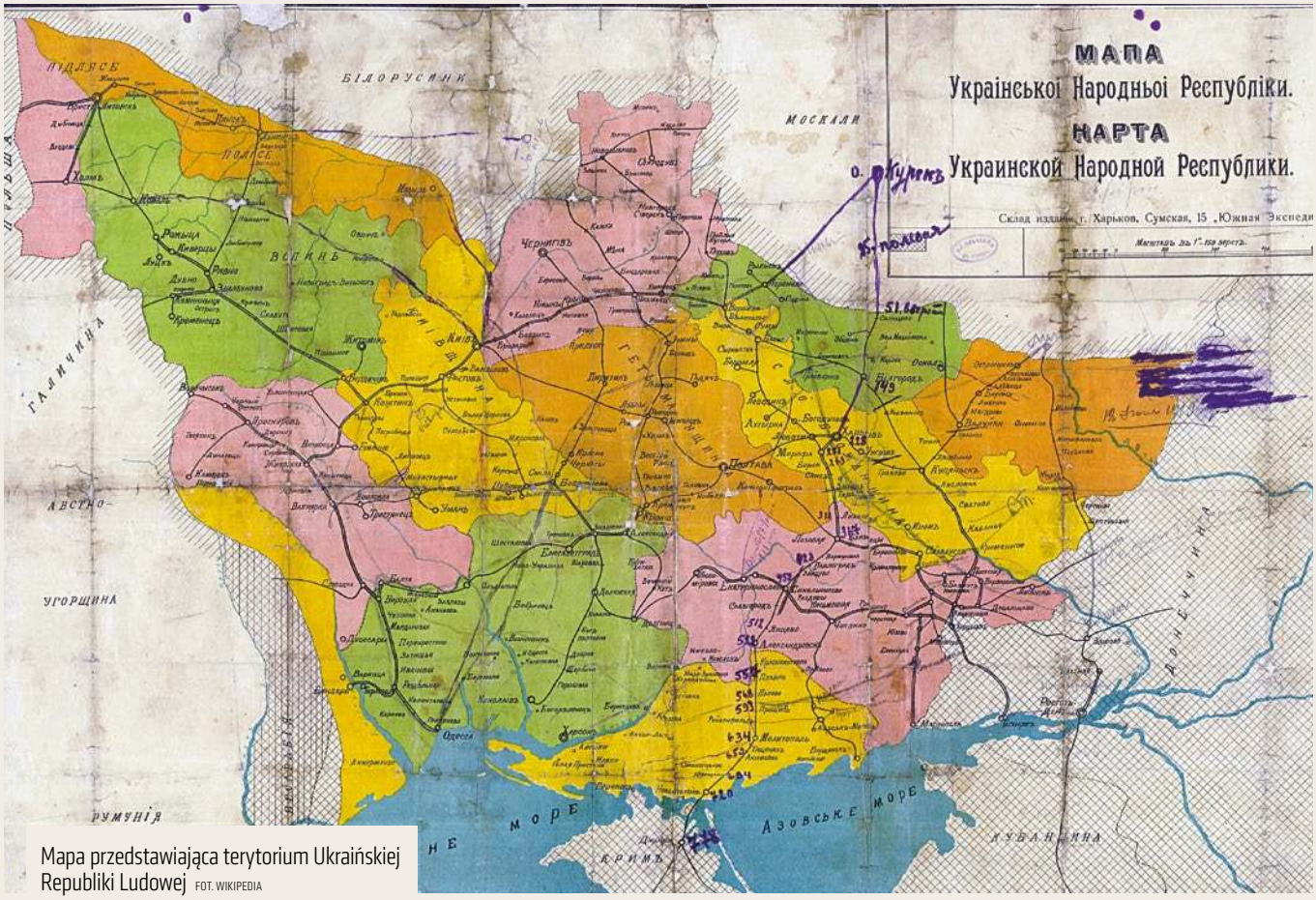
Ofensywa Wojska Polskiego i oddziałów URL, rozpoczęta 25 kwietnia 1920 r. Na zapleczu bolszewików doszło do serii ukraińskich powstań, które ułatwiły marsz. Na początku maja został wzięty Kijów. Petlura – a nie Piłsudski – przyjął defiladę zwycięstwa. To był gest, który miał pokazać, że Ukraińcy są gospodarzami. Piłsudski nie był do końca zadowolony – liczył, że bolszewicy będą bronić Kijowa i na przedpolach miasta uda się rozbić ich główne siły. Niestety, „czerwoni" wycofali się za rzekę i wkrótce przystąpili do kontrofensywy. Polacy i Ukraińcy zostali zmuszeni do odwrotu. Nie udało się.

Dlaczego?

Zabrakło czasu. Gdyby Polacy i Ukraińcy wytrwali w Kijowie nie cztery tygodnie, a cztery miesiące – powstałaby zapewne silna ukraińska armia. Państwo by okrzepło. Ukraina była zniszczona przez wojnę. Sam Kijów kilkanaście razy przechodził z rąk do rąk. To nie było tak, że Ukraińcy byli obojętni na hasła niepodległościowe czy wrogo nastawieni do Polski. Byli po prostu piekielnie zmęczeni. Poza tym propaganda sowiecka nie zasypiała gruszek w popiele. Bolszewicy wmawiali chłopom, że nadchodzi „pańska armia", która będzie zwracać ziemię ziemianom. Petlura był przedstawiany jako zdrajca. Sowieci nakręcili później głośny film „PKP".

„Piłsudski kupił Petlurę".

Dokładnie. Wzięli to zapewne ze słynnego zdjęcia, na którym Petlura i Piłsudski stoją razem w oknie salonki. Na wagonie widać napis „PKP".



Mapa przedstawiająca terytorium Ukraińskiej Republiki Ludowej FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl c6b514a6e3



Od lewej: gen. Antoni Listowski podczas rozmowy z Symonem Petlurą, kwiecień 1920 r. FOT. NAC

Wróćmy do wyprawy kijowskiej. Niektórzy Polacy nie ułatwiali sprawy. Zachowała się depesza Piłsudskiego, w której skarży się on na skandaliczne zachowanie pułków poznańskich wobec cywilów.

„Z tymi draniami wojować nie można – pisał Piłsudski. – Donoszą mi, że ten pas, którym idą, gotowy jest robić powstanie przeciwko nam". Całe szczęście nie był to powszechny obraz. Na przykład w Kijowie wzajemne stosunki były wzorowe. Polacy zachowywali się elegancko wobec strony ukraińskiej. Oczywiście nie ma co wystawiać Piłsudskiemu laurki, bywało różnie. Sam Piłsudski także podejmował działania – z perspektywy ukraińskiej – trudne do zaakceptowania. W trakcie krótkiego pobytu Wojska Polskiego nad Dnieprem drenował ją ze zboża i z cukru. Wszystkie strony konfliktu traktowały Ukrainę jak wielki spichlerz.

Ukraińcy w sierpniu 1920 r. – m.in. walcząc pod Zamościem – pomogli Polakom ocalić niepodległość. Zakończenie tej historii jest jednak szokujące.

W październiku 1920 r. Polacy rozpoczęli pertraktacje z bolszewikami. O lojalnym sojuszniku zapomniano. Dla Ukraińców sytuacja była czysta. Sukces pod Warszawą, sukces pod Zamościem, rozbicie bolszewików w bitwie nad Niemnem. Sowieci przegrali wojnę. Polacy powinni z pozycji siły dyktować Moskwie warunki. Tymczasem było odwrotnie. To Polacy szli na ustępstwa.

Gdy myślę o tym, jak Polska wtedy postąpiła z Ukraińcami, nasuwa mi się tylko jedna analogia historyczna – Jałta.

Ukraińcy byli pewni, że będą reprezentowani podczas rozmów pokojowych, że ich interesy będą twardo stawiane. Tymczasem nie zaproszono ich nawet na miejsce obrad. Polska delegacja od razu uznała fikcyjny twór – sowiecki rząd Ukrainy ze wspomnianym Bułgarem na czele. Dla ukraińskich niepodległościowców, a także ich polskich przyjaciół był to szok. Najbardziej zapalczywi piłsudczycy mówili: „Idźmy dalej. Wystarczy, żeby wojna potrwała jeszcze dwa tygodnie, i ponownie będziemy w Kijowie".

Mieli rację! 12 października po udanym zagonie kawaleryjskim na Korosteń Wojsko Polskie znowu stanęło niemal u wrót Kijowa.

Do dzisiaj dyskusja na ten temat nie jest rozstrzygnięta. Piłsudski w kręgu generałów mówił gorzko, że rozumie, iż powinien znowu pójść na Wschód, ale polskie społeczeństwo tego nie chce. Obca jest mu idea jagiellońska. Polacy chcą spokoju i pokoju, armia jest zabiedzona i niegotowa do dalszej walki. Piłsudski nie może więc brać odpowiedzialności za przedłużanie działań zbrojnych. Niektórzy historycy z tą opinią dyskutują, ale taka zapadła decyzja. Polskie oddziały do czasu zawieszenia broni konsekwentnie szły na Wschód. Wyzwoliły Mińsk, ale potem w geście dobrej woli wobec bolszewików, honorując wcześniejsze ustalenia, wycofali się z niego.

To była zbrodnia. Także na miejscowych Polakach, których wydano na pastwę bolszewików. Ale polskie wojska wyzwoliły też wiele miast na południu, na Ukrainie – Kamieniec Podolski, Szepetówkę, Płoskirów.

Czołową postacią polskiej delegacji w Rydze był Stanisław Grabski. Narodowy demokrata, zdecydowany przeciwnik koncepcji Piłsudskiego i wyprawy na Kijów, w której stracił syna. Robił wszystko, by w trakcie rozmów ryskich zniweczyć koncepcję federacyjną i przeforsować projekt endecki. Formalny szef delegacji, ludowiec Jan Dąbski, był człowiekiem niekompetentnym, dyplomatą z przypadku. Zwolennicy Piłsudskiego byli w tej delegacji w mniejszości.

Czytałem niedawno listy Petlury pisane po Rydze. Był zdruzgotany.

To, co się stało w Rydze, było aktem politycznej zdrady. Zwolennicy Piłsudskiego i polskie dowództwo starali się jednak wyjść z twarzą. Stworzono warunki, żeby Ukraińcy mogli podjąć ostatnią walkę.

Kamieniec Podolski pozostawiono w rękach Ukraińców, którzy zaczęli na nowo organizować wojska. Polacy po cichu – mimo układu z Sowietami – dostarczali im broń. Zaczęto nawet organizować oddział polsko-ukraiński pod dowództwem mjr. Walerego Sławka, jednego z najbliższych współpracowników Piłsudskiego. Przewaga bolszewików była jednak miażdżąca. Zanim planowana ofensywa ruszyła w głąb Ukrainy, bolszewicy uderzyli. W drugiej połowie listopada 1920 r. pobita armia URL wycofała się na polskie terytorium.

Co się stało z żołnierzami URL w Polsce?

Ukraińskie oddziały zostały internowane w obozach. W dosyć dobrych warunkach. W obozach – w Aleksandrowie Kujawskim, Kaliszu, Szczypiornie i kilku innych – znalazło się ok. 20 tys. żołnierzy i oficerów ukraińskich. Dopóki piłsudczycy mieli coś do powiedzenia w sferach politycznych, a zwłaszcza wojskowych, dopóty obozy były utrzymywane. W połowie 1923 r., gdy Piłsudski usunął się w cień, zaczęto je zwijać. Z kolei politycy i działacze społeczni z URL utworzyli w Polsce prężny ośrodek emigracyjny. Tymczasową stolicą Ukrainy stał się Tarnów. Tam urzędowały rząd i parlament. Funkcjonowało to mniej więcej tak, jak polski rząd w Londynie w czasie drugiej wojny światowej.



Plakat propagandowy Ukraińskiej Republiki Ludowej FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl c6b514a6e3

Piłsudski osobiście odwiedził ukraińskich oficerów w obozie w Szczypiornie. Co im powiedział?

Padły słynne słowa: „Ja Was przepraszam, Panowie. Ja Was bardzo przepraszam – to miało być zupełnie inaczej". To jest kwintesencja tego sojuszu. Piłsudski i Petlura wyobrażali sobie wszystko inaczej. Niepodległa Ukraina nie przetrwała, a Rzeczpospolita powstała w granicach ryskich, które nikogo nie satysfakcjonowały. Sowieci dyszeli żądzą rewanżu i z każdym rokiem rośli w siłę. Aż do 17 września.

Czy gdyby Piłsudskiemu i Petlurze się powiodło i nad Dnieprem powstałaby niepodległa Ukraina, historia potoczyłaby się innymi torami?

Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Zepchnięcie bolszewików na wschód znacznie zmniejszyłoby ich możliwość oddziaływania na Polskę i cały Zachód. Odsunęłoby złowrogie widmo niemiecko-sowieckiego porozumienia. Zresztą nie jest wcale pewne, czy bolszewicy by się utrzymali u władzy. Być może klęska w starciu z Polską doprowadziłaby do krachu systemu komunistycznego. A gdyby nie było Sowietów u władzy, być może nie byłoby niemieckich narodowych socjalistów i włoskiego faszyzmu. Skrajnie nacjonalistyczne, agresywne ruchy na zachodzie Europy były w znacznej mierze odpowiedzią na bolszewizm.

Jeszcze wymiar humanitarny. Sam wielki głód w latach 1932–1933 pochłonął 4 mln ofiar. W Winnicy, Kijowie czy Kuropatach pod Mińskiem – tam wszędzie są wielkie cmentarzyska ofiar czerwonego terroru z lat 30.

Tak, nie byłoby tej olbrzymiej tragedii, tego olbrzymiego upustu krwi. Nie tylko ukraińskiej, bo przecież wszystkie narody, które zamieszkiwały te tereny, zostały dotknięte czerwonym terrorem. O Polakach – którzy w latach 1937–1938 padli ofiarą specjalnej operacji NKWD – też trzeba pamiętać. Gdyby Piłsudskiemu i Petlurze się udało, dzieje olbrzymich obszarów Europy Wschodniej popłynęłyby innym korytem. To nie byłyby te Snyderowskie „Skrwawione ziemie", tylko doskonale prosperujące, rozwijające się tereny. Zupełnie inaczej wyglądałby poziom rozwoju ukraińskiej świadomości narodowej. Dekady, które nastąpiły po klęsce walki o niepodległość, po wielkim głodzie i sowieckich czystkach, były dekadami straconymi. Nastąpiło zatrzymanie rozwoju narodowego Ukraińców. Ostatnie lata to czas, kiedy oni te stracone dziesięciolecia w przyśpieszonym tempie nadrabiają.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Profesor Jan Jacek Bruski jest historykiem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Napisał m.in. „Petlurowcy. Centrum Państwowe Ukraińskiej Republiki Ludowej na wychodźstwie 1919–1924", „Ukraina", „Między prometeizmem a Realpolitik. II Rzeczpospolita wobec Ukrainy Sowieckiej 1921–1926". Wydał tom dokumentów „Hołodomor 1932–1933. Wielki głód na Ukrainie w dokumentach polskiej dyplomacji i wywiadu".

REKLAMA



eprasa.pl c6b514a6e3



Polscy i ukraińscy żołnierze w Kijowie, maj 1920 r. FOT. WIKIPEDIA

Wiosna 1920 r. / Zmagania nad Dnieprem

Epopeja kijowska



Grzegorz Janiszewski

Zajęcie Kijowa miało odmienić sytuację strategiczną Polski. Nagłe uderzenie bolszewików zagroziło unicestwieniem wojsk polskich, ale sprawnie przeprowadzony odwrót pozwolił uratować kluczowe dla obrony Polski oddziały

Po rozgromieniu przez bolszewików w jesienno-zimowych kampaniach 1919 r. sił białych – Judenicza na północnym zachodzie Rosji, Kołczaka na Syberii i Denikina na południu – nadszedł czas na rozprawę z zachodnimi sąsiadami. Założenia ataku na Polskę na polecenie Lenina i Trockiego już w styczniu 1920 r. opracował płk Borys Szaposznikow, szef Oddziału Operacyjnego Sztabu Polowego Rewwojensowietu. Gotowy plan został zatwierdzony 10 marca przez głównodowodzącego Armią Czerwoną Siergieja Kamieniewa. Główny wysiłek Sowietów miał być skupiony na kierunku białoruskim. Tamtejszy Front Zachodni miał ruszyć na Warszawę. Polski wywiad donosił wówczas o koncentracji jednostek Armii Czerwonej przy zachodnich granicach sowieckiej Rosji. Piłsudski już wcześniej porzucił zamiary pomocy białym, postawił na Ukraińców i postanowił wyprzedzająco uderzyć na Sowietów. Plany operacji zostały opracowane przez Juliana Stachiewicza (szefa Oddziału III Naczelnego Dowództwa) i adiutantów Piłsudskiego: Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego oraz Stanisława Radziwiłła. Celem miało być rozbicie sowieckich zgrupowań na prawym brzegu Dniepru, zanim otrzymają posiłki, i utworzenie przestrzeni dla ukraińskiego państwa. Planowany zasięg operacji nie sięgał głębiej niż za linię Koziatyń-Żytomierz-Berdyczów. Resztę pozostawiono tworzonym ukraińskim siłom zbrojnym. Potem polska ofensywa miała się skierować na północ, przeciw głównym siłom sowieckiego Frontu Zachodniego. O zdobywaniu Kijowa nikt wtedy nie myślał.

Jak w masło

Ofensywa, zgrupowana w cztery formacje, ruszyła 25 kwietnia 1920 r. Oddziałami od Mozyrza do Olewska dowodził płk Józef Rybak, 2. Armią od Połonnego do Płoskirowa – gen. Antoni Lis, a 6. Armią (od Płoskirowa do granicy z Rumunią) – gen. Wacław Iwaszkiewicz-Rudoszański. Na najważniejszym kierunku (na Żytomierz i Kijów) działała grupa operacyjna gen. Edwarda Śmigłego-Rydza. Ten z wykształcenia artysta malarz był zdolnym organizatorem Strzelca i POW. Trzy lata dowodził batalionem i brygadą w Legionach. Piłsudski sam dowodził całością operacji. Śmigłego, który podobnie jak on nie miał formalnego wojskowego wykształcenia, darzył pełnym zaufaniem. Łącznie do ofensywy wydzielono ok. 60 tys. polskich i 4 tys. ukraińskich żołnierzy, wyposażonych i uzbrojonych prawie w całości przez polskie władze.

eprasa.pl c6b514a6e3



Żołnierze 1. Armii Konnej Budionnego FOT. DOMENA PUBLICZNA

Sowieckie siły zgrupowane były we Front Południowo-Zachodni, którym dowodził Aleksander Jegorow. Do dyspozycji miał operującą na Polesiu i Wołyniu 12. Armię oraz 14. Armię na południowo-zachodniej Ukrainie. Z Kaukazu na pomoc zmierzała 1. Armia Konna Siemiona Budionnego. Jegorow – były pułkownik carskiej armii – po rewolucji przyłączył się do czerwonych i odnosił spore sukcesy w walkach z białymi. Między innymi pod Carycynem, gdzie poznał Stalina. Teraz, mimo militarnego dyletanctwa, komisarza politycznego jego Frontu. Sowieci na Ukrainie mieli ok. 100 tys. żołnierzy, ale do walki z Polakami i Ukraińcami mogli wystawić mniej więcej połowę tych sił. Wchodząca w skład Frontu 13. Armia uwikłana była w ciężkie walki z oddziałami gen. Wrangla na południu Ukrainy.

Polskie uderzenie wyprowadzone z linii Stara Sieniawa-Nowa Uszyca-Zwiahel od razu weszło głęboko w sowiecką obronę. Podczas pierwszych 24 godzin polsko-ukraińskie oddziały posunęły się ok. 90 km do przodu, zajmując Berdyczów, Żytomierz i Korosteń. 27 kwietnia, po osiągnięciu zakładanych rubieży, natarcie zostało zatrzymane na linii Czarnobyl-Radomyśl-Koziatyń. Do Kijowa zostało ok. 100 km. Jednak główne siły sowieckie nie zostały rozbite. Jegorow umiejętnie wycofywał pododdziały 12. Armii. Niektóre zaczęły odwrót jeszcze przed rozpoczęciem ofensywy. Stoczono kilka bitew, głównie z oddziałami osłonowymi. Sowieci zmienili szyfry radiowe, uniemożliwiając odczytywanie korespondencji. Polskie uderzenia trafiły w próżnię.

Piłsudski sądził, że bolszewicy głównymi siłami będą bronić Kijowa. Przez następny tydzień trwała koncentracja polsko-ukraińskich oddziałów przed atakiem na miasto. Tymczasem Jegorow przeprawiał wtedy swoje główne siły na lewy brzeg Dniepru.

Tramwajem do centrum

Jak chce legenda, pierwszy polski patrol rozpoznawczy pod dowództwem por. Olszewskiego wjechał do Kijowa 3 maja tramwajem jadącym do śródmieścia z letniskowej części miasta w Puszczy Wodyci. Żołnierze mieli dojechać na Chreszczatyk, wziąć kilku jeńców i nieniepokojeni wrócić na przedmieścia.

Następnego dnia Sowieci zaczęli się wycofywać z miasta. Polsko-ukraińskie uderzenie w nocy z 5 na 6 maja znowu trafiło w próżnię. Następnego dnia oddziały weszły do Kijowa, a po krótkich walkach (głównie o mosty) 9 maja wyszły na lewy brzeg Dniepru, tworząc sięgający aż do Browarów przyczółek. Po stronie polsko-ukraińskiej w czasie całej operacji zginęło zaledwie 150 żołnierzy. Jegorow stracił ok. 25 tys. ludzi (głównie dezerterów), ale o posiłki nie musiał się martwić. Zaczynały już napływać na Ukrainę z głębi Rosji.

9 maja przez centrum Kijowa przemaszerowała defilada polskich i ukraińskich pododdziałów, entuzjastycznie witanych przez mieszkańców. Półroczne rządy bolszewików i terror Czeka zrobiły swoje.

O ile łatwo było dojść do Kijowa, o tyle trudniej się było w nim utrzymać. Ukraina od kilku już lat była areną walk i rozgrywek politycznych między „niebiesko-żółtymi", „białymi", „czerwonymi", „zielonymi", a nawet silnymi tutaj „czarnymi" anarchistami Nestora Machny. Jak w kalejdoskopie zmieniały się rządy i maszerujące ulicami Kijowa oddziały wojska.

Petlura nie był w stanie umocnić swojej władzy. Bolszewicy na zajętych terenach rozdali ziemię chłopom, którzy teraz obawiali się jej utraty. Rozpuszczali też nieprawdziwe informacje, że Polacy zniszczyli i ograbili święte dla prawosławnych miejsca: cerkiew św. Zofii i sobór włodzimierski. Pobór do wojska zakończył się fiaskiem. Udało się powołać ok. 20 tys. żołnierzy, głównie ochotników. Ludzi nie wystarczało do obsługi przekazanej przez Polskę broni – ponad 30 tys. karabinów i 38 dział polowych.

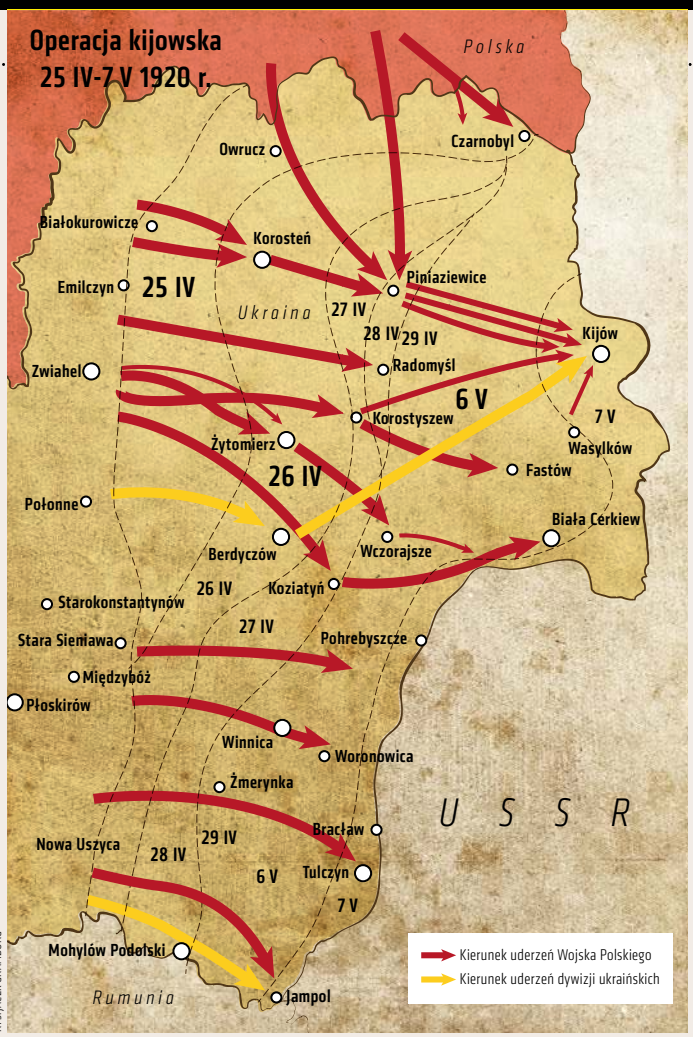
Tymczasem sowieckie armie 12. i 14. reorganizowały się, wchłaniały uzupełnienia z mobilizacji i odtwarzały gotowość bojową. Ich stan w ciągu miesiąca zwiększył się o ponad 100 tys. żołnierzy, 100 dział, samochody i pociągi pancerne. 26 maja 12. Armia przeszła do kontrofensywy na północny wschód od Kijowa. Sowieci zdobyli przyczółek na prawym brzegu Dniepru, nieustannie atakując i wiążąc polsko-ukraińskie siły.

Wyrwać się z kleszczy

5 czerwca kpt. Edward Corsi – lecący na zwiad amerykański ochotnik z polskiej 7. Eskadry Lotniczej – dostrzegł pod Pawołoczą (ok. 100 km na południowy zachód od Kijowa) kolumnę kilku tysięcy jeźdźców. Na wojenny teatr zmierzała 1. Armia Konna Siemiona Budionnego. Została ona skierowana na Ukrainę do pomocy Jegorowowi i dotarła tam po forsownym marszu z Kaukazu. Trzy dywizje kawalerii przełamały front na styku polskich armii 6. i 3. pod Samhorodkiem. Żołnierze Budionnego wdarli się na tyły, paląc mordując i gwałcąc. Kawalerzyści przecinali druty telegraficzne, niszczyli tory kolejowe i grabili wojskowe składy. 7 czerwca w Żytomierzu wycięto polską załogę w pień. W Berdyczowie nie oszczędzono nawet szpitala z 600 rannymi i siostrami Czerwonego Krzyża.

Polacy znaleźli się w kleszczach zamykanych przez armie 12. i 14., które nadciągały z południa. Nie pozostawało nic innego, jak wycofać się z zagrożonego okrążeniem Kijowa. 10 czerwca, kiedy jazda Budionnego zajmowała Równe, polskie Naczelne Dowództwo nakazało odwrót z przedmościa kijowskiego. Wysadzono mosty na Dnieprze, a następnego dnia ruszyła ewakuacja miasta. Sytuacja była ciężka. Utracono łączność z kwaterą główną, odcięta została najkrótsza droga odwrotu przez Żytomierz. Śmigły-Rydz nie stracił jednak głowy. Zastosował starą taktykę z Dzikich Pól.

eprasa.pl c6b514a6e3



RYS. JACEK GRAMBURG

Zamiast mierzyć się powolną piechotą z szybką jazdą w polu, obsadził nią kluczowe punkty. Jeźdźcy Budionnego, wprawieni w wojnie manewrowej na rozległych stepach, byli bezradni wobec ufortyfikowanych, dobrze zaopatrzonych pozycji, najeżonych lufami karabinów maszynowych. Pozwoliło to znacznie opóźnić marsz Konarmii, której podstawową przewagą była ruchliwość. „Śmigły" zreorganizował też kawalerię, aby mogła stawić czoła jeźdźcom Budionnego.

Jedyna droga ewakuacji biegła wzdłuż linii kolejowej przez leżący na północy zachód od Kijowa Korosteń. Ze stolicy wyjechało kilkadziesiąt pociągów, wiozących zdobyte sprzęt i zaopatrzenie, uciekających przed bolszewikami Polaków i ukraińskich urzędników. Poruszały się one w tempie marszu piechoty, osłaniane przez pułki strzelców podhalańskich na północy i 7. Dywizję Piechoty na południu.

11 czerwca rozciągające się na ponad 30 km polskie kolumny natknęły się w Borodziance, ok. 50 km od Kijowa, na bolszewicką doborową 25. Dywizję Piechoty. Sowieci blokowali most kolejowy na rzece Zdwiż. Na most dwukrotnie wdarli się żołnierze z 1. Dywizji Piechoty Legionów, ale zostali odparci ogniem karabinów maszynowych. Ich stanowisk nie można było zniszczyć artylerią bez uszkodzenia przeprawy. W końcu legioniści w zaciekłych walkach opanowali most, ale Sowieci kontratakowali. Wyparli ich dopiero żołnierze z pododdziału mjr. Popowicza, którzy skrycie przeprawili się przez Zdwiż i zaatakowali tyły przeciwnika. Sowieci wycofali się na pobliskie wzgórza, skąd nadal ostrzeliwali przeprawę. Jegorow kazał Budionnemu ściągnąć na miejsce bitwy dwie najbliższe dywizje Konarmii, żeby za wszelką cenę powstrzymać odwrót i zniszczyć Polaków. Zaciekłe starcia trwały jeszcze dwa dni, wypełnione sowieckimi atakami na rozgrzane do czerwoności lufy karabinów maszynowych i starciami na bagnety. Artylerzystom zaczynało brakować amunicji.

W końcu saperzy naprawili wysadzone tory kolejowe. 12 czerwca ok. godz. 18 przez most nad Zdwiżem ruszyły pociągi. Ewakuacja trwała do rana następnego dnia wśród toczących się walk. Śmigły, który dowodził bitwą z pobliskiej Nowej Grobli, oparł się pokusie ścigania przeciwnika i nakazał oderwanie od niego oraz kontynuację odwrotu. Na koniec saperzy wysadzili most kolejowy.

Cud nad Wieprzem

18 czerwca, po dojściu na polskie zaplecze w okolicach Korostenia, zakończyła się pierwsza faza odwrotu. Walki trwały dalej, aż do połowy lipca, kiedy linia frontu ustabilizowała się na Zbruczu i Serecie, na linii Równe-Tarnopol. W tym czasie Śmigły-Rydz został dowódcą całego południowo-wschodniego frontu.

Doskonale przeprowadzony przez późniejszego marszałka odwrót walnie przyczynił się do zwycięstwa w Bitwie Warszawskiej. Zachowana została głębia operacyjna, pozwalająca w decydującym momencie wyprowadzić uderzenie na skrzydło Tuchaczewskiego, przesądzając o wyniku starcia. Niezdemoralizowani odwrotem żołnierze Frontu Południowo-Wschodniego odegrali w nim decydującą rolę.

Wspaniałe dokonania Śmigłego-Rydza, który mimo braku formalnego wojskowego wykształcenia okazał się lepszym dowódcą niż wielu oficerów, którzy spędzili lata w zaborczych armiach, zostały później przyćmione przez klęskę wojny obronnej 1939 r., za którą Marszałek, jakkolwiek by było, w pełni odpowiadał.

Również Jegorow do dzisiaj zaliczany jest do najbardziej utalentowanych sowieckich dowódców. W 1935 r. został szefem Sztabu Generalnego i marszałkiem ZSRS w grupie pierwszych pięciu najbardziej zasłużonych podczas wojny domowej oficerów Armii Czerwonej. W 1937 r. poparł represje w stosunku do Tuchaczewskiego i zajął jego miejsce na stanowisku I zastępcy komisarza obrony. Dwa lata później sam został rozstrzelany w ramach czystek, oskarżony o szpiegostwo na rzecz Polski i udział w spisku.

Ostatecznie operacja kijowska zakończyła się kompletnym fiaskiem. Nie zrealizowano żadnego z jej długoterminowych celów. Dalekosiężne wizje Piłsudskiego okazały się zbyt krótkie jak na geopolityczne realia. Marszałek, mimo że doskonale znał Rosję i sam wywodził się z ruchu rewolucyjnego, nie potrafił chyba zrozumieć procesów zachodzących wówczas na gruzach państwa carów. Zwłaszcza faktu, że w zasadzie są one już nie do odwrócenia. Gdyby zamiast Ukraińców wsparł wcześniej „białych", Rosja prawdopodobnie na długie lata pogrążyłaby się w chaosie walk i podziałów, które sam mógłby umiejętnie podsycać i wygaszać. Polska stałaby się głównym graczem w tej części Europy. Zamiast tego otrzymał konieczny, choć niekorzystny pokój ryski. Niecałe 20 lat później skończyło się to największą katastrofą w dziejach Polski.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

WWW.DORZECZY.PL

eprasa.pl c6b514a6e3

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY | HISTORIA DO RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2022

JUBILEUSZOWA X EDYCJA WYJĄTKOWYCH NAGRÓD W KATEGORIACH:

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

W LISTOPADZIE 2022

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI



PARTNERZY GŁÓWNI: KGHM POLSKA MIEDŹ, PZU

PARTNERZY: PKO Fundacja, STRABAG TEAMS WORK., PGE, Lasy Państwowe

WSPÓŁORGANIZATOR: INSTYTUT WSPÓŁPRACY POLSKO-WĘGIERSKIEJ IM. WACŁAWA FELCZAKA

eprasa.pl c6b514a6e3



Żołnierze Ukraińskiej Republiki Ludowej w Kijowie, maj 1920 r.
FOT. WIKIPEDIA

1920 r. / Przeciw moskiewskiemu najazdowi

Ramię w ramię z Polakami

Polsko-ukraińskie braterstwo broni wykuwało się w wojnie z Rosją bolszewicką

Pod koniec 1919 r. pod ciosami rosyjskiej bolszewickiej armii Ukraińska Republika Ludowa przestała właściwie istnieć. Trwał jednak jej rząd z atamanem Symonem Petlurą, który podjął rozmowy z Polską. Była to jedyna szansa na wyzwolenie okupowanych przez Rosjan ziem URL.

Petlura mówił do płk. Wołodymira Salskiego: „My – Polacy i Ukraińcy – powinniśmy zawrzeć porozumienie, aby stawić opór Moskwie. Powoływanie się na historię sporów polsko-ukraińskich w przeszłości nie jest argumentem dla myślącego realistycznie polityka". Cytat ten pochodzi z książki Andrija Rukkasa „Razem z wojskiem polskim. Armia Ukraińskiej Republiki Ludowej w 1920 roku" (IPN), poświęconej wojsku ukraińskiemu – sojusznikowi Wojska Polskiego w walce z Rosją bolszewicką. Niniejszy tekst jest omówieniem głównych wątków wspomnianej pracy ukraińskiego historyka.

Autor pisze, że po katastrofie z jesieni 1919 r. – gdy armia Ukraińskiej Republiki Ludowej została wyniszczona przez epidemię tyfusu i zdziesiątkowana przez bolszewicką armię – wydawało się, że została kompletnie rozbita i zniknie na zawsze. Ale odrodziła się z popiołów, a jest w tym wielka zasługa Polaków.

Ataman Petlura postanowił odtworzyć w Polsce armię, liczył na 15 tys. żołnierzy armii Ukraińskiej Republiki Ludowej oraz Ukraińskiej Halickiej Armii przebywających w polskich obozach jenieckich, a także na żołnierzy armii gen. Bredowa, w której było wielu Ukraińców.

Zanim w kwietniu 1920 r. został zawarty historyczny układ Piłsudski-Petlura, rozpoczęło się w lutym, w porozumieniu z polskimi władzami wojskowymi, formowanie w Łańcucie, a potem w Brześciu 6. Dywizji Strzelców, na czele której stanął płk Marko Bezruczko. Broń i ekwipunek dostarczała strona polska, także dla 2. Dywizji Strzelców. Jednak gdy rozpoczęła się ofensywa na Kijów, nie osiągnęła ona w pełni zdolności bojowej. Wydzielono więc z niej oddział zbiorczy pod dowództwem sotnika Pawła Szandruka, liczący 450 bagnetów i 190 szabel.

Rozkaz Petlury

Gdy zaczynała się wyprawa kijowska, której celem była odbudowa niepodległości Ukraińskiej Republiki Ludowej spod władzy moskiewskiej, Petlura wydał rozkaz do swoich żołnierzy: „Wam, wierni synowie Ukrainy, powierza się wielkie i sławne zadanie wyzwolenia ziemi ojczystej od Moskali – obcych, którzy wykrzykują wielkie słowa o równości, braterstwie i zgodzie, a już trzeci rok niszczą Ukrainę, ograbiając jej lud pracujący, wywożąc wszystko do swojej Moskowii, rozstrzeliwując, zarzynając i bijąc najlepszych synów ojczystego kraju – waszych towarzyszy. Sprzymierzona z nami armia polska pomoże Wam w walce przeciwko wspólnemu wrogowi bolszewikowi-moskalowi".

W ofensywie na Kijów wzięła udział, oprócz oddziału



Ciężki karabin maszynowy Maxim FOT. IMA-USA.COM

eprasa.pl c6b514a6e3



z 2. Dywizji Strzelców, także 6. Dywizja Bezruczki (ok. 2 tys. żołnierzy). Przyjmował on 9 maja 1920 r. wraz z dowódcą 3. Armii gen. Edwardem Śmigłym-Rydzem polsko-ukraińską defiladę w Kijowie, uwolnionym od rosyjsko-bolszewickiego okupanta.

Andrij Rukkas zwraca uwagę, że na sukces ofensywy kijowskiej złożyło się nie tylko szybkie uderzenie polskich armii – ze skromnym udziałem jednostek ukraińskich – lecz także działania licznych ukraińskich antybolszewickich oddziałów partyzanckich, które niszczyły składy i linie zaopatrzeniowe Armii Czerwonej, przejście na stronę polską Czerwonej Ukraińskiej Armii Halickiej oraz walki z bolszewikami Armii Czynnej URL pod dowództwem gen. Mychajła Omelianowicza-Pawlenki.

W dniu, gdy odbywała się defilada w Kijowie, pod Jampolem nastąpiło spotkanie liczącej ok. 4,3 tys. żołnierzy oddziałów Armii Czynnej – kończącej słynny „rajd zimowy" – z oddziałem zwiadowczym ukraińskiej 2. Dywizji Strzeleckiej, która miała zaatakować to miasto. Pułkownik Ołeksandr Udowyczenko wspominał: „Wszędzie rozlega się żołnierski okrzyk: »Sława Ukrainie, sława Atamanowi Symonowi Petlurze, sława atamanowi Omelianowiczowi-







Generał Marko Bezruczko

FOT. WIKIPEDIA

-Pawlence, wszystkim oficerom sławnej Armii Czynnej. Znów powstanie Ukraina i już nigdy nie umrze, nie zginie«".

Niestety, społeczeństwo ukraińskie na Ukrainie Naddnieprzańskiej nie odpowiedziało w stopniu zadowalającym na wezwanie do wstępowania do armii URL. Wprawdzie, jak zauważa Rukkas, po dwóch miesiącach od rozpoczęcia ofensywy armia Petlury powiększyła się czteroipółkrotnie, do 18 tys. żołnierzy, jednak „były to siły mizerne", niewspółmierne do potencjału ludzkiego Ukrainy.

Autor książki zwraca uwagę na bierność społeczeństwa ukraińskiego: „Nie przejawiało ono szczególnej chęci do walki o Ukrainę i zapisywania się do wojska". Było to spowodowane m.in. słabym oddziaływaniem propagandowym władz URL. Inna rzecz, że zabrakło na to czasu.



Podziękowanie „Śmigłego"

Podczas odwrotu 3. Armii z Kijowa ukraińska 6. Dywizja Strzelców skutecznie osłaniała jej flankę. Dowódca 3. Armii, gen. Śmigły-Rydz wystosował specjalne podziękowanie dla żołnierzy ukraińskich. Komunikat Naczelnego Dowództwa Wojsk Polskich głosił, że 4 lipca 1920 r. „oddziały ukraińskie, walcząc bez przerwy przez 12 godzin, odbiły czterokrotnie ataki nieprzyjacielskie, a podczas odpierania ataków kilkakrotnie dochodziło do walki wręcz. Straty nieprzyjaciela bardzo ciężkie". Nad Zbruczem Armia Czynna URL powstrzymywała w końcu lipca natarcie sowieckie i zlikwidowała przyczółek nieprzyjaciela na zachodnim brzegu rzeki.

Miesiąc później obroną Zamościa dowodził gen. Bezruczko, mając do dyspozycji żołnierzy ukraińskich ze swojej 6. Dywizji oraz polskich. Ukraińscy saperzy z pomocą polskiej ludności rozmieścili wokół miasta linię zasieków, złożoną nawet z czterech rzędów. Rosyjska kawaleria usiłowała z marszu zająć Zamość 27 sierpnia. Bez skutku. 31 sierpnia wróg odstąpił od miasta. Jednocześnie inne oddziały 6. Dywizji wraz z 2. Dywizją Piechoty Legionów broniły się pod Grabowcem. Polacy i Ukraińcy dzięki obronie Zamościa i walce pod Grabowcem o dwa dni opóźnili ofensywę Konarmii Budionnego.

We wrześniu 6. Armia Józefa Hallera i Armia Czynna URL współdziałały w wypieraniu wojsk bolszewickich z Galicji Wschodniej. Ukraińcy po walkach ulicznych w Tarnopolu oczyścili miasto z czerwonoarmistów. 18 września wojska polskie i ukraińskie przekroczyły Zbrucz i znalazły się na terytorium Ukraińskiej Republiki Ludowej. Oddziały ukraińskie wyzwoliły Kamieniec Podolski, Płoskirów i Starokonstantynów. Pod Barem Samodzielna Dywizja Kawalerii szarżowała na trzy pułki rosyjskiej piechoty, rozbijając je doszczętnie.

Po zawarciu rozejmu między Polską a Rosją bolszewicką marszałek Piłsudski wydał rozkaz do wojsk ukraińskich: „Żegnam wspaniałe wojsko Ukraińskiej Republiki Ludowej i stwierdzam, że w najcięższych chwilach, wśród nierównych walk, niosły one wysoko swój sztandar, na którym wypisane hasło »Za naszą i waszą wolność« jest wyznaniem wiary każdego uczciwego żołnierza".

Choć Polska przestała walczyć z Rosją bolszewicką, to nadal zaopatrywała armię ukraińską, walczącą z Armią Czerwoną, przekazując 2 tys. karabinów, 10 tys. szyneli, ponad 8 tys. par obuwia. Niestety, nie można było wesprzeć Ukraińców nabojami i pociskami, gdyż amunicja do rosyjskich karabinów i dział – a takie głównie posiadali – była na wyczerpaniu. Zadecydowało to w ogromnej mierze o porażce Armii Czynnej URL za Zbruczem. Niemal wszyscy żołnierze 2. Brygady Zaporoskiej zginęli, idąc do ataku na bagnety, gdyż nie mieli amunicji. 21 listopada 1920 r., walcząc do ostatka, ostrzeliwując się, żołnierze ukraińscy przeszli na polski brzeg Zbrucza. Władze polskie nie miały wyjścia – wobec zawarcia rozejmu z Rosją musiały ich internować.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

oprac. Tomasz Stańczyk

eprasa.pl c6b514a6e3



Żołnierze Ukraińskiej Halickiej Armii po przejściu do Armii Ochotniczej gen. Denikina FOT. WIKIPEDIA

1918–1920 / Galicja Wschodnia i Ukraina Naddnieprzańska

Odyseja Ukraińskiej Armii Halickiej

W styczniu 1919 r. wysłannik ententy, francuski generał Joseph Barthelemy, usiłował zakończyć zbrojny konflikt Polski z Zachodnioukraińską Republiką Ludową. Rozpoczął się on 1 listopada 1918 r. od proklamowania tego państwa



Tomasz Stańczyk

Ukraińska armia z Galicji biła się z Polakami, czerwonoarmistami, denikinowcami i własnymi rodakami

eprasa.pl c6b514a6e3

i od ukraińskiej próby opanowania Lwowa. Trzytygodniowe walki w mieście zakończyły się po przybyciu oddziałów Wojska Polskiego na odsiecz polskim obrońcom Lwowa. Żołnierze ukraińscy opuścili miasto, lecz był to dopiero początek wojny.

Siłą zbrojną Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej była Armia Halicka (Galicyjska). W jej skład wszedł Legion Ukraińskich Strzelców Siczowych, formacja analogiczna do Legionów Polskich, stanowiąca do upadku monarchii habsburskiej część armii austro-węgierskiej. Jej ukraińscy żołnierze przeszli do Armii Halickiej, która korzystała też z zarządzonego przez władze ZURL poboru.

Krew i żelazo

Barthelemy zaproponował linię rozejmową w Galicji Wschodniej, pozostawiającą większą jej część po stronie ukraińskiej, mniejszą, ale ze Lwowem i borysławskim zagłębiem naftowym, po stronie polskiej. Francuski generał obiecywał Ukraińcom, że jeśli zgodzą się na jego rozgraniczenie, to ententa uzna Zachodnioukraińską Republikę Ludową. A gdyby tak się stało, również Polska musiałaby ją uznać. Zresztą Józef Piłsudski, zwolennik „prucia Rosji po szwach narodowych" i autor antyrosyjskiej koncepcji federacyjnej, i tak był zwolennikiem niepodległości Ukrainy.

Ukraińcy, których aspiracje terytorialne sięgały za San, odrzucili jednak tę propozycję. Czuli się wówczas silni, nie rezygnowali ze zdobycia Lwowa. Generał Armii Halickiej i jej późniejszy dowódca Mychajło Omelianowicz-Pawlenko stwierdził: „Niech nas rozsądzi krew i żelazo".

Tak też się stało. Ukraiński historyk Jarosław Hrycak oceniał:

„Propozycja Barthelemy'ego była realną możliwością rozwiązania konfliktu polsko-ukraińskiego. W przypadku jej przyjęcia zlikwidowany zostałby zachodni front zjednoczonego państwa ukraińskiego [w styczniu 1919 r. ZURL połączyła się z naddnieprzańską Ukraińską Republiką Ludową – przyp. T.S.], a główny ciężar walk przeniósłby się na wschód, gdzie wojska Dyrektoriatu bezskutecznie starały się powstrzymać napór wojsk bolszewickich. Przybycie UHA [Armii Halickiej – przyp. T.S.] na pomoc Dyrektoriatowi stworzyłoby wojskową przewagę Ukraińców na froncie wschodnim".



Generał Mychajło Omelianowicz-Pawlenko
FOT. WIKIPEDIA



Żołnierz Ukraińskiej Halickiej Armii FOT. UINP.GOV.UA

A to właśnie Rosja bolszewicka była śmiertelnym zagrożeniem dla niepodległości Ukrainy. Rząd Lenina traktował proklamowanie w styczniu 1918 r. Ukraińskiej Republiki Ludowej jako separatystyczny bunt w jednej z prowincji Rosji. Rozpoczął więc walkę z URL, a z inspiracji Moskwy ukraińscy bolszewicy proklamowali w styczniu 1919 r. Ukraińską Socjalistyczną Republikę Sowiecką. Wysłany do Moskwy na pertraktacje delegat Dyrektoriatu, rządu URL, próbował ratować sytuację. „Zgodził się na proponowaną przez Rosję formułę rokowań – mediację między Dyrektoriatem a sowieckim rządem ukraińskim – i uznał wydarzenia na Ukrainie za wojnę domową, nie zaś rosyjską agresję" (Tadeusz Olszański, „Historia Ukrainy XX w."). Z mediacji tych nic nie wyszło: w lutym 1919 r. Armia Czerwona wkroczyła do Kijowa.

Za Zbruczem

Wojska Ukraińskiej Armii Halickiej wzięły udział w walkach z Armią Czerwoną, lecz dopiero pół roku po odrzuceniu propozycji Barthelemy'ego. Za późno, by ewentualnie odmienić bieg wydarzeń.

Przez pół roku wykrwawiały się w walce z Wojskiem Polskim w Galicji Wschodniej, tracąc 15 tys. żołnierzy (polskie straty wyniosły 10 tys.). W połowie lipca Armia Halicka została wyparta z Galicji Wschodniej i przekroczyła Zbrucz, a polscy żołnierze zatrzymali się na linii tej rzeki.

Maciej Krotofil, autor książki „Ukraińska Armia Halicka 1918–1920", oceniał: „Pod względem liczebności, wyposażenia i wartości bojowej oddziały te nie ustępowały walczącym z nimi jednostkom Wojska Polskiego. Sprawnie przeprowadzona mobilizacja wymownie świadczy o skuteczności utworzonego przez Ukraińców aparatu administracyjnego. Mimo ogromnych trudności organizacyjnych haliczanom udało się stworzyć stosunkowo silną i sprawną armię z liczną i bitną piechotą, dobrze wyszkoloną artylerią, lotnictwem oraz innymi rodzajami wojsk".

Gdy Armia Halicka przekraczała Zbrucz, wojska Ukraińskiej Republiki Ludowej, na której czele stał Symon Petlura, znajdowały się w dramatycznej sytuacji. Były przypierane przez Armię Czerwoną do Zbrucza. Przyłączenie się Armii Halickiej do armii URL uratowało sytuację. Oddziały halickie nie były rozbite, prezentowały wyraźnie lepsze morale i dyscyplinę niż oddziały URL, były też zaprawione w boju z Polakami oraz stanowiły większość połączonych sił ukraińskich. Niemal z marszu haliczanie podjęli – wraz z armią URL – walkę z wojskami bolszewickimi, choć Jewhen Petruszewycz, dyktator ZURL, uważał Polskę za głównego wroga.

Haliczanie odegrali ogromną rolę w zwycięskim marszu Ukraińców na Kijów, brali udział w zdobyciu miasta 30 sierpnia 1919 r. Jedak triumf i radość z odzyskania ukraińskiej stolicy trwały tylko jeden dzień. Nazajutrz bowiem do Kijowa weszły oddziały rosyjskiej „białej" Armii Ochotniczej gen. Antona

eprasa.pl c6b514a6e3



Groby żołnierzy Ukraińskiej Halickiej Armii na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie

FOT. WIKIPEDIA/PRYMASAL

Denikina. Podobnie jak bolszewicy nie uznawał on niepodległej Ukrainy. Dla niego nie było Ukrainy, tylko „Małorosja".

Na tle stosunku do Denikina doszło do poważnych różnic między Petruszewyczem i Petlurą. Jak stwierdzał Jarosław Hrycak, Petruszewycz nie chciał walki z rosyjską Armią Ochotniczą, gdyż liczył na porozumienie z ententą, wspierającą Denikina. Petlura natomiast, nie mając złudzeń co do wrogości generała wobec niepodległości Ukrainy, skłaniał się ku sojuszowi z Polską. Ostatecznie doszło do porozumienia niejako wymuszonego rozpoczęciem przez Denikina walki z armią ukraińską.

Znajdowała się ona w fatalnym położeniu, pomiędzy trzema wrogami: armią polską (na tym odcinku frontu panował jednak rozejm), bolszewicką i rosyjską. Na domiar złego zapanowała w szeregach ukraińskich epidemia tyfusu, brakowało lekarstw, zaopatrzenia, umundurowania. Szeregi wojska dramatycznie topniały. Miejsce koncentracji wojsk ukraińskich pomiędzy Lubarem, Czartorią i Miropolem (okolice Żytomierza i Płoskirowa) zostało nazwane „trójkątem śmierci".

Generał Miron Tarnawski, dowódca Armii Halickiej, uznał, że utraciła ona zdolność bojową, a w tej sytuacji dalsza walka – czy to z Armią Ochotniczą, czy też z Armią Czerwoną – oznaczałaby jej zagładę. Podjął zatem rokowania z Denikinem, torpedowane przez Petruszewycza, który oskarżył Tarnawskiego o zdradę. Tarnawski utracił stanowisko, lecz nowy dowódca Ukraińskiej Armii Halickiej, gen. Osyp Mykytka, doprowadził w listopadzie 1919 r. do porozumienia z Denikinem. Zostało zawarte nie tylko zawieszenie broni. Haliczanie – już jako Ukraińska Armia Halicka – przeszli na stronę Armii Ochotniczej, jednak z zastrzeżeniem, że nie będą walczyć ze swoimi braćmi z armii Ukraińskiej Republiki Ludowej. „Krok ten – oceniał Tadeusz Olszański – niezbędny dla uratowania armii był jednak zdradą i wykopał przepaść między patriotami Galicji i Naddnieprza".

Tymczasem sytuacja armii ukraińskiej, od której odeszła UHA, była już beznadziejna. Rząd Petlury postanowił przejść wobec tego do działań partyzanckich. Ale zdolni do walki żołnierze pod dowództwem byłego dowódcy UHA Omelanowicza-Pawlenki ruszyli na początku grudnia 1919 r. w pochód zimowy, wydostając się z okrążenia na tyły wojsk denikinowskich, staczając tam z nimi potyczki, a potem walcząc z wojskami bolszewickimi.

Czerwoni haliczanie

W tym samym miesiącu w szeregach UHA rozpoczął się ferment, powstawały probolszewickie komitety rewolucyjne. Dowództwo UHA z gen. Mykytką na czele chciało ewakuować armię do Rumunii. Jednak władze rumuńskie nie zgodziły się przyjąć Ukraińców na swoim terytorium, z drugiej zaś strony blokował ten plan rewkom (komitet rewolucyjny) UHA. Doprowadził on w lutym 1920 r. do połączenia się haliczan z Armią Czerwoną. Odtąd ukraińskie oddziały, liczące ok. 5 tys. zdolnych do walki żołnierzy, nosiły nazwę Czerwona Ukraińska Armia Halicka. Wprowadzono do niej bolszewickich komisarzy politycznych. Dwaj dowódcy brygad tej armii godni są uwagi. Pierwszy to Alfred Bisanz, austriacki oficer, urodzony w Galicji Wschodniej. W latach drugiej wojny światowej był współorganizatorem ukraińskiej dywizji SS „Hałyczyna". Aresztowany w 1945 r. w Wiedniu przez Sowietów, został rozstrzelany. Drugi to Julian Hołowiński, w latach 20. krajowy komendant Ukraińskiej Organizacji Wojskowej i organizacji Ukraińskich Nacjonalistów w Polsce. W 1930 r. został zastrzelony przez polskich policjantów, oficjalnie podczas próby ucieczki.

Bolszewicy nie ufali – i słusznie, jak się miało okazać – żołnierzom ukraińskim z Galicji. Nie pozwolili, by CzUHA działała jako samodzielny związek operacyjny. Ważny był dla nich efekt propagandowy. Maciej Krotofil, autor monografii Ukraińskiej Armii Halickiej, zauważał: „Czerwona Ukraińska Armia Halicka miała być dla bolszewików wygodnym podmiotem ułatwiającym propagandę związaną z planowanym zajęciem Galicji Wschodniej oraz walką z siłami Petlury".

Jednak część oddziałów nie podporządkowała się temu. Najważniejszym oddziałem była kawaleria dowodzona przez atamana Edmunda Szeparowycza. W marcu 1920 r. doszło do bratobójczych walk między oddziałami CzUHA a oddziałami Ukraińskiej Republiki Ludowej dowodzonymi przez Omelianowicza-Pawlenkę.

W szeregach CzUHA narastał bunt przeciw bolszewikom. Znalazł on wyraz w poddaniu się dwóch brygad Wojsku Polskiemu.

„Opuszczenie frontu bolszewickiego przez większość sił zachodnioukraińskich w kwietniu 1920 r. świadczy wymownie o tym – oceniał Maciej Krotofil – iż ukraińscy żołnierze nigdy naprawdę nie identyfikowali się z ideami komunistycznymi".

W maju 1920 r. brygada kawalerii Szeparowycza, która dołączyła do zgrupowania dowodzonego przez gen. Omelianowicza-Pawlenkę, przeszła wraz z nim na stronę polską.

Jedynie część oddziałów 1. Brygady CzUHA brała udział w walkach z Polakami i została przez nich rozbita pod Machnówką. Żołnierze ukraińscy, którzy poddali się Polakom, zostali internowani. Nie mieli zamiaru zaciągnąć się do oddziałów armii ukraińskiej, która wraz z Wojskiem Polskim walczyła z Armią Czerwoną. Ponadto polskie władze wojskowe nie ufały niedawnym wrogom.

Tragiczny był natomiast los tych, którzy po przejściu dwóch brygad CzUHA na stronę polską pozostali w jej szeregach. „Około 300 oficerów ukraińskich umieszczono w obozie w Kożuchowie pod Moskwą. Tylko nieliczni zdołali stamtąd wrócić – stwierdzał Maciej Krotofil. – Oddziały halickie, które pozostawały jeszcze w składzie jednostek sowieckich, zostały z nich w późniejszym czasie wydzielone, rozbrojone i wywiezione na tyły. Tam umieszczono Ukraińców w specjalnych obozach. Wielu dowódców aresztowano i rozstrzelano". Taki los spotkał też dowódcę UHA, gen. Osypa Mykytkę, rozstrzelanego latem 1920 r.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c6b514a6e3

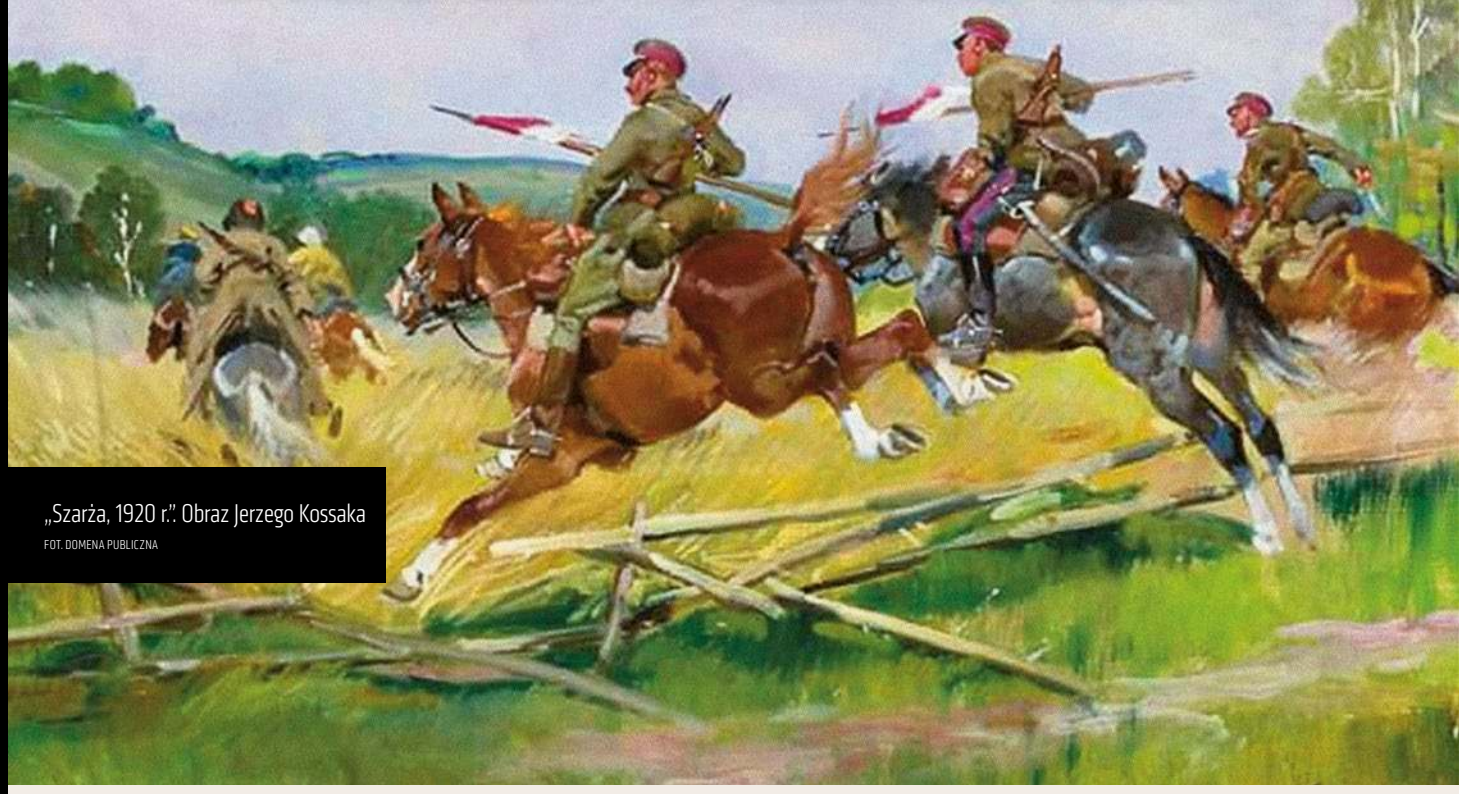


Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną oraz poprzez dostępną telewizję naziemną w województwie śląskim i okolicach. Dostępna jest również dla odbiorców korzystających z nadajnika MUX w Katowicach i okolicach, a także w internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl c6b514a6e3

Polacy kontra Konarmia / Wspomnienia Kornela Krzeczunowicza

Ostatnia taka szarża



„Szarża, 1920 r.". Obraz Jerzego Kossaka
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Spektakularne zmagania kawaleryjskie, kule świszczące koło uszu, tysięczne tłumy bolszewików czmychających przed pędzącymi polskimi jeźdźcami – to wszystko znajdziemy we wspomnieniach Kornela Krzeczunowicza

Szarża na czele całego pułku w rozwiniętym szyku, wzorowo wyrównanym, była bezwzględnie najpiękniejszą chwilą mojego życia" – wyznaje w swojej książce Kornel Krzeczunowicz (1894–1988). Niemal na każdej stronie „Ostatniej kampanii konnej" widać tę miłość do kawalerii, do świata, który bezpowrotnie przeminął.

Nie potrzebuję przypominać czytelnikowi-tradycjonaliście wyniosłego uczucia jeźdźca patrzącego z góry na świat, tym bardziej gdy pędzi cwałem i wiatr gwiżdże mu w uszach. O ileż wznioślejsze jest ono, gdy widzisz przed sobą nie ogary czy charty pędzące za uciekającym zwierzem, lecz na równi z tobą uzbrojonego i groźnego przeciwnika, gdy stawką jest życie, odpowiedzialność za twoich ludzi, a czasem nawet więcej – los miłej Ojczyzny. W toku swojej długiej historii wojennej Polak zrósł się z koniem do tego stopnia, że

eprasa.pl c6b514a6e3

piechota i inne bronie nieraz bywały w karygodnym zaniedbaniu. Przyczyną tego było pięć wieków walk z najeźdźcami ze Wschodu.

Krzeczunowicz, Polak z ormiańskimi korzeniami, który pochodził z ziemiańskiej rodziny z okolic Lwowa, bronił Polski w 1920 r. przed bolszewickim najazdem. W czasie tamtej wojny walczył w szeregach 8. Pułku Ułanów ks. Józefa Poniatowskiego (w sierpniu 1920 r. przejął dowództwo nad tą jednostką), który na południowo-wschodnim teatrze działań powstrzymywał pochód kawalerii Budionnego. Wspomniana szarża miała miejsce w czasie bitwy pod Komarowem. Profesor Norman Davies napisał o tym starciu, że był to „spektakl, jakiego Europa nie oglądała już nigdy więcej". Pod Komarowem doszło bowiem do ostatniej wielkiej bitwy kawaleryjskiej w historii. Polacy pobili wówczas 1. Armię Konną Siemiona Budionnego.

Na Wschód z Sienkiewiczem

Zanim jednak do tego doszło, rtm. Krzeczunowicz wraz ze swoją jednostką wyruszył na Wschód w ramach wyprawy kijowskiej. W swoich wspomnieniach wprost przyznaje, że co rusz odzywała się w nim wówczas młodzieńcza fascynacja arcydziełem Henryka Sienkiewicza.

Trudno opisać entuzjazm wojska przekraczającego Słucz w ten wiosenny poranek – wojska maszerującego na oczach swego Naczelnego Wodza w głąb Ukrainy, ku historycznym kresom dawnej Rzeczypospolitej, do najbogatszego, najbujniejszego, mlekiem i miodem płynącego kraju, pachnącego zielem i kwieciem. I nie tylko widok kwiatu jazdy polskiej i wiosenny krajobraz były przyczyną naszej radości. Nasza generacja, wszyscy oficerowie od dowódcy szwadronu w dół do ostatniego umiejącego czytać szeregowca, była wychowana na lekturze „Trylogii" Sienkiewicza. I teraz chętnie na skrzydłach lecielibyśmy ku tym stepom, na których mieliśmy powrócić do tradycyjnych konnych bojów (po czterech tragicznych latach „wielkiej wojny" w okopach), na ziemi pokrytej przedhistorycznymi kurhanami i zroszonej krwią naszych przodków, którzy tu właśnie pełnili swoje zadanie przedmurza chrześcijaństwa. Nie dziwota, że język Sienkiewicza był wspólnym językiem tych jeszcze obcych sobie oddziałów.

Po drodze na Wschód nie brakowało spotkań z rodakami, którzy od wielu pokoleń żyli na Ukrainie. Często nie były to łatwe rozmowy...

„Pada strzał, czuję silne uderzenie w lewą skroń, robi mi się ciemno w oczach i nie mam wątpliwości, że już jestem nieboszczykiem"

Najbardziej kłopotliwy był nasz stosunek do miejscowych Polaków. Gościnność ich była wzruszająca, ale każdy z nich – chyba z jednym wyjątkiem, bardzo nielicznych drobnych rolników – zapytywał, czy ma pozostać czy wyjeżdżać do Polski. Byli wyraźnie przemęczeni przejściami rewolucyjnymi, trwającymi już trzy lata. Cóż mógł im odpowiedzieć zapytany oficer polski, na którego patrzyli jak na niezwyciężonego protektora? Nie byliśmy informowani o ogólnej sytuacji ani o zamiarach Naczelnego Wodza. Wyczuwaliśmy, że nasza ofensywa już dalej nie pójdzie – że nawet może dojść do lokalnych odwrotów, jak ostatnio z Korsunia i Kaniowa. Ale tego nie mogliśmy głośno mówić, bo taka ocena sytuacji rozeszłaby się lotem błyskawicy wśród całej ludności, a Ukraina przede wszystkim potrzebowała pewności siebie, aby móc zorganizować się. Zapytany oficer mógł więc tylko bardzo cicho doradzić nowym przyjaciołom, aby oddalili się nieco od linii frontu, na której może dojść do ciężkich walk – i powrócili później, w spokojniejszym czasie.

Jednak jeszcze pod koniec maja, gdy nawała bolszewicka wciąż nabierała sił, by uderzyć na Polaków, na froncie dochodziło do sytuacji, które zupełnie nie pasowały do powszechnego wyobrażenia o wojnie 1920 r. Po raz kolejny okazało się, że „ułańska fantazja" nie znała granic.



Kornel Krzeczunowicz. Reprodukcja obrazu Wojciecha Kossaka FOT. ARCHIWUM

Nazajutrz po powrocie do Taraszczy (22 maja) spotkała nas miła niespodzianka. Kwaterujący w Siniawie – białocerkiewskiej cukrowni sprawnie zarządzanej przez dyrektora Polaka i spółdzielnię robotników – 1. Pułk Ułanów Krechowieckich urządził zawody konne, na które zaprosił jako widzów wszystkich oficerów dywizji. Dowódca pułku nakazał pozostawienie po jednym oficerze na szwadron; wszyscy inni mieli gremialnie konno jechać do Siniawy. Widok, jaki się nam przedstawił, był zupełnie jak z bajki. Na placu sportowym cukrowni z trybunami poustawiano nienaganne przeszkody i oficerowie krechowieckiego pułku rozpoczęli normalny konkurs na angielskich siodłach, jak za najlepszych pokojowych czasów – w chwili, gdy niedaleko od nas lawina Armii Konnej szykowała się do ofensywy. Na taki luksus mógł sobie pozwolić tylko ten pułk. Ciągnął za sobą własny tabor prywatny, większy od przepisowego, i posiadał wszystko, co potrzebne do normalnego życia garnizonowego. Z zazdrością patrzyliśmy na ten piękny, przez nas dawno zapomniany widok. Ostatnie zawody w pułku mieliśmy w czasie wypoczynku za frontem wiosną 1916 r.

Głodowy przednówek

Ciągłe zmiany przebiegu linii frontu sprawiały, że nie tylko polscy żołnierze mogli się pogubić w tej dynamice. Tempo wypadków zaskakiwało również lokalnych mieszkańców, którzy nierzadko nie rozumieli, kto dokładnie zajął ich miejscowość – wróg czy „swój".

Ludność z trudem pojmowała rzeczywistość wojenną, dotąd jej nieznaną. W jednym z miasteczek karczmarka żydowska omalże nie postradała zmysłów. W nocy stali u niej budionnowcy, doszczętnie objedli jej gospodarstwo i dopytywali się o wojsko polskie, którego ona nigdy nie widziała. Rano nagle i niespodziewanie przybyli właśnie ci poszukiwani żołnierze polscy (14. Pułk Ułanów), pili i jedli pozostawione resztki. I to nie był koniec niespodzianek. Nagle wpadło kilku Kozaków i nieszczęsna Żydówka zapadła pod ladę w przekonaniu, że teraz musi wybuchnąć bitwa, która zmiecie ją i jej interes z powierzchni ziemi. Nie wiedziała biedaczka, że są to nasi nowi sprzymierzeńcy, Kozacy dońscy, którzy ochotniczo wstąpili do 14. Pułku.

Na początku czerwca wojska polsko-ukraińskie przygotowywały się do odwrotu z Kijowa. 8. Pułk Ułanów ks. Józefa Poniatowskiego (działający w ramach 1. Dywizji Jazdy) miał osłaniać

eprasa.pl c6b514a6e3



Polska kawaleria w czasie bitwy nad Niemnem FOT. WOJSKOWE BIURO HISTORYCZNE

wycofującą się 6. Armię. Polscy kawalerzyści mieli jednak potężny problem.

Nasza dywizja jest poważnie osłabiona tak krwawymi, jak i marszowymi stratami, a przede wszystkim brakiem furażu dla koni. W najgorszym okresie głodowego przednówka dostajemy się w lesiste okolice, w których poza trawą niczego dla koni zdobyć nie można, a niewiele poza kwaśnym mlekiem dla ludzi, bo w wielu wsiach brak już chleba. Dumna trójbrygadowa dywizja, która w połowie maja liczyła jeszcze 4700 szabel (niestety niepołączonych w jedną całość przed 11 czerwca), spada po ostatniej bitwie do połowy tego stanu, a marsze w następnych dniach dalej ją wykruszają.

Jak niemal każdy z 8. Pułku Ułanów w trakcie tak intensywnych walk z bolszewikami również rtm. Krzeczunowicz musiał w końcu spojrzeć śmierci prosto w oczy. Wszystko wskazuje na to, że autor „Ostatniej kampanii konnej" miał wówczas przy swoim boku Anioła Stróża, a być może nawet i dwóch.

Pada strzał, czuję silne uderzenie w lewą skroń, robi mi się ciemno w oczach i nie mam wątpliwości, że już jestem nieboszczykiem. Myśl jednak szybko pracuje w takim momencie. Logicznie wnioskuję, że powinienem był spaść z konia, a to nie nastąpiło. Wobec tego próbuję otworzyć oczy, ale mi to nie pomaga. Dopiero przy drugim strzale – znów mogę widzieć i spostrzegam, że siły moje wzrosły o kilkunastu ułanów. Wobec tego ryczę: „Hurra!" i przeskakuję okop. Bolszewicy muszą mnie uważać za nadczłowieka, bo mimo że dużo od nas silniejsi, robią w tył zwrot i wieją w jakiś parów, do którego już ich nie ścigam. [...] Moi ludzie i konie odpoczywają w cieniu drzew, a ja przypominam sobie, że muszę zbadać, dlaczego jeszcze żyję. Zdejmuję czapkę i widzę, że mam dwie dziury w otoku po lewej stronie. Obmacuję skroń i czuję lekkie draśnięcie oraz brak pęka włosów – a więc dosłownie cudem uniknąłem śmierci. A jednak ciśnienie powietrza było tak silne, że czułem jakby uderzenie młotkiem w skroń, i dlatego na chwilę straciłem przytomność.

Krzeczunowicz na dereszu

Wreszcie 31 sierpnia 1920 r. kawalerzyści z 8. Pułku Ułanów przestają się cofać i dochodzi do słynnej bitwy pod Komarowem (na przedmieściach Zamościa). Sześć pułków polskiej jazdy stanęło naprzeciw 20 pułków Konarmii. Widok ten musiał zapierać dech w piersiach. Tak wspominał to płk Henryk Brzezowski, dowódca 7. Brygady Jazdy (w jej skład wchodził 8. Pułk Ułanów), którego zacytował w swojej książce rtm. Krzeczunowicz:

Przychodzi moment decydujący. Wszystko dołącza do 8. Pułku Ułanów; wszyscy wyciągnęli szable i pistolety; sztab dywizji i sztab brygady; mały oddział 1. Pułku Ułanów, liczący może trzydziestu jeźdźców. Nim pułk cwałem do szarży ruszył, wytrzymać jeszcze musiał krytyczny wstrząs. Zwaliły się nań grupy cofającego się 9. Pułku Ułanów, co wywołało na moment nie zamieszanie, lecz jakby złowróżbne drgnienie w jego wyrównanych szeregach. Ale już cofający się zniknęli w odstępach między szwadronami, już pada jak grom komenda: „Rozwinięty, galopem, hurra!". Jadący w roli szperacza przed prawym skrzydłem pułku (grzbietem wyżyny) adiutant pułku, ppor. Aleksander Krzeczunowicz, oddaje szereg strzałów z pistoletu, rotmistrz Krzeczunowicz płazem szabli wprowadza swego przemęczonego deresza w cwał, i już pułk całym impetem rusza do szarży i w mgnieniu oka pokrywa odległość kilkudziesięciu zaledwie kroków, dzielącą go jeszcze od wroga. Tej niezwykle silnej szarży nie wytrzymał nieprzyjaciel. Przyjął ją salwą z pistoletów, ledwie dosłyszalną wśród naszych gromkich „hurra" i natychmiast podał tyły. Wzdłuż całej linii frontu nawróciły jego oddziały. W jednym miejscu przełamana, cała 6. Dywizja bolszewicka galopem opuszczała pole bitwy, ścigana przez 8. i 9. pułki ułanów. Było to widowisko wspaniałe, którego nigdy w życiu nie zapomnę. Nagły ten zwrot, od tej tak groźnej sytuacji do zupełnego zwycięstwa, nie potrafił mnie jednak oszołomić. [...] Bitwa pod Komarowem była skończona. Zakończyły ją 8. i 9. pułki ułanów, przy wydatnej pomocy artylerii konnej całej dywizji. Budienny przedostał się przez Huczwę. [...] Cios jednak, jaki zadaliśmy Budiennemu pod Komarowem, straty krwawe i materialne, które poniósł w tych walkach, załamały jego siłę moralną.

Na koniec zacytujmy fragment „Marsza 8. Pułku Ułanów", którego rtm. Krzeczunowicz nie umieścił wprawdzie w swojej książce, ale który stanowi idealną puentę całej tej historii:

Pod miasteczkiem Komarowem batalija wielka,
Ruskich było na tysiące, a ułanów trzysta,
Ruskich było na tysiące, a ułanów trzysta.

Hej, wy, lekkie szwoleżery nie róbcie nam wstydu,
Zaczekajcie pół godziny, aż ułani przyjdą,
Zaczekajcie pół godziny, aż ułani przyjdą.

Bo ułani dobrze biją, dobrze atakują,
A jak pójdą na bij-zabij, ruskie zrejterują,
A jak pójdą na bij-zabij, ruskie zrejterują.

Tam na wzgórzu na dereszu Krzeczunowicz leci,
Wymachuje, rozkazuje: „Trzymajcie się dzieci!",
Wymachuje, rozkazuje: „Trzymajcie się dzieci!".

A ułani dobrze biją, dobrze atakują,
Jak ruszyli na bij-zabij, ruskie zrejterują,
Jak ruszyli na bij-zabij, ruskie zrejterują.

A z krwawego pola bitwy krwawo słońce schodzi
I Budionny z Kozakami hen za Dniepr uchodzi,
I Budionny z Kozakami hen za Dniepr uchodzi!

oprac. Piotr Włoczyk



KORNEL KRZECZUNOWICZ
„OSTATNIA KAMPANIA KONNA"
LTW

eprasa.pl c6b514a6e3

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA
MARIUSZ NOWIK: „PALMIRY. ZABIĆ WSZYSTKICH POLAKÓW”

OPOWIEŚĆ O MIEJSCU, KTÓRE NADAL SKRYWA TAJEMNICE.
OPOWIEŚĆ, KTÓRA PRZYWRACA PAMIĘĆ O OFIARACH.

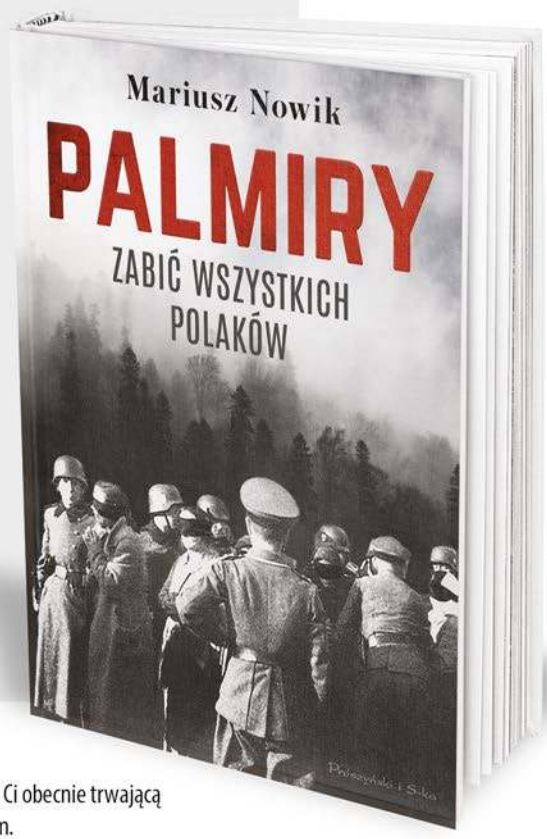
Palmiry - miejsce masowych hitlerowskich egzekucji polskich elit społecznych i intelektualnych. Ginęli tam ludzie uznani za "wrogów Rzeszy" i "politycznie niepewni" - osadzeni na Pawiaku i w więzieniu na Rakowieckiej, w areszcie śledczym na Daniłowiczowskiej, w celach siedziby gestapo w alei Szucha.

W palmirskim lesie zatrzymywały się budy wypełnione więźniami. Ofiarom krępowano ręce i zasłaniano oczy. Niemcy pędzili ich grupami w głąb lasu, ustawiali nad świeżo wykopanymi dołami. Pluton egzekucyjny składał się do strzału, salwa niosła się echem wśród drzew. Rannych dobijano, czasem grzebano ich żywcem. Zapełnione mogiły Niemcy zasypywali, maskowali ściółką i sadzili młode sosny. Przesiąknięta krwią ziemia miała nigdy nie zdradzić powierzonej jej tajemnicy.

Jak Niemcy między grudniem 1939 roku a lipcem 1941 roku stworzyli małą fabrykę śmierci?
Po co leśniczy wbijał łuski pocisków w pnie drzew?
Czy komukolwiek udało się uciec z transportu do Palmir?
W jaki sposób skazani próbowali powiedzieć światu o zbrodni w Palmirach?
Dlaczego po dziś dzień ludzie bezskutecznie szukają tam swoich najbliższych?

"Wstrząsające dowody martyrologii Polski, jakich świadkiem byłem w Palmirach, przekraczają wszystkie moje dotychczasowe wyobrażenia o zbrodniach niemieckich."

Emil Bösch,
delegat Międzynarodowego Czerwonego Krzyża



143 zł
oszczędność 43 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NR.
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl c6b514a6e3



Pierwsze posiedzenie plenarne delegatów polskich i sowieckich w Rydze

FOT. KUJAWSKO-POMORSKA BIBLIOTEKA CYFROWA

Dyplomacja / Symon Petlura na lodzie

Zdrada ryska



Piotr Zychowicz

Polska złamała umowę z Ukrainą i dogadała się z Sowietami. Traktat ryski do złudzenia przypomina Jałtę

W 1945 r. Polska została sprzedana przez swoich „sojuszników" Związkowi Sowieckiemu. Porozumienia jałtańskie stały się dla każdego Polaka symbolem podłości, zdrady i krzywd, które wyrządzili naszemu państwu Anglosasi.

Jednocześnie jednak wypieramy ze świadomości niewygodny fakt, że ćwierć wieku wcześniej zrobiliśmy dokładnie to samo, co „perfidni Anglosasi". Przehandlowaliśmy swoich sojuszników z czasu wojny 1920 r. bolszewikom. Mowa o zdradzeniu Ukraińskiej Republiki Ludowej Symona Petlury.

Podobieństwa Jałty i Rygi są uderzające. Konsekwencją ustaleń jałtańskich było wycofanie uznania przez Londyn i Waszyngton dla prawowitego rządu Rzeczypospolitej i uznanie marionetkowego „rządu" agenta NKWD Edwarda Osóbki-Morawskiego.

Co zaś stało się w Rydze? To samo. Już na pierwszym posiedzeniu konferencji pokojowej Grabski i jego koledzy wycofali poparcie dla sojuszniczego rządu Symona Petlury i uznali stworzony z agentów Czeka „rząd" sowieckiej republiki Ukrainy.

Przedstawiciel prawdziwego rządu Ukrainy, który zjechał do Rygi, nie został nawet wpuszczony na salę obrad. Tak został złamany czwarty punkt polsko-ukraińskiego paktu z 21 kwietnia 1920 r.

„Rząd ukraiński zobowiązuje się – głosił ten artykuł – nie zawierać żadnych umów międzynarodowych skierowanych przeciwko Polsce. Do tego samego zobowiązuje się Rząd Rzeczypospolitej Polskiej wobec Ukraińskiej Republiki Ludowej".

Prezent dla Sowietów

Tę zawstydzającą decyzję członkowie delegacji podjęli, podpierając się skandalicznym argumentem. Jak stwierdził główny rozgrywający polskiej delegacji pokojowej w Rydze Stanisław Grabski, sojusz polsko-ukraiński był „układem między Piłsudskim a Petlurą nieratyfikowanym przez Sejm, a więc nieobowiązującym".

Zdaniem postsowieckiego historyka Giennadija Matwiejewa zdumiewające i haniebne stanowisko Grabskiego było wielkim sukcesem sowieckiej delegacji.

„Warszawa bez targów – pisał – nawet bez jakichkolwiek oznak sprzeciwu porzuciła swego ukraińskiego sojusznika, z którym pięć miesięcy wcześniej podpisała porozumienie polityczne oraz

eprasa.pl c6b514a6e3

konwencję wojskową. A miało to miejsce wówczas, gdy Polacy prowadzili z powodzeniem ofensywę na Białorusi i Ukrainie. W perspektywie międzynarodowej fakt ten oznaczał zaprzestanie uznawania przez Polskę URL i utratę przez Symona Petlurę głównego sojusznika".

Wśród Ukraińców zapanowały takie same zdumienie i niedowierzanie, które zapanowały wśród Polaków, gdy Churchill wydał nas Stalinowi. Takie same były złudzenia, takie same płonne nadzieje...

„Kiedy poseł na Łotwie przysłał telegram, że Polacy uznali rząd sowiecki na Ukrainie – wspominał ukraiński działacz niepodległościowy Serhij Szełuchin – w naszym ministerstwie nie uwierzono do tego stopnia, że napisano do mnie, bym porozmawiał z posłem i pouczył go, by uważał bardziej na treść swoich doniesień".

Tak mocna była wśród Ukraińców wiara w Polskę...

Niestety, depesza mówiła prawdę. Polacy przychylili się do stanowiska Sowietów, którzy ogłosili, że Petlura i jego żołnierze są „buntownikami". Od tej pory Grabski i przewodniczący polskiej delegacji Jan Dąbski prowadzili rozmowy z „przedstawicielami Ukrainy", którzy nawet nie byli Ukraińcami, tylko bolszewickimi aparatczykami oddelegowanymi „na odcinek ukraiński".

Wystarczy napisać, że przywódcą owej „czerwonej Ukrainy" był... Bułgar Christian Rakowski. Podczas sporządzania dokumentów końcowych konferencji doszło do żenującej sytuacji. Żaden z owych panów nie potrafił bowiem pisać po ukraińsku i wersję traktatu w tym języku musiał sporządzić obecny w Rydze współpracownik Piłsudskiego – Leon Wasilewski.

„W ten sposób – pisał z dumą Jan Dąbski – przesądzony został los Ukrainy, która pozostała w obrębie wpływów rosyjskich". Trudno w tym miejscu nie przyznać, że ten, kto nadał temu – pożal się Boże – politykowi przydomek Jaś, wykazał się znakomitym wyczuciem. To, co zrobiono z Ukrainą, było bowiem nie tylko podłością, lecz także skrajną głupotą.

Traktat ryski zakończył marzenie o wyrwaniu Ukrainy spod wpływów moskiewskich. To wskutek tego układu Związek Sowiecki mógł zbudować swoją przyszłą potęgę i połknąć połowę Europy. Prawidła geopolityki są bowiem niezmienne. Moskwa posiadająca Ukrainę jest bowiem mocarstwem. Rosja pozbawiona Ukrainy jest znacznie słabsza.

„Ukraina przy Polsce to cofnięcie się do stanu XVII wieku – pisał Stanisław Cat-Mackiewicz – i usiłowanie odrobienia tych wszystkich błędów, które popełniliśmy od tych czasów. Ugoda hadziacka to związanie losów całej Ukrainy z państwem polsko-litewskim. Pokój andruszowski to podział Ukrainy na dwie połowy dla zmoskwiczenia jednej tej części, dla polonizacji części drugiej. Traktat andruszowski przetłumaczony na język XX stulecia nazywa się »programem politycznym Stanisława Grabskiego«".

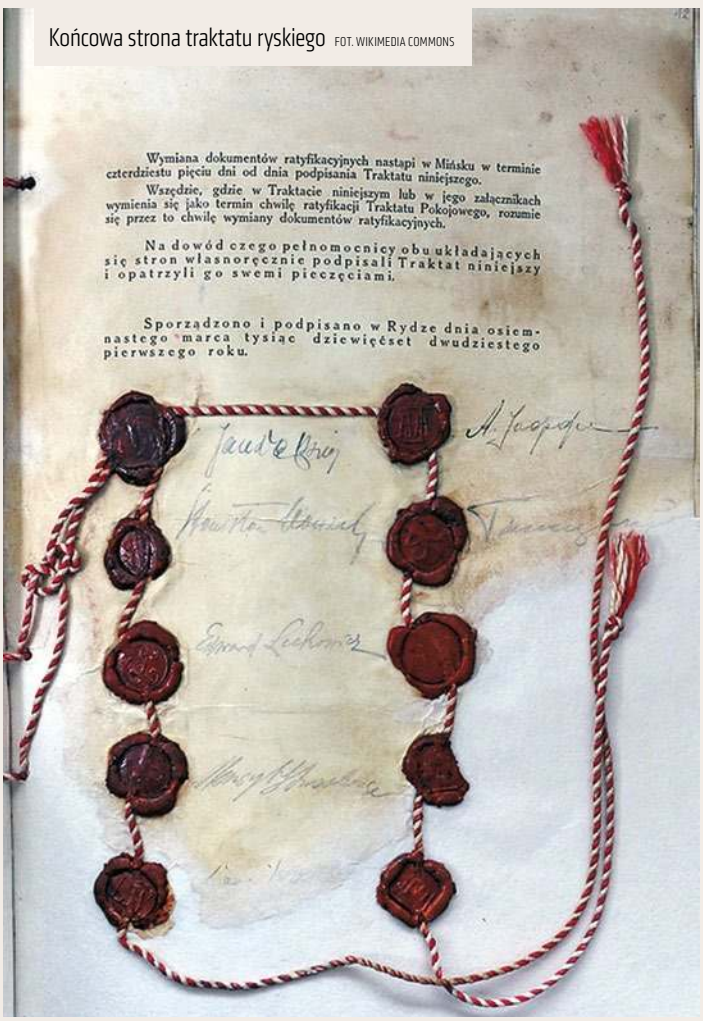
Traktat ryski nie tylko położył kres marzeniu o ukraińskiej państwowości, lecz także oddał miliony Ukraińców i mieszkających na Ukrainie Polaków pod straszliwe sowieckie jarzmo. Zaledwie dekadę po podpisaniu tego skandalicznego układu bolszewicy przeprowadzili ludobójczą kolektywizację, której skutkiem był wielki głód. Cztery miliony ludzi skonało w męczarniach. Gdyby Ukraina znalazła się w polskiej strefie wpływów, koszmar ten nigdy by się nie wydarzył.

Straszliwy rozejm

Wróćmy jednak na konferencję pokojową w Rydze. 12 października zawarte zostało zawieszenie broni między Polską a bolszewicką Rosją i bolszewicką Ukrainą. Prawowici przedstawiciele Ukrainy z obozu Symona Petlury nie tylko nie zostali wpuszczeni na salę obrad, lecz także Polska nawet nie poinformowała ich o zamiarze podpisania rozejmu, na mocy którego ich ojczyzna miała dostać się pod czerwoną okupację. O wydarzeniu tym nasi sojusznicy dowiedzieli się dopiero następnego dnia. Z gazet.

Był to dla Ukraińców prawdziwy wstrząs. Polska zdrada spadła bowiem na nich w najmniej oczekiwanym momencie. Wspólny wróg był przecież rozgromiony, sowieckie dywizje – a właściwie to, co z nich zostało – pierzchały na całej długości frontu. A wojska polskie i ukraińskie deptały im po piętach, w zawrotnym tempie wyzwalając kolejne miasta.

„W najcięższych godzinach narodowych i państwowych nieszczęść – pisał Symon Petlura na łamach »Syna Ukrainy« – Ukraina uczciwie i wiernie była z Polską. Niosła ona na


Końcowa strona traktatu ryskiego FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Wymiana dokumentów ratyfikacyjnych nastąpi w Mińsku w terminie czterdziestu pięciu dni od dnia podpisania Traktatu niniejszego.

Wszędzie, gdzie w Traktacie niniejszym lub w jego załącznikach wymienia się jako termin chwilę ratyfikacji Traktatu Pokojowego, rozumie się przez to chwilę wymiany dokumentów ratyfikacyjnych.

Na dowód czego pełnomocnicy obu układających się stron własnoręcznie podpisali Traktat niniejszy i opatrzyli go swemi pieczęciami.

Sporządzono i podpisano w Rydze dnia osiemnastego marca tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku.

eprasa.pl c6b514a6e3

sobie jej ciężar, dała jej do boju swoich najlepszych synów, ukraińskich kozaków-rycerzy. Swoją krwią umyła ona i broniła polskie granice. Dlaczego w tej chwili, na konferencji pokojowej, żaden z polskich przedstawicieli ani słowem nie wspomniał o tym, że Ukraina jest sojusznikiem Polski? Czemuż to tak? Czy nie jest zrozumiałe, że jest to obrazą tych wszystkich Ukraińców, którzy z polskim narodem zbrojnie odpierali bolszewicką nawałę, przelewając swą krew i ofiarowując swoje życie? Czyż nie należy liczyć się z tymi Ukraińcami, którzy uczciwie związali swój los z losem narodu polskiego?".

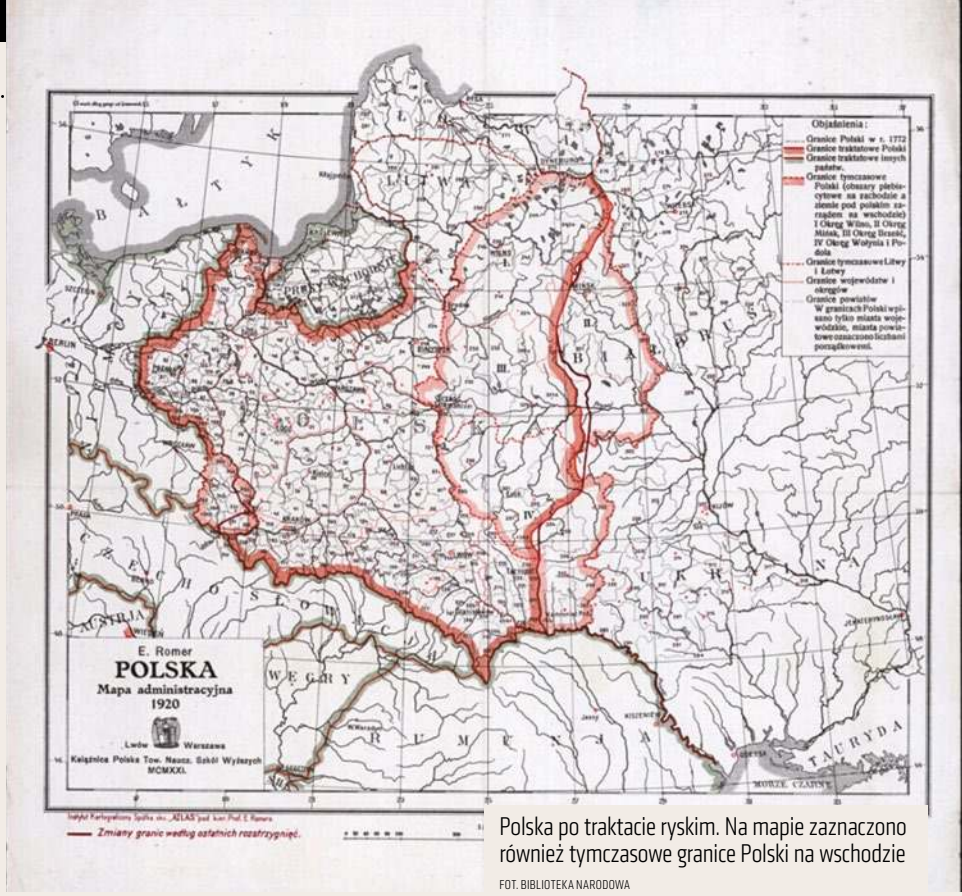
Na początku Ukraińcy łudzili się, że być może zaszła jakaś straszliwa pomyłka. Że sprawa jest do odkręcenia, że wstawi się za nimi Józef Piłsudski. Wszystkie protesty i apele do polskich władz pozostawały jednak bez odpowiedzi. Rozbijały się o mur obojętności. Oczywiście nie wszyscy Polacy nabrali wody w usta, tak źle z naszym narodem nie było. Zdradzenie Ukraińców przez rząd w Warszawie dla wielu z nich również było ciosem.

„Ukraina prowadzi walkę o niepodległość – napisano w artykule wstępnym polskiego pisma »Naród«. – Ona nie chce być pod Moskwą. Chce zdobyć sobie wolność, tak samo jak my ją zdobyliśmy. Ukraina jest z nami. I oto nam, którzy walczymy z Ukrainą w jednym szeregu, nakazują prowadzić rozmowy z inną Ukrainą, Ukrainą sowiecką. Wiemy dobrze, co reprezentuje sobą ta Ukraina.

Jakiś przysłany z Moskwy rząd złożony ze światowych awanturników, jakieś moskiewsko-chińskie czerezwyczajki, a razem z nimi niewielka kupka hołoty – tak jak u nas Marchlewski i Kon. Gdyby Sowieci przedłożyli nam upoważnienia nie tylko od Rosji i Ukrainy, lecz także od sowieckiej Polski, czy i wtedy prowadzilibyśmy z nimi rokowania? Czy weszlibyśmy na drogę dialektycznych wywodów o prawnopaństwowych stosunkach Polski Marchlewskich i Rosji Trockich?".

A oto, co mówił Tadeusz Hołówko, czołowy przyjaciel Ukrainy w obozie piłsudczykowskim:

„Opuściliśmy, zdradziliśmy Petlurę w Rydze. Zdradziliśmy Ukraińców, którzy wiernie dotrzymywali nam braterstwa w dniach tragicznych. A tylko dwa tygodnie dalszej wojny i wojska Petlury byłyby w Kijowie i Joffe zgodziłby się



Polska po traktacie ryskim. Na mapie zaznaczono również tymczasowe granice Polski na wschodzie

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

prowadzić rokowania wspólnie z nami i delegatami Petlury, uznałby niepodległą Ukrainę, gdyż chodziłoby mu wówczas o ratowanie samego bytu bolszewików".

Hołówko miał rację, ale z jednym zastrzeżeniem. Mowa o tych „dwóch tygodniach" dalszej wojny, które umożliwiłyby ponowne wyzwolenie Kijowa. Otóż potrwałoby to znacznie krócej.

8 października płk Juliusz Rómmel rozpoczął bowiem brawurowy zagon kawaleryjski na Korosteń. Miasto to stanowiło kluczowy węzeł komunikacyjny zachodniej Rusi, nazywany przez polskich wojskowych „ostatnim przystankiem przed Kijowem".

Zdemoralizowane sowieckie dywizje piechoty niemal nie stawiały oporu nacierającym polskim ułanom. Korosteń został zajęty 12 października. Polacy wzięli 4 tys. jeńców, zniszczyli trzy pociągi pancerne, zdobyli 14 dział, 60 karabinów maszynowych oraz mnóstwo innego sprzętu i zaopatrzenia.

W sztabie Korpusu Jazdy, który dokonał tego zapierającego dech w piersiach wyczynu, przygotowany był już plan zajęcia Kijowa. Z Korostenia do stolicy Rusi było bowiem zaledwie... 140 km. A siły bolszewickie na tym odcinku frontu miały znikomą wartość bojową.

Niestety, rozkaz uderzenia na Kijów nie nadszedł. Wojsku kazano się wycofać i wkrótce do płk. Rómmla dotarła hiobowa wiadomość – w Rydze zawarto z bolszewikami zawieszenie broni.

Oburzeni ukraińscy dyplomaci, którzy przyjechali do Rygi, postanowili osobiście zapytać Dąbskiego o motywy jego decyzji. Polak przyjął ich 7 października 1920 r. i w pokrętny, bałamutny sposób przekonywał, że... ów pokój oddający ich ojczyznę na pastwę bolszewików leży w interesie... Ukrainy. Już następnego dnia dyplomaci ci złożyli na ręce „Jasia" oficjalny protest:

„Panie przewodniczący! Na konferencji pokojowej w Rydze podpisano protokół, w którym jako kontrahentów wymieniono: »Polska z jednej strony i Rosja oraz Ukraina z drugiej strony«. W rzeczywistości Ukraina w rokowaniach udziału nie bierze i nie tylko nie walczyła przeciw Polsce, a odwrotnie, do dziś jest jej sojusznikiem i razem z nią swoimi siłami wojskowymi prowadzi akcję przeciw Rosji".

Historyk Jan Jacek Bruski pisał:

„Ukraińscy sojusznicy oczekiwali na zdecydowane poparcie przez Polaków sprawy dopuszczenia przedstawiciela URL do obrad. Liczyli, że z polską pomocą uda się wymusić przynajmniej częściowe wycofanie oddziałów sowieckich z terytorium Ukrainy. Wbrew pozorom nie były to rachuby księżycowe. Dzisiaj już wiemy, jak poważnie osłabiona była strona bolszewicka w październiku

eprasa.pl c6b514a6e3

1920 r. i z jaką natarczywością domagał się Lenin natychmiastowego podpisania preliminariów pokojowych. Posiadanej przewagi Polacy nie wykorzystali jednak, idąc na zbyt poważne kompromisy".

„Petlura won!"

Zupełnie inaczej mogłyby potoczyć się losy II Rzeczypospolitej, gdyby polscy delegaci wykazali przy stole obrad większą nieustępliwość, a działania wojenne przeciw bolszewikom nie zostały zbyt wcześnie zawieszone. Kontynuowanie ofensywy z pewnością nie osłabiłoby polskich pozycji przetargowych, w sprzyjających zaś okolicznościach mogło doprowadzić do finału, który przepowiadał Hołówko.

Oburzeni byli również przedstawiciele ziemiaństwa ruskiego, którego wspaniałe majątki znajdowały się na Ukrainie. Nagle ich ojczyzna, którą uważali za nierozłączną część Rzeczypospolitej Trojga Narodów, uznana została przez delegację polską za sowiecką republikę. Akurat w tej sprawie całkowicie solidaryzowali się oni z radykałem socjalistą Petlurą.

„Nasuwa się nam bolesne wspomnienie owej jednej z najczarniejszych kart historii Polski – pisał hrabia Zdzisław Grocholski – owego czwartego rozbioru, traktatu podpisanego w Rydze 18 marca 1921 r. Nie »między Polską a Rosją i Ukrainą«, jak głosi oficjalny nagłówek, ów traktat zawarty, ale między Żydem Joffem z towarzyszami, których żaden prawdziwy Rosjanin, żaden Ukrainiec z pewnością za przedstawicieli narodu swego i państwa nie uznaje, a Janem Dąbskim, też »z towarzyszami«, którym żaden prawdziwy Polak, do żywego zraniony w swej narodowej godności, tego nie zapomni. Zarówno jak i tym, którzy będąc wówczas u władzy, akt nieszczęsny ratyfikowali".

Ukraińcy tymczasem słali kolejne protesty i apele. Bezskutecznie wzywali Polaków do opamiętania.

„Polska prowadzi w Rydze rokowania o pokoju z ludźmi, których nie wybieraliśmy, którzy przyszli do nas dzikimi ordami ze wschodu i siłą zagarnęli nasz kraj – napisano w memorandum ukraińskiej delegacji, która w styczniu 1921 r. szukała ratunku w Warszawie. – W rządzie sowieckiej Ukrainy Ukraińców nie ma. Cała ludność Ukrainy nienawidzi bolszewizmu, wszystkimi siłami chce się go pozbyć.

Zwracamy się z protestem przeciwko uznaniu sowieckiego rządu Ukrainy za nasz rząd i uprzedzamy, że uznanie go nie tylko gubi nas wszystkich na Ukrainie, ale zagraża pokojowi państw sąsiednich i nawet całej Europie. Do rządu narodu polskiego, narodu braterskiego i najbliższego sąsiada, zwracamy się z prośbą, żeby o naszym proteście powiadomiono cały świat i by szczególnie naród polski zatroszczył się o los tych terenów, które były teatrem wspólnych polsko-ukraińskich akcji wojskowych, i by nareszcie pokojowa delegacja w Rydze wzięła na siebie obowiązek obrony naszych interesów".

Po klęsce roku 1920 rząd ukraiński przeniósł się do Tarnowa. Długo jednak nie zagrzał tam miejsca. Wkrótce, na żądanie Moskwy, Polacy kazali się mu wynosić. Na mocy polsko-sowieckiego protokołu Dąbski-Karachan czołowi politycy URL zostali wykopani z terenu Rzeczypospolitej.

Dzięki energicznej akcji Henryka Józewskiego Petlura początkowo uniknął tego losu. Został ukryty przed polską policją w tajnym mieszkaniu w Warszawie, a potem na wsi. W 1923 r. opuścił jednak Polskę i wyjechał do Paryża. Tam dosięgnęły go kule inspirowanego przez bolszewików zamachowca.

Wszystko to wywołało olbrzymie rozgoryczenie wśród ukraińskich patriotów, wielki żal do Polski. Symbolem tego mogą być rysunki, które ukazywały się w satyrycznym czasopiśmie „Wsim". „Flagi Polski i Rosji na tle mapy z granicą ryską – wyliczał historyk Emilian Wiszka. – Orzeł Biały w objęciach bolszewickiego negocjatora, ukraiński Tryzub rozpinany na krzyżu, Ukraina rozrywana przez sąsiadów, uścisk dłoni polskiego żołnierza i bolszewickiego czerwonogwardzisty nad głową przygniatanego ukraińskiego kozaka".

„Było w dziejach świata wiele wypadków, że sojusznik porzucał sojusznika, układał z wrogiem separatystyczne układy pokojowe, starał się ratować dla siebie maksimum w nowo stworzonej sytuacji – pisał Iwan Kedryn-Rudnycki, ukraiński dziennikarz i żołnierz Petlury. – Ale było tak zawsze w razie przegranej. Rozbiór Ukrainy w Rydze pomiędzy Polskę a Rosję nastąpił po wygranej polsko-ukraińskiej wojnie przeciwko Rosji sowieckiej. Dlatego była to zdrada w klasycznym rozumieniu".

„Traktat ryski niewątpliwie był wielką porażką ukraińskiej dyplomacji i grobem niepodległości państwa ukraińskiego w czasach nowożytnych – wtórował mu historyk Ihor Nahajewski. – Socjalistyczna Polska i bolszewicka Rosja podzieliły się ukraińskimi ziemiami, jak w Andruszowie w 1667 r.".

Pod wpływem tej traumy wielu Ukraińców porzuciło orientację propolską. Ludzie ci uznali, że to „perfidne, zdradzieckie Lachy", a nie Związek Sowiecki, są wrogiem numer jeden ich narodu. Traktat ryski został nam zapamiętany na zawsze.

„Ryga – pisał Jan Jacek Bruski – sprawiła, że przekreślony został definitywnie w oczach ukraińskich romantyczny wizerunek Polski walczącej za »Naszą i Waszą«. Prysł mit, który starano się odrodzić w dobie wyprawy kijowskiej, o historycznym braterstwie polsko-ukraińskim, a świadomość istnienia wspólnoty interesów silniejszej niż egoizmy narodowe została poważnie nadwerężona.

Ryski traktat, sankcjonując podział ziem ukraińskich i białoruskich, oznaczał fiasko próby zbudowania strefy bezpieczeństwa u wschodnich granic Rzeczypospolitej. Jedynie powstanie podobnego buforu, złożonego z wyemancypowanych państw narodowych, mogło uchronić Polskę przed zagrożeniem rosyjskim i zapewnić trwały pokój. Układ zawarty w Rydze pokoju takiego nie gwarantował, trudno uznawać go było zatem za coś więcej niźli przejściowe, czasowe zawieszenie broni. A czas pracować miał, niestety, na korzyść bolszewików".

W artykule tym starałem się wykazać podobieństwo między zdradą Polski przez aliantów podczas drugiej wojny światowej a zdradą, której Polska dopuściła się w roku 1920 wobec Ukrainy. Warto jednak na koniec wspomnieć o pewnym niuansie.

Otóż ani Churchillowi, ani Rooseveltowi nie przeszło przez gardło słowo, które nasi zdradzeni sojusznicy usłyszeli od Józefa Piłsudskiego. Odwiedzając obóz w Szczypiornie pod Kaliszem, w którym siedzieli internowani oficerowie URL, marszałek powiedział: „Ja Was przepraszam, Panowie, ja was bardzo przepraszam. Tak nie miało być".

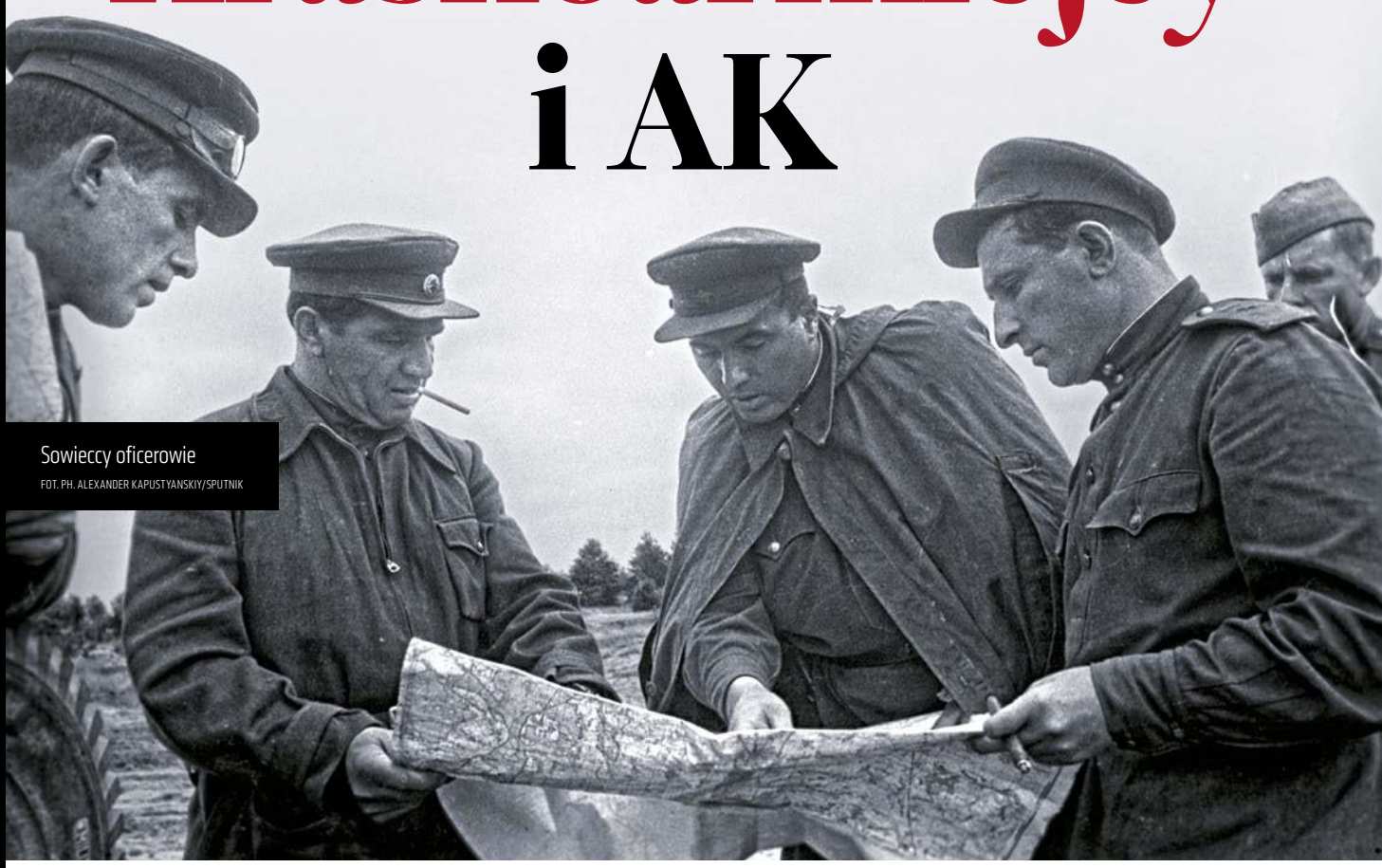
Był to ładny gest. Pozostał jednak tylko gestem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c6b514a6e3

1944 r. / Szczucie na polskie podziemie

Krasnoarmiejcy i AK



Sowieccy oficerowie

FOT. PH. ALEXANDER KAPUSTYANSKIY/SPUTNIK



Mikołaj Iwanow

Dla żołnierzy Armii Czerwonej AK–owcy byli najgorszymi zdrajcami, wrogami podobnymi do własowców. Doprowadziła do tego zakrojona na ogromną skalę akcja indoktrynacyjna, którą zarządził sam Stalin

Ukrywaniem prawdy i fałszowaniem rzeczywistości w Armii Czerwonej na przedpolach Warszawy zajmowały się tysiące zawodowych propagandystów. Na specjalnie zwoływanych zebraniach praktycznie w każdej jednostce sowieckiej wylewali na głowy zupełnie nieświadomych żołnierzy tysiące kłamstw na temat sytuacji w polskiej stolicy.

Znakomitym potwierdzeniem indoktrynacji żołnierzy i oficerów Armii Czerwonej latem 1944 r. jest relacja mjr. Borysa Olszanskiego, który pięć lat później przeszedł na stronę Zachodu. W opublikowanych na łamach nowojorskiego miesięcznika „New Leader" (nr 39 z 1954 r.) wspomnieniach pisał, że na specjalnie zwołanym przez naczelnika wydziału politycznego I Frontu Białoruskiego gen. Konstantina Tielegina tajnym zebraniu oficerów politycznych i sztabowych oświadczył on, iż „rząd polski

eprasa.pl c6b514a6e3

w Londynie pozostaje w tajnym porozumieniu z Hitlerem. Zamierza on zawrzeć z nim odrębny pokój przy pomocy i zachęcie rządu brytyjskiego. Powstanie warszawskie ma na celu tylko sypnięcie piaskiem w oczy hitlerowcom".

Znajdując się poza zasięgiem sowieckich organów karnych, Borys Olszanski spróbował przedstawić prawdziwe uczucia części oficerów sowieckich, nacierających na czele swych jednostek w ostatnich dniach lipca na Warszawę. „Wojska rwały się do walki – pisze – gdy dotarłem do frontowych eszelonów, zauważyłem niemal niekończącą się rzekę wojsk, płynącą w kierunku polskiej stolicy. Było jasno, że szykuje się ofensywa. Nagle otrzymaliśmy rozkaz wycofania się w rejon Siedlec-Mińska Mazowieckiego i zaniechania wszelkich planów natarcia na Warszawę. Oficerowie, których spotkałem po drodze, mówili mi, że są wstrząśnięci – nie mogli pojąć nowych rozkazów. Wszyscy wiedzieliśmy, że na zachodnim brzegu Wisły powstał już przyczółek mostowy, ale teraz dowiedzieliśmy się, że nie ma on być poszerzony. Nadeszły dalsze rozkazy: główne formacje mają pozostać na wschodnim brzegu Wisły.

W owym czasie dowiedzieliśmy się o powszechnej rewolucji Polaków w Warszawie. Wiadomość szerzyła się szybko, wkrótce każdy mówił o rewolucji Polaków pod dowództwem Bora-Komarowskiego. Oficerowie i szeregowi sowieccy zaczęli szemrać i burzyć się, zapytując oficerów politycznych, dlaczego nie udziela się powstańcom pomocy, dlaczego Armia Czerwona nie wyzyskuje tej świetnej okazji dla ataku.

Odpowiedź, którą otrzymaliśmy, była bez sensu i wszyscy o tym wiedzieli. Propagandysta mówił: „Bór-Komorowski uderzył na Niemców bez porozumienia się z rządem sowieckim". „Po drugie – dodał – powstanie jest prowokacją obliczoną na wciągnięcie Armii Czerwonej w pułapkę, Bór-Komorowski związał się z hitlerowcami".

Powojenne wspomnienia Olszańskiego na pewno odzwierciedlają tylko część prawdy. Wiedza o powstaniu w Warszawie nie ominęła znacznej części korpusu oficerskiego i żołnierzy I Frontu Białoruskiego, podtrzymujących kontakty z otaczającą ich ludnością polską. Wiedza ta jednak była bardzo wyrywkowa, co umożliwiało oficjalnej propagandzie ogłupienie własnych żołnierzy i kompletne, czasem bzdurne fałszowanie biegu wydarzeń.



Żołnierze sowieccy i polscy w Białymstoku, 1944 r.
FOT. WŁADYSŁAW GÓRA, „POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA 1944-1974", WARSZAWA 1976 R.



Żołnierze AK podczas powstania warszawskiego FOT. IMPERIAL WAR MUSEUM

Najlepsze milczenie

Dla przeważającej większości sowieckich żołnierzy i ich dowódców powstanie warszawskie po prostu nie istniało. Kontakty czerwonoarmistów z miejscową ludnością były bardzo ograniczone, do tego dochodziła wpojona przez propagandę sowiecką i warunki życia w Kraju Rad nieufność ludzi sowieckich wobec każdego źródła informacji z polskiej strony. Potężna armia sowiecka, która po ciężkich bojach dotarła nad Wisłę, prawie nic nie wiedziała o krwawych walkach w polskiej stolicy. A ci nieliczni, którzy od swych polskich znajomych dowiedzieli się o powstaniu, woleli milczeć. Rozpowszechnianie informacji o zrywie w stolicy (fakt jego wybuchu początkowo propaganda sowiecka zdecydowanie negowała) groziło aresztem, co w warunkach frontowych mogło skończyć się fatalnie.

eprasa.pl c6b514a6e3

Gwoli sprawiedliwości musimy odnotować, że wkroczenie Armii Czerwonej na tereny Polski nie było zwykłym przeniesieniem działań wojennych poza przedwojenne granice ZSRS. Miliony ubranych w wojskowe mundury ludzi sowieckich miało się zetknąć z milionami innych Słowian, obywatelami państwa kapitalistycznego, których język był dla Rosjan, Ukraińców i Białorusinów stosunkowo zrozumiały i których propaganda sowiecka określała nie inaczej, jak „braci Polaków". „Bracia" ci jednak stanowili dla czystości ideologicznej wojska Stalina poważne zagrożenie. Znaczna część z nich znała prawdę o ZSRS i była w stanie, a czasem również pragnęła przekazać ją milionom zaślepionym przez komunistyczną propagandę żołnierzom.

Poważne niebezpieczeństwo dla Armii Czerwonej stanowił również stosunkowy dobrobyt, który mimo wojny i związanych z nią okropności w porównaniu z ZSRS można było zaobserwować na polskich ziemiach. Jeden z żołnierzy sowieckich, który we wrześniu 1944 r. razem ze swą jednostką znalazł się na wyzwolonej Pradze, w swych wspomnieniach pisze, że największe wrażenie na nim i na jego towarzyszach zrobiły otwarte w tej części polskiej stolicy cukiernie, w których można było nabyć ciastka, o których istnieniu w Związku Sowieckim w czasie wojny prawie zapomniano.

Kierownictwo ZSRS i dowództwo Armii Czerwonej dobrze rozumiało te i inne niebezpieczeństwa ideologiczne, związane z kontaktami sowieckich żołnierzy z Polakami. Szczególnie obawiano się kontrpropagandy polskiego państwa podziemnego, która mogłaby być szczególnie skuteczna wobec Białorusinów i Ukraińców, niedawnych obywateli II Rzeczypospolitej, masowo mobilizowanych do Armii Czerwonej w toku „wyzwolenia" przedwojennych polskich kresów w 1944 r. Natarcie niemieckie na terenie północno-wschodnich województw Polski w czerwcu 1941 r. było tak gwałtowne, a porażki Armii Czerwonej tak dotkliwe, że prawie nikogo na tych terenach nie udało się zmobilizować. Teraz, jakby nadrabiając zaległości, sowieckie komisje rekrutacyjne pracowały na podwyższonych obrotach. Mobilizowano każdego zdolnego do noszenia broni. Ta polityka spowodowała znaczny wzrost liczebności polskich oddziałów partyzanckich, zwłaszcza tam, gdzie Polacy stanowili większość. Wielu miejscowych, również Białorusinów, preferowało przyłączyć się do partyzantki AK. Nie bez podstaw uważano, że szansa przeżycia w polskich oddziałach leśnych jest znacznie większa niż w szeregach Armii Czerwonej.

W celu przeciwdziałania tym niebezpiecznym tendencjom w Moskwie przygotowano wiele konkretnych posunięć. Już od marca 1944 r. Główny Zarząd Polityczny Armii Czerwonej i wydział międzynarodowy KC WKP(b) wspólnie uzgodnili wiele przedsięwzięć w celu przeciwdziałania możliwym zagrożeniom wobec morale i ducha bojowego żołnierzy Armii Czerwonej, którzy znajdą się na terenie Polski.

W maju 1944 r. w Moskwie przeprowadzono ogólnowojskową naradę przedstawicieli wydziałów politycznych wszystkich frontów, armii i poszczególnych dywizji w celu przekazania wojskowym ideologicznych wytycznych kierownictwa partii w sprawie kontaktów z ludnością krajów europejskich i polityki okupacyjnej Armii Czerwonej w Polsce, Rumunii, Czechosłowacji, na Węgrzech i w innych krajach. Ze specjalnym referatem na ten temat wystąpił niedawny sekretarz Międzynarodówki Komunistycznej Dmytro Manuilski. Powiedział m.in., że główne zadanie organów politycznych armii na terenie państw europejskich musi polegać na zapewnieniu Armii Czerwonej sprzyjających warunków dla prowadzenia działań bojowych, jak również przekonanie narodów tych państw, że żołnierz sowiecki przyszedł do nich jako „przyjaciel i brat, jako wyzwoliciel". Manuilski w swym referacie zwrócił szczególną uwagę na specyfikę misji „wyzwoleńczej" Armii Czerwonej na terenie Polski, gdzie polskie zbrojne podziemie podporządkowane rządowi londyńskiemu prowadzi podwójną grę: próbuje udawać sojusznika Armii Czerwonej, a jednocześnie walczyć z nią.



Sowieccy żołnierze w Połocku
FOT. THEREADERWIKI.COM

Wylewny Stalin

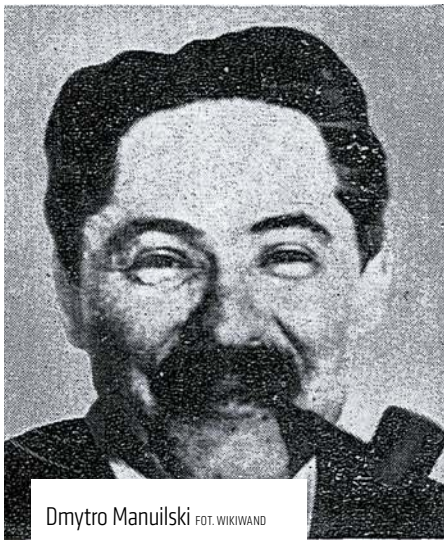
W lipcu 1944 r. Państwowy Komitet Obrony pod przewodnictwem Stalina zwołał w Moskwie kolejną naradę najwyższych rangą komisarzy Armii Czerwonej. Wystąpił na niej sam Stalin, który w najlepszych tradycjach propagandy sowieckiej wylewnie mówił o internacjonalizmie proletariackim, o wolności dla narodów Europy Wschodniej i odrodzeniu niepodległych państw. Ale jednocześnie powiedział coś, co u wnikliwego słuchacza mogło wzbudzić zakłopotanie. Według Stalina to Armia Czerwona (jej organa polityczne) powinna zrobić wszystko, aby zagwarantować przyjaźń między narodami Związku Sowieckiego i Polski na wieki.

eprasa.pl c6b514a6e3

Stalinowi chodziło tu na pewno nie o zagwarantowanie Polakom warunków do demokracji i odrodzenia ich państwa w kształcie, którego chciała większość narodu, a o wyeliminowanie z życia codziennego wszystkiego, co przeszkadza kształtować przyjaźń sowiecko-polską tak, jak ją rozumieli na Kremlu. Miała to być przyjaźń na warunkach Moskwy, gwarantująca wasalną pozycję powojennej Polski wobec Związku Sowieckiego.

Zdumiewające w przemówieniu Stalina było również to, że prawie pomijał on polskich sojuszników Kremla, obóz PKWN. Stalin nie ukrywał przed swoimi podwładnymi, że jedyną realną siłą zdolną przeprowadzić sowietyzację Polski może być tylko jego potężna armia. Jeden z uczestników tej narady zacytował w swoich wspomnieniach słowa Stalina: „Organa polityczne frontów, które wkraczają na polskie terytorium, powinny pierwsze wziąć na siebie inicjatywę zapewnienia takich warunków, aby na zawsze znikło wszystko to, co w czasach caratu i Polski kapitalistycznej było obiektem konfliktów, zbrojnych walk i nie pozwalało budować normalnych stosunków między sąsiadami".

Na tym samym posiedzeniu przyjęto podstawowy dokument określający stosunki żołnierzy sowieckich z miejscową ludnością („Zasady zachowania się żołnierzy Armii Czerwonej za granicą ZSRS"), w którym dość ogólnikowo omówiono podstawowe wytyczne dotyczące kontaktów sowieckich wojskowych z ludnością krajów europejskich. Znajdziemy tam m.in. znajome standardowe slogany propagandy sowieckiej o „obowiązku internacjonalistycznym", poszanowaniu praw i tradycji historycznych narodów europejskich.


Dmytro Manuilski FOT. WIKIWAND

Natomiast rzeczywiste przygotowanie milionów sowieckich żołnierzy (raczej ich ideologiczne ogłupianie) powierzono organom politycznym Armii Czerwonej niższego szczebla. W czerwcu i lipcu 1944 r. przeprowadzono w nacierających jednostkach Armii Czerwonej tysiące rozmów i zebrań politycznych na temat sytuacji w Polsce. Komisarze tłumaczyli żołnierzom i oficerom sytuację w Polsce, rozpowiadali o powstaniu PKWN i Armii Ludowej, piętnowali „londyńczyków" i ich zbrojne podziemie – Armię Krajową. Mówiono również na tych spotkaniach o konieczności powstania Polski przyjaznej Związkowi Sowieckiemu. Piętnowano wszystkich tych, którzy mogli sprzeciwić się kształtowaniu się tej przymusowej przyjaźni narodów nowej Polski i ZSRS.

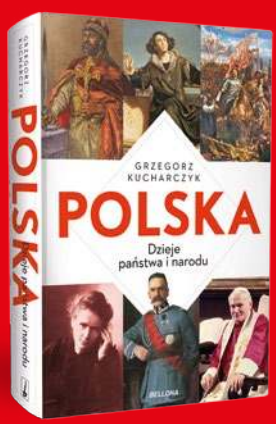
Prawdziwy obraz zachowania zindoktrynowanych żołnierzy Armii Czerwonej wobec powstania przytoczył w swej książce Norman Davies. Chodzi o historię opowiedzianą przez komendanta VI Obwodu Armii Krajowej Praga ppłk. Antoniego Żurowskiego ps. Andrzej. Po wycofaniu się Niemców z Pragi ppłk „Andrzej" wyszedł z ukrycia, aby powitać wkraczające oddziały sowieckie. Pierwszy spotkany przez niego żołnierz powiedział mu wprost: „Czy akiści u was jest?". Na przeczącą odpowiedź podpułkownika żołnierz sowiecki zareagował następująco: „Nie znajesz, no nie znajesz. Tak by ich sukinsynów tutaj od razu – mówi – wykończył". Były to autentyczne słowa żołnierza Armii Czerwonej, jak twierdzi Antoni Żurowski.

Świadczyło to niezbicie, że organa polityczne Armii Czerwonej odpowiednio zindoktrynowały swych żołnierzy, dla których Armia Krajowa była wrogiem podobnym do własowców, zdrajców własnej ojczyzny, których w czasie walk do niewoli zazwyczaj nie brano, tylko wykańczano na miejscu. Dla żołnierzy sowieckich AK-owcy byli polskimi zdrajcami, którzy zdradzili „prawdziwy polski" rząd w Lublinie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

BELLONA



NIEZWYKLE CIEKAWY I ORYGINALNY ZARYS DZIEJÓW PAŃSTWA

OD POCZĄTKÓW JEGO KSZTAŁTOWANIA SIĘ W X WIEKU PO CZASY WSPÓŁCZESNE

eprasa.pl c6b514a6e3

Wywiad / Z Keithem McCloskeyem, irlandzkim badaczem, autorem książki



rozmawia Piotr Włoczyk

Horror na Przełęczy



PIOTR WŁOCZYK: Co się wydarzyło nocą z 1 na 2 lutego 1959 r. na górze Chołatczachl na Uralu?

KEITH MCCLOSKEY: Pewne jest tylko to, że dziewięcioro młodych ludzi, którzy wyruszyli na wyprawę w te niedostępne góry, zginęło. Jak do tego doszło, to jedna z najbardziej mrocznych zagadek w historii Rosji. Często powtarzam, że to wygląda tak, jakby przed tym wydarzeniem doszło do narady specjalistów od kryminalistyki, którzy stwierdzili: „Postarajmy się tak skomplikować tę sprawę, by nikt nigdy nie był w stanie stwierdzić, co tam się stało".

Dziewięcioro młodych ludzi zginęło w makabrycznych okolicznościach podczas wyprawy na Ural. Co kryje się za tą mroczną tajemnicą?

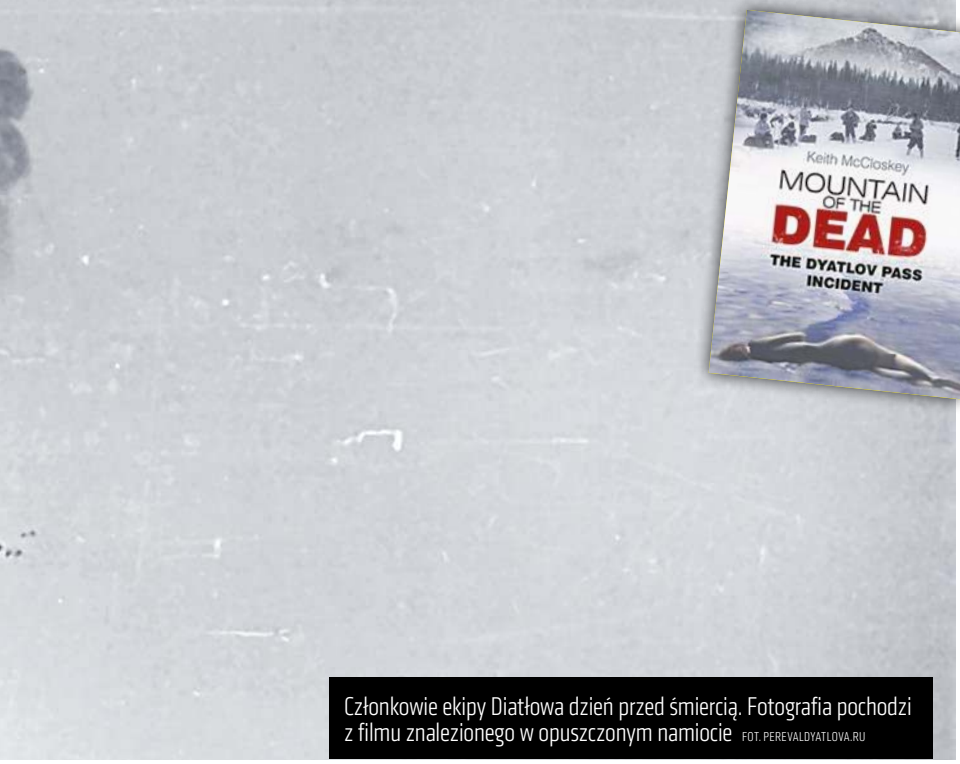
Sowieckie władze uznały, po błyskawicznym śledztwie, że przyczyną ich śmierci była „potężna siła". Co to właściwie miało znaczyć?

Bardzo trudno stwierdzić to jednoznacznie. Od początku widać było, że sowieckie służby starały się jak najszybciej zamknąć tę sprawę. Jeszcze w czasach ZSRS nie brakowało ludzi, którzy na własną rękę starali się zrozumieć, co naprawdę wydarzyło się na tej górze, i mimo zakazów prowadzili własne „śledztwa". Jednak każda kolejna wersja miała ten sam defekt co wszystkie inne – w tej historii nic nie trzyma się kupy, widać tu same sprzeczności, poszlaki prowadzą w różnych kierunkach.

eprasa.pl c6b514a6e3

„Mountain of the Dead: The Dyatlov Pass Incident"

Diatłowa



Członkowie ekipy Diatłowa dzień przed śmiercią. Fotografia pochodzi z filmu znalezionego w opuszczonym namiocie FOT. PEREVALDYATLOVA.RU

21 lutego 1959 r., gdy ta grupa studentów od tygodnia powinna już być w domach i oczywiste było, że stało się coś niepokojącego, na miejsce wyruszyło kilka grup ratowników pod kierownictwem płk. Gieorgija Ortiukowa. Co znaleziono na miejscu tragedii?

Namiot był w zastanawiającym stanie. Stwierdzono, że został przecięty od wewnątrz w dwóch miejscach. W środku pozostawiono większość ciepłych ubrań. Wyglądało na to, że cała grupa wyskoczyła na zewnątrz w jednej chwili. Wszyscy wyszli właściwie tak, jak spali, nie zabierając ze sobą ciepłych rzeczy. Co ciekawe, ślady prowadzące z namiotu w dół zbocza wskazywały jednoznacznie, że ludzie ci szli dosyć spokojnym tempem, na pewno nie biegli. Co dodatkowo dziwi, szli oni właściwie jeden za drugim, z niewielkimi tylko odchyleniami na boki. Dlaczego ktoś miałby przecinać nożem namiot, by jak najszybciej wydostać się na zewnątrz, a potem zamiast biec, oddalałby się stamtąd w spacerowym tempem? To tylko jedno z tysiąca pytań, na które bardzo trudno znaleźć sensowną odpowiedź.

Jakie panowały wówczas warunki atmosferyczne?

Temperatura oscylowała w okolicy –30 st. C. Tymczasem niektórzy z tej dziewiątki mieli na sobie jedynie skarpety! Nie zabrali z namiotu nawet butów, chociaż pogoda była skrajnie wymagająca! Grupa przemieszczała się w dół po ośnieżonym, gołym stoku w kierunku linii drzew. Możemy domyślać się, że uważali, iż nie będzie im tam groziło coś, czego wystraszyli się na górze. Gdy odwiedziłem to miejsce, zajęło mi bite 20 minut pokonanie tej drogi, a było lato. Możemy więc przyjąć, że brnęli oni w śniegu, niektórzy bez butów, przez co najmniej pół godziny.

Ekipa poszukiwawcza odnalazła wkrótce pięć ciał. Wśród nich był 23-letni Igor Diatłow, student piątego roku Wydziału Radiotechnicznego Uralskiego Instytutu Politechnicznego w Swierdłowsku (obecnie Jekaterynburg), który przewodził tej grupie i na którego cześć nazwano potem tutejszą przełęcz.

Na zboczu, niedaleko Diatłowa, znaleziono też ciała 22-letniej Zinaidy Kołmogorowej i 23-letniego Rustema Słobodina. Wyglądało na to, że tych troje wracało do namiotu. Nieopodal, nieco niżej, pod cedrem przy ognisku, leżały z kolei zwłoki dwóch innych studentów: 24-letniego Gieorgija Kriwoniszczenki i 21-letniego Jurija Doroszenki (mieli ze sobą zapałki). Byli na bosaka i mieli na sobie tylko bieliznę. Stwierdzono, że tych pięcioro zmarło z powodu wychłodzenia organizmów.

Co się stało z czworgiem osób?

Tu historia zaczyna się jeszcze bardziej komplikować. Znaleziono ich trzy miesiące później. Leżeli w czymś na kształt schronu, który zrobili w śniegu. Dwoje z nich miało potworne obrażenia. Ich klatki piersiowe wyglądały tak, jakby uderzył w nie samochód. Trzecia osoba miała pękniętą czaszkę, natomiast czwarta również miała poważne obrażenia.

Często tłumaczone jest to lawiną. Zwały zmrożonego śniegu miały się oderwać od zbocza i runąć na studentów. Obrażenia w takim przypadku byłyby na pewno bardzo poważne.

Nie przekonuje mnie to. Po wielu latach badania tego tematu jedno mogę powiedzieć z całą pewnością: ludzie przywiązują się do swojego wyobrażenia na temat przebiegu tej tragedii i naginają wszystkie fakty, by z triumfem otrąbić

eprasa.pl c6b514a6e3



Igor Diatłow FOT. WIKIPEDIA

sukces. Problem polega na tym, że na miejscu nie zaobserwowano śladów lawiny. W tym rejonie nie dochodziło do lawin. Zbocza tej góry są łagodne i nie ma tam zagrożenia osunięciem się mas śniegu.

Ale nawet jeżeli przyjmiemy, że ci ludzie zostali zmiażdżeni przez bryły zmrożonego śniegu, to takie uderzenie nie pozostawiło u studentów śladów zadrapań na skórze. Właśnie ten brak otarć, choć wewnątrz klatki piersiowej wszystko było zmasakrowane, każe innym podnosić teorię o wybuchu, którego fala uderzeniowa była zabójcza i dokonała spustoszenia organów.

Ale jeżeli tak, to pozostaje pytanie...

... co z resztą grupy? No właśnie, dlaczego ich ciała nie były zmiażdżone i uszkodzone?

W tej mrocznej historii jest też zupełnie makabryczny wątek – Ludmiła Dubinina nie miała gałek ocznych i języka. Czy można to wytłumaczyć obecnością dzikich zwierząt?

Dubinina została znaleziona pod warstwą śniegu. Jeżeli to zwierzęta odpowiadały za te makabryczne uszkodzenia głowy, to dlaczego ciała pięciorga osób, które znaleziono niedaleko na śniegu i do których zwierzęta miały łatwy dostęp, nie miały podobnych śladów? Inna zastanawiająca rzecz to charakter Dubininy.

Przepraszam, ale co ma charakter tej kobiety do jej obrażeń?

Dubinina znana była z tego, że nie owijała w bawełnę. Jeżeli myślała, że ktoś jest głupcem, to mówiła mu to prosto w oczy. Innymi słowy – nie gryzła się w język... Bardzo wiele osób zwracało uwagę, że to zadziwiające, iż z jakichś przyczyn to właśnie jej ciało pozbawione było języka.

W czasie sekcji zwłok nie ustalono ponad wszelką wątpliwość, czy został on odcięty czy odgryziony?

Niestety, wynik sekcji zwłok Dubininy nie wyjaśnia tej zagadki, ponieważ stwierdzono po prostu, że „brakuje języka". To może oznaczać dokładnie wszystko... Tu z kolei pojawia się kolejne pytanie: Dlaczego wyniki autopsji były tak skrótowe? Każdy myślący człowiek musi przyznać, że wszystko to jest bardzo podejrzane.

Domyślam się, że podczas prac nad książką wielokrotnie przechodziły panu po plecach ciarki?

Zgadza się. Miejsce, w którym zginęli ci biedni ludzie, nawet latem wygląda bardzo niegościnnie. Gdy tam byłem, po pewnym czasie zwróciłem uwagę na to, że panuje tam kompletna cisza. To zupełnie łysa góra, bez zwierząt, nawet ptaków nie było słychać.

Nic dziwnego, że Chołatczachl w języku Mansów – ludu, który zamieszkuje tamte tereny – oznacza „martwą górę"... Jedna z teorii mających wyjaśniać tę tragedię jako winnych śmierci grupy studentów wskazuje właśnie Mansów, którzy mieli być wściekli na ludzi z zewnątrz naruszających ich ziemie.

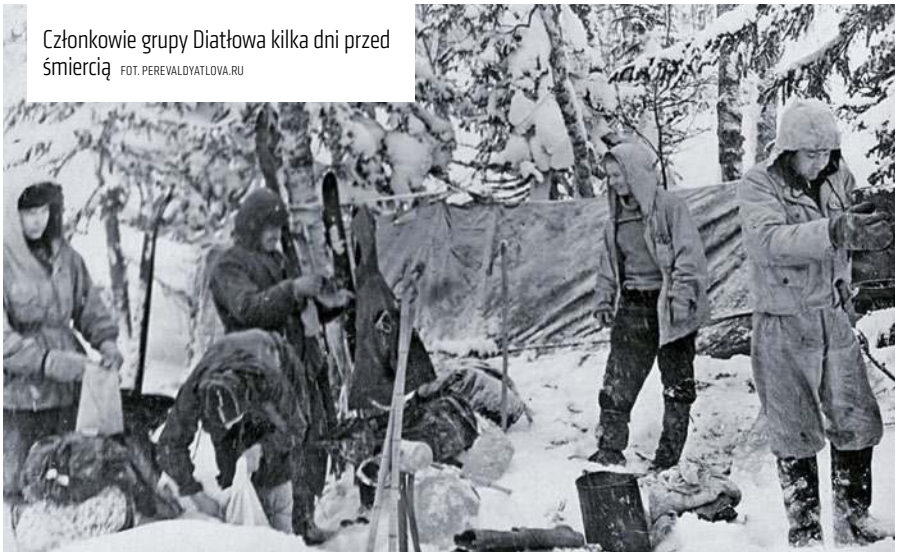
To jedna z najczęściej pojawiających się wersji, które można usłyszeć od ludzi interesujących się tragedią na Przełęczy Diatłowa. Nie da się tego wykluczyć, ale również tu widać spore „dziury". Lud Mansów faktycznie miał swoje święte góry, chociaż akurat Chołatczachl nie była jedną z nich. Natomiast rzeka Łozwa, którą przekroczyli nasi wędrowcy, według Mansów pełna jest świętych dla nich duchów. Kobiety w żadnym wypadku nie powinny się do niej zbliżać, a jak wiemy, w grupie tej były dwie studentki... Dodatkowo Mansowie nacierpieli się od komunistów, którzy uważali ich za dzikusów. Moskwa chciała ich „ucywilizować". Ten lud miał wszelkie podstawy, by czuć wielką niechęć do obcych. Trzeba jednak spojrzeć na fakty. Na miejscu tragedii nie znaleziono innych śladów. Wygląda na to, że nikt z zewnątrz nie wpłynął na przebieg zdarzeń.

A może po prostu Mansowie doskonale zatarli ślady?

Aż tak dobrze to zrobili? Ciężko to sobie wyobrazić. Mansowie zaangażowali się w poszukiwanie zaginionych, a potem, gdy już ustalono, że nie żyją, bardzo pomagali śledczym. Oczywiście z drugiej strony można powiedzieć, że każdy morderca robiłby wszystko, by odsunąć od siebie cień podejrzeń...

Niektórzy przekonują też, że wędrowcy zaatakowani zostali przez syberyjskiego... yeti. Co pan na to?

Gdyby wielkie zwierzę podeszło pod namiot i ryknęło, to mogłoby to tłumaczyć błyskawiczną ewakuację grupy. Ale tu wracamy do braku innych śladów na śniegu. W tamtej okolicy widać było jedynie ślady pozostawione przez dziewięcioro osób. Ewentualnie można byłoby roz-



Członkowie grupy Diatłowa kilka dni przed śmiercią FOT. PEREVALDYATLOVA.RU

eprasa.pl c6b514a6e3



Zniszczony namiot ekipy Diatłowa FOT. DIATLOVPASS.COM

ważać pojawienie się jakiegoś latającego yeti, ale to już wyższy poziom gdybologii. Jest jeszcze jedna wersja, o której nie rozmawialiśmy, a którą wielu poważnie rozważa. Niewykluczone, że to wszystko zostało po prostu zainscenizowane. Ktoś ustawił tam ten namiot i przeciął go od wewnątrz, grupa Diatłowa została zabita zupełnie gdzie indziej, a zwłoki tych nieszczęsnych ludzi zostały podrzucone w miejscu, gdzie je potem znaleziono. Tylko dlaczego miałoby się tak stać? Co widzieli ci ludzie?

Musimy też porozmawiać o... UFO. Ta wersja też ma wielu zwolenników.

Jedno nie ulega wątpliwości: coś dziwnego działo się wówczas na niebie. Zbyt wielu świadków mówiło, że w tamtych dniach widać było jakieś nienaturalne światła na nocnym niebie. Fascynaci tej historii mówią o przybyszach z kosmosu, o ogromnych rakietach, tajnych eksperymentach. Ja nie odrzucam w zasadzie żadnej teorii i staram się mieć otwartą głowę, ale jednak najbardziej przemawia do mnie wersja o działalności wojska. Ale – jak już wspomniałem – ta historia jest tak nielogiczna, że nie mam tu konkretnego wyjaśnienia. Jeżeli doszło tam do wybuchu atomowego, to przecież zostałyby po tym ślady i obrażenia ofiar byłyby zupełnie inne. Mówi się też o potężnej sile uderzeniowej wytworzonej przez test olbrzymiej rakiety R-7. Ale przecież tych dziewięcioro młodych ludzi zginęło z różnych przyczyn...

Na pewno wersji o wojsku w tle tej tragedii sprzyja informacja o promieniowaniu, które wykryto ponoć na części ofiar.

To kolejna zagadka, którą trudno wyjaśnić. Gdyby do takiego wypadku doszło



Upamiętnienie zmarłych członków ekspedycji
FOT. WIKIPEDIA/DMITRIJ NIKISZKIN

gdzieś w polskich czy brytyjskich górach, to raczej trudno sobie wyobrazić, że śledczy przyszliby do kostnicy z aparaturą do mierzenia promieniowania. Bo faktycznie na części ofiar znaleziono niewielkie ślady promieniowania. Ale dla mnie przede wszystkim zastanawiające jest to, dlaczego w ogóle śledczy wpadli na ten pomysł? Co tam się działo, że ktoś poszedł do kostnicy ze specjalistyczną aparaturą? Wówczas w Związku Sowieckim, na mocy porozumienia z USA, obowiązywało moratorium na testy atomowe. Czyżby na Uralu Sowieci przeprowadzali jednak testy? Specjalistyczne satelity szpiegowskie były dopiero pieśnią przyszłości, więc być może Sowieci na Uralu starali się ukryć próby broni jądrowej...

Ma pan jakieś przeczucia w tej sprawie? Co panu podpowiada wyobraźnia, gdy zamyka pan oczy?

Gdy odwiedziłem Przełęcz Diatłowa, zrobiłem dokładnie to – zamknąłem oczy i próbowałem sobie wyobrazić, co tam się mogło zdarzyć. Tak to widzę: w okolicy prowadzone były ćwiczenia wojskowe. Uczestnicy wyprawy usłyszeli w środku nocy potężne eksplozje gdzieś niedaleko. Przerazili się i wyskoczyli z namiotu. Co było jednak dalej? Tak jak powiedziałem, ta historia jest tak zawiła, że ciężko złożyć w całość jeden prawdopodobny scenariusz. Obawiam się, że nigdy nie poznamy odpowiedzi na nurtujące nas pytania w sprawie tej tragedii.

Czy w Rosji zagadka Przełęczy Diatłowa ma podobny status jak Strefa 51 w USA?

To chyba trafne porównanie. Rosjanie pasjonują się tą sprawą. Mnóstwo ludzi próbuje ją wyjaśnić na własną rękę. Powstały na ten temat niezliczone książki, reportaże i filmy. Nie wiem, czy to reprezentatywne dla całego społeczeństwa, ale Rosjanie, z którymi rozmawiałem na ten temat, uważają raczej, że cała ta sprawa została zatuszowana przez sowieckie władze, które chciały coś ukryć. I m.in. dlatego wersja o udziale wojska przemawia do mnie najbardziej.

Na pewno takie spekulacje podsyca to, że śledztwo zakończono błyskawicznie, tuż po odnalezieniu pozostałych czterech ciał, i akta sprawy utajniono.

Trudno się więc dziwić, że wielu ludzi wskazuje palcem na Moskwę. Co ciekawe, jeden ze śledczych był gotów pojechać tam po raz kolejny, z większą ekipą, i dokładnie przeczesać dużo większy obszar. Usłyszał jednak od przełożonych, że nie ma już co wracać do tej sprawy. Dlaczego władze zachowały się w ten sposób?

Jakby tego było mało, to jeszcze przez kilka lat bardzo mocno ograniczono dostęp do tego miejsca.

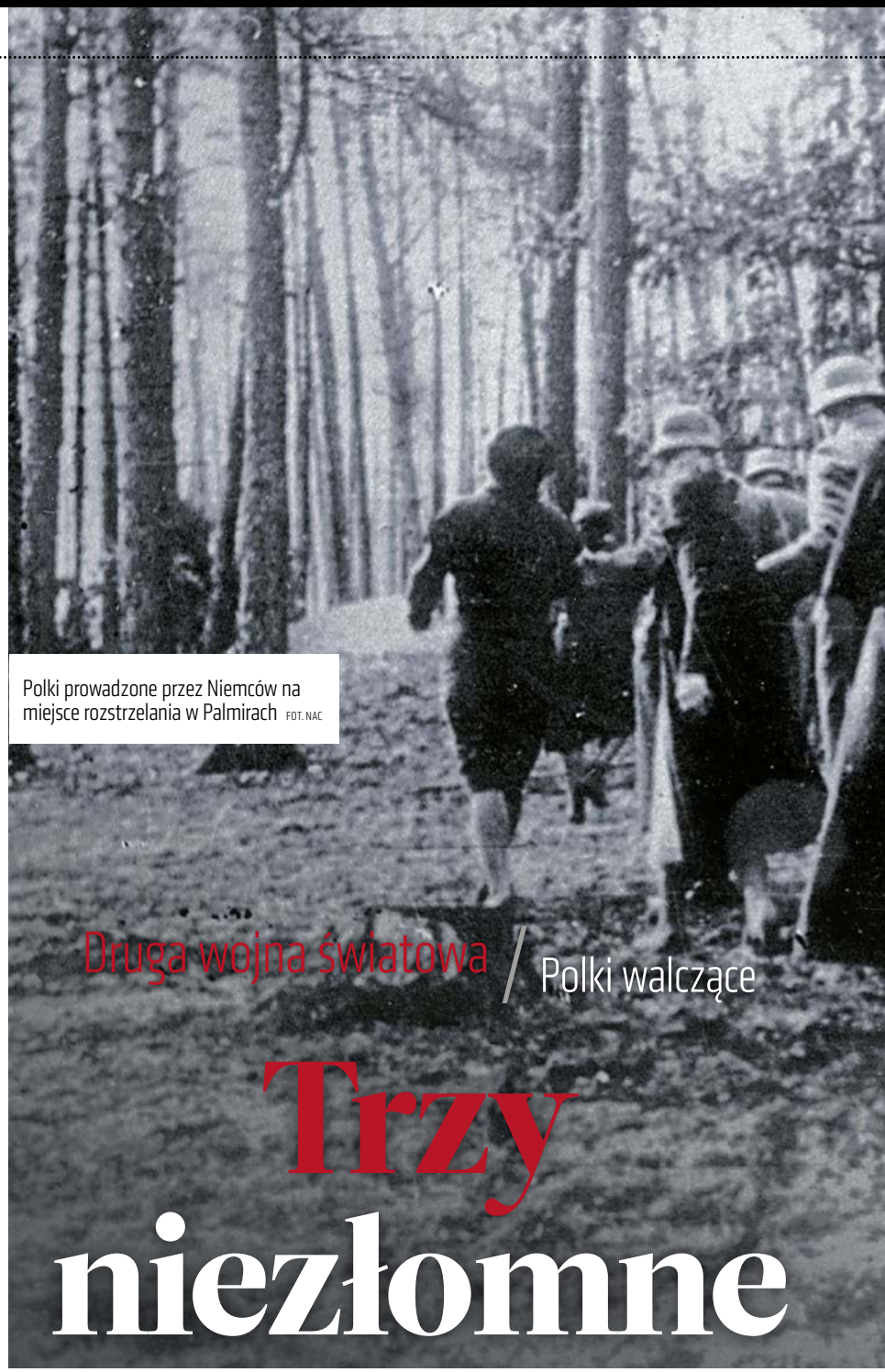
Jeszcze przed śmiercią grupy Diatłowa trzeba była uzyskać pozwolenie, by wjechać na tamte tereny. Tak działał ZSRS i również grupa Diatłowa musiała wystąpić o specjalne pozwolenie. Po tragedii nie wydawano po prostu zgody na wjazd. Zresztą niedaleko Chołatczachl do dziś są dwa obszary, do których nie można się zbliżyć. To rosyjskie obiekty nuklearne. Po co sowieckie władze na kilka lat odcięły ten teren od przybyszów z zewnątrz? Czy chciały coś „posprzątać" bez obawy, że ktoś ich na tym nakryje?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Keith McCloskey jest irlandzkim badaczem, autorem wielu prac na temat historii ZSRS. W 2013 r. ukazała się jego książka „Mountain of the Dead" („Martwa góra") opisująca kulisy tragedii na Przełęczy Diatłowa.

eprasa.pl c6b514a6e3



Polki prowadzone przez Niemców na miejsce rozstrzelania w Palmirach FOT. NAC

Druga wojna światowa / Polki walczące

Trzy niezłomne



Marek Gałęzowski

Ich poświęcenie w walce o wolną Polskę nie znało granic. Historie tych trzech wyjątkowych kobiet pokazują, że prawdziwe męstwo nie było jedynie domeną żołnierzy Polski Walczącej

Pewnego sierpniowego dnia 1943 r. pod wsią Okółki, w pobliżu rzeki Hańczy, żandarmeria niemiecka otoczyła oddział Uderzeniowych Batalionów Kadrowych Konfederacji Narodu pod dowództwem kpt. Juliana Jagodzińskiego „Pawłowskiego". Polscy partyzanci zostali zdradzeni przez miejscowego leśnika o nazwisku Boruk (zlikwidowanego później przez Armię Krajową). Na początku walki zginął dowódca, a oddział wkrótce uległ rozbiciu. W ręce Niemców dostała się ciężko ranna podczas boju łączniczka Maria Iwanicka. Przewieziono ją następnie na posterunek żandarmerii i tam torturami bezskutecznie usiłowano wydobyć informacje na temat miejsca pobytu pozostałych przy życiu kolegów z oddziału. Po kilku godzinach została zamordowana. Miała 27 lat.

Radykalna przeciwniczka sanacji

W opublikowanym jakiś czasu temu na łamach naszego czasopisma artykule pisałem, że w naznaczonym totalitaryzmem XX w. odnajdziemy liczne przykłady męstwa, okazywanego w dłuższej perspektywie niż czas boju, a losy kobiet szczególnie wyraźnie wydają się uzasadniać opinię o innych niż militarny wymiarach bohaterstwa. Bohaterki niniejszej opowieści wywodziły się z podobnych grup społecznych, reprezentowały natomiast różne środowiska polityczne bądź jak trzecia z nich nie angażowały się przed wojną w działalność żadnego. Wszystkie łączyło to, że wzięły udział w obronie Warszawy we wrześniu 1939 r. w służbie obrony przeciwlotniczej, a następnie zaangażowały się w działalność podziemną.

Wspomniana jako pierwsza Maria Iwanicka należała do najbardziej radykalnego odłamu ruchu narodowego. Przyszła na świat w czasie pierwszej wojny światowej, w rodzinie polskiej osiadłej w guberni kurskiej w Rosji, gdzie jej ojciec, inżynier, kierował cukrownią. Do Polski wróciła z rodzicami i młodszym bratem dopiero w styczniu 1923 r. Uczyła się w gimnazjum Cecylii Plater-Zyberkówny w Warszawie, należała do harcerstwa. W 1934 r. zaczęła studiować chemię na Politechnice Warszawskiej. Rok przed wybuchem wojny otrzymała świadectwo pierwszego egzaminu

eprasa.pl c6b514a6e3



dyplomowego, studiów nie zdążyła już jednak ukończyć. Jako studentka zaangażowała się w działalność ONR „Falanga" i w związku z tym na początku 1938 r. została aresztowana i uwięziona na Pawiaku, a następnie w czerwcu skazana na osiem miesięcy pozbawienia wolności (Sąd Apelacyjny utrzymał wyrok w mocy, ale zawiesił wykonanie kary).

We wrześniu 1939 r. uczestniczyła w obronie Warszawy. Mimo poparzeń doznanych w czasie służby jako komendantka cywilnej Obrony Przeciwlotniczej przy ul. Filtrowej nadal pełniła swoje obowiązki, oddawała też krew rannym żołnierzom. W podziemiu była jedną z pierwszych kobiet, który przystąpiły do Służby Zwycięstwu Polski, kurierką jej dowództwa, a później Komendy Głównej ZWZ na trasie Warszawa – Lublin, przez pewien czas także łączniczką szefa Oddziału III KG ZWZ płk. Stanisława Tatara. Jesienią 1941 r. przystąpiła do Konfederacji Narodu, wywodzącej się z przedwojennej Falangi, wiosną następnego roku objęła kierownictwo tzw. Terenu Kobiet KN, który w istocie zorganizowała, wkrótce zaś przejęła dowództwo nad całym pionem kobiecym KN. Odpowiadał on m.in. za prowadzenie działalności ideowej i wychowawczej wśród dziewcząt należących do Konfederacji.

eprasa.pl c6b514a6e3

W lutym 1943 r. została szefową Referatu Kobiet Sztabu Uderzeniowych Batalionów Kadrowych. Chciała wziąć bezpośredni udział w walce zbrojnej i kiedy ukończyła kurs łączniczek bojowych i sanitarnych oraz podchorążówki KN, w końcu maja 1943 r. została przydzielona do oddziału kpt. Juliana Jagodzińskiego. Na początku czerwca wyjechała z Warszawy w Białostockie i objęła funkcję łączniczki między poszczególnymi jednostkami Uderzeniowych Batalionów Kadrowych. W połowie lipca 1943 r. uczestniczyła w akcji oddziału kpt. Jagodzińskiego na obszarze Prus Wschodnich, wówczas będącego częścią Niemiec. Po wykonaniu zaplanowanej akcji oddział wrócił na Białostocczyznę. Tu jednak w sierpniu został, jak wspomniano, rozbity, a Maria Iwanicka zamordowana.

Pośmiertnie mianowano ją na stopień porucznika i odznaczono Orderem Virtuti Militari oraz Krzyżem Walecznych. Rok później w powstaniu warszawskim, czwartego dnia walk, poległ jej 17-letni brat Stanisław, pseudonim Irys, kapral zgrupowania „Bartkiewicz" AK. Tak Wacław i Zofia Iwaniccy utracili wszystkie swoje dzieci.

Zginęła w Palmirach

Śmierć z rąk Niemców groziła oczywiście nie tylko za udział w zbrojnym przeciwstawieniu się okupantowi. Warszawianka Irena Salinger była przed wojną związana ze środowiskiem, które wspomniany radykalny odłam narodowy, do którego należała Maria Iwanicka, zwalczał jako przynależny do rządzącej sanacji. Starsza o kilka lat od Iwanickiej, pochodziła ze spolonizowanej rodziny o korzeniach niemieckich i żydowskich, która w połowie XVIII w. przybyła do Polski z Hamburga. Jej pradziad Jakub Salinger, właściciel sklepu z wyrobami żelaznymi w Warszawie, za przekazywanie broni powstańcom styczniowym został uwięziony przez władze carskie w Cytadeli Warszawskiej, a następnie zesłany do guberni permskiej. W ślad za nim do Orenburga powędrował jego syn Jan Franciszek, powstaniec 1863 r.

Był on dziadkiem Ireny, która po ukończeniu gimnazjum studiowała w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Jako studentka wstąpiła do Związku Młodzieży Ludowej, a następnie Związku Młodej Polski, młodzieżowego zaplecza rządzącego obozu piłsudczykowskiego. Wygłaszała odczyty na wsi, opublikowała kilka artykułów w piśmie „Młoda Wieś". We wrześniu 1939 r., podobnie jak Maria Iwanicka, brała udział w walkach o Warszawę w ramach cywilnej Obrony Przeciwlotniczej.

W konspiracji, przyjmując pseudonim Karolina, związała się z grupą byłych działaczy ruchu narodowego, którzy w połowie lat 30. przeszli do obozu piłsudczyków, zwanego sanacyjnym. Po klęsce we wrześniu 1939 r. nie zerwali oni z nim jak wiele innych, często bliższych sanacji środowisk, czemu dali wyraz, zakładając w styczniu następnego roku pismo „Słowo Polskie". Mieszkanie Salinger przy ul. Chmielnej 61/5 stało się jedną z siedzib tej grupy – to tam przygotowano do druku pierwszy numer „Słowa Polskiego", do którego matryce przygotowała sama Irena. Prowadziła ona również zakazany przez Niemców nasłuch radiowy oraz zajmowała się kolportażem pisma. Nie mniej ważna była też dla niej współpraca z przedwojennym przywódcą Związku Młodzieży Ludowej Henrykiem Puziewiczem, który w tym czasie organizował struktury ZWZ na Rzeszowszczyźnie. Irena pomagała mu w kolportażu prasy konspiracyjnej, m.in. w marcu 1940 r. udawała się w tym celu do Medyni Kańczuckiej na Podkarpaciu i do Lublina.

Była wreszcie zaangażowana w podziemną działalność oświatową. Wspierała swojego ojca Zygmunta, który w niepodległej Polsce zajmował stanowisko dyrektora Prywatnego Gimnazjum Wieczorowego dla Dorosłych w Warszawie, a pod okupacją niemiecką organizował tajne nauczanie w jednej ze szkół zawodowych. Od jesieni 1939 r. w mieszkaniu przy Chmielnej zaczęły odbywać się tajne komplety prowadzone przez wykładowców przedwojennych wyższych uczelni warszawskich – Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, Szkoły Głównej Handlowej, Politechniki Warszawskiej. W lutym 1940 r. zajęcia te trzeba było przerwać ze względu na niebezpieczeństwo dekonspiracji, tym bardziej że Irena wraz z ojcem odmówili podpisania volkslisty.

W następnym miesiącu oboje zostali aresztowani. Jak podawał kierujący grupą „Słowa Polskiego" Klaudiusz



Maria Iwanicka FOT. DOMENA PUBLICZNA

Hrabyk, posłaniec, który odebrał od Ireny „blachy" z drugim numerem pisma, okazał się konfidentem. Bardziej jednak prawdopodobna wydaje się informacja podana przez jedną ze znajomych Ireny, Joannę Żwirską. Według niej do aresztowania przyczynił się lokator Salingerów, który zastał Irenę podczas przepisywania informacji z nasłuchu radiowego. Kiedy odmówiła zapłacenia okupu, złożył na nią donos do gestapo. Została uwięziona na Pawiaku. Utrzymywano z nią kontakt przez komórkę więzienną ZWZ, stąd wiadomo, że przechodziła ciężkie śledztwo: „Irkę przywieziono pod ścisłą eskortą i zamknięto w oddzielnej celi. Tu dzień i noc paliło się jaskrawe światło. Potem przerzucono ją do innej celi, tu musiała stać ciągle zgięta wpół. Do kolan woda, na głowę kapała woda w rytmicznych odstępach. Czasem osuszono cementową podłogę, wpuszczano szczury. W tej celi zadawano pytania: Od kogo otrzymywała wiadomości, do kogo nosiła wiadomości? Podaj nazwiska, nazwiska, nazwiska. Później w śledztwie w Alei Szucha wyrwano jej ramiona ze stawów, wbijano drzazgi za paznokcie, przypiekano stopy". Pomimo okrutnych metod śledczych Salinger zachowała heroiczne męstwo. W jednym z ostatnich grypsów pisała: „Wytrwajcie, nie wydam nikogo, pracujcie dalej, wasza Irena". Informacje te potwierdzała w swoich wspomnieniach również siostra Żwirskiej, Józefa Radzymińska (po wojnie autorka licznych powieści i wspomnień z okresu wojny), która później także znalazła się na Pawiaku.

W nocy z 21 na 22 czerwca 1940 r. Irena Salinger, wraz z ojcem Zygmuntem, została rozstrzelana w egzekucji 368 więźniów Pawiaka w Palmirach. Była to ta sama egzekucja, w której zginęli m.in. wybitni polscy politycy Mieczysław Niedziałkowski i Maciej Rataj, jeden z naj-

eprasa.pl c6b514a6e3



Maria Łoszak. Zdjęcie ze śledztwa w Głównym Zarządzie Informacji FOT. DOMENA PUBLICZNA

słynniejszych przedwojennych sportowców Janusz Kusociński, a także przywódcy piłsudczykowskiego Legionu Młodych – Józef Mrozowicki i Leon Stachórski – oraz wielu przedstawicieli polskiej inteligencji. Symboliczny grób Ireny Salinger i jej ojca znajduje się w Palmirach.

Fordon za waleczność

Trzecia z bohaterek tej historii, starsza od Iwanickiej i Salinger, w chwili wybuchu wojny zbliżająca się do 40. roku życia, w odróżnieniu od nich nie była zaangażowana w życie polityczne w okresie międzywojennym. Maria Łoszak pochodziła z okolic Nieświeża, ale młodość spędziła w Rosji, gdzie w Jarosławiu nad Wołgą ukończyła szkołę średnią, a po rewolucji bolszewickiej przez kilka lat studiowała medycynę na uniwersytecie w Moskwie. Wróciła do Polski w tym samym 1923 r. co jej imienniczka Maria Iwanicka. Pracowała prawdopodobnie jako kosmetyczka. Trzy lata przed wojną została urzędniczką w Państwowym Instytucie Rozrachunkowym. Wzięła udział w bitwie o stolicę Polski we wrześniu 1939 r., podobnie jak pozostałe nasze bohaterki – w obronie przeciwlotniczej, a ponieważ przed wojną ukończyła kurs sanitarny PCK, była też sanitariuszką w szpitalu polowym przy ul. Śniadeckich 17.

Nie minęły dwa miesiące od chwili kapitulacji Warszawy, kiedy została zaprzysiężona w Służbie Zwycięstwu Polski. Początkowo sprawowała funkcję łączniczki w komórce zajmującej się przechowywaniem i przenoszeniem materiałów wybuchowych. W 1941 r. z powodu aresztowań działalność komórki została przerwana, a Łoszak przydzielono inne zadania. Udostępniła ona na potrzeby konspiracji swoje mieszkanie przy ul. Krakowskie Przedmieście 48, które stało się jednym z punktów kontaktowych Komendy Głównej ZWZ, a od lutego 1942 r. – Armii Krajowej. Odbywały się w nim narady konspiracyjne, powielano również komunikaty radiowe. Musiano cenić ją bardzo wysoko, ponieważ jesienią 1942 r. została łączniczką dowódcy Kedywu AK gen. Augusta E. Fieldorfa „Nila".

Równocześnie wykorzystała swoje umiejętności w podziemnej komunikacji, uczestnicząc w tworzeniu piłsudczykowskiego Obozu Polski Walczącej. W końcu sierpnia 1942 r. zaczęła kierować sekretariatem szefa OPW Juliana Piaseckiego, z czasem współtworząc łączność wewnątrz tej organizacji. W jej strukturach istniała utworzona i kierowana przez Łoszak poczta, która pośredniczyła w komunikacji między poszczególnymi wydziałami OPW oraz kontaktach z nimi Piaseckiego.

Działalność tę prowadziła do wybuchu powstania warszawskiego, wraz z którym faktycznie zakończyła się działalność OPW. Łoszak, jak większość innych członków organizacji, wzięła udział w walce z Niemcami w szeregach AK. Podobnie jak w czasie obrony Warszawy we wrześniu 1939 r. wykorzystała swoje doświadczenia medyczne, służąc w zgrupowaniu mjr. Stanisława Błaszczaka „Roga" na Starym Mieście. Kiedy upadała Starówka, przeszła kanałami do Śródmieścia. Po klęsce powstania znalazła się w obozie w Pruszkowie, ale wydostała się stamtąd, by wrócić do Warszawy już następnego dnia po zajęciu jej przez wojska sowieckie.

Wkrótce zaangażowała się w powojenną konspirację niepodległościową – najpierw w NIE (Niepodległość), a następnie w Delegaturze Sił Zbrojnych na Kraj, gdzie znów, jak za poprzedniej okupacji, odpowiadała za łączność, m.in. z wybitnymi oficerami rozwiązanej niedawno AK – Janem Mazurkiewiczem „Radosławem" i Józefem Rybickim „Maciejem". Poza tym przekazywała rękopisy ulotek i artykułów do pisma DSZ „Myśl Niezawisła", które przygotowywano w tajnej drukarni przy ul. Targowej 47 na warszawskiej Pradze. Ujawniła się we wrześniu 1945 r. wraz z „Radosławem" i dużą częścią DSZ Okręgu Warszawskiego.

Minęły nieco ponad dwa lata, kiedy została aresztowana przez komunistów. Zarzucali jej kontynuowanie działalności konspiracyjnej pod kierownictwem płk. Mazurkiewicza. Przeszła ciężkie śledztwo, podczas którego wymuszano na niej zeznania obciążające „Radosława" i inne osoby. Kiedy 21 lutego 1950 r. stanęła przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Warszawie, nie przyznała się do winy. Odwołała wymuszone w śledztwie zeznania, dotyczące prowadzenia działalności konspiracyjnej pod pozorem uczestniczenia w odbywających się na Powązkach uroczystościach upamiętniających żołnierzy AK poległych w walce z Niemcami. „Ja chodziłam na te uroczystości ze względu na to, aby uczcić swoich kolegów, którzy polegli w czasie okupacji" – mówiła na procesie Łoszak. Skazano ją na sześć lat pozbawienia wolności. Warto zacytować uzasadnienie wyroku wyższej instancji: „W grudniu 1947 ukrywała w swoim mieszkaniu przestępcę antypaństwowego Fildorfa ps. »Nil« i umożliwiła mu spotkanie z innym przestępcą antypaństwowym Bąbińskim [gen. Kazimierz Bąbiński, pierwszy dowódca 27. Wołyńskiej DP – przyp. red.]. Ta ostatnia okoliczność również dowodzi, że skazana do końca 1947 rozwijała aktywną działalność antypaństwową. Mając na uwadze, że skazana, jak wynika z całokształtu sprawy, jest w swojej działalności antypaństwowej niepoprawna, należy uznać, że wymierzona jej kara jest raczej niewspółmiernie niska".

Więziono ją w Fordonie, gdzie ciężko chorowała. Po zwolnieniu zamieszkała w Radomiu, gdzie pracowała jako kosmetyczka i gdzie zmarła w 1991 r. Doczekała oswobodzenia spod rządów komunistycznych, podczas których jedyną nagrodą dla tej dwukrotnie odznaczonej Krzyżem Walecznych za walkę z Niemcami kobiety było więzienie w Fordonie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN.

eprasa.pl c6b514a6e3



Zygzaki Duce / Stosunek do Izraelitów

Mussolini i Żydzi



Arkadiusz Karbowiak

Początkowo faszyści odnosili się do Żydów wręcz z sympatią. Bardzo wiele zmieniło w tej kwestii zawarcie przymierza z III Rzeszą, ale mimo to znakomitej większości włoskich Żydów udało się przetrwać wojnę

Dojście faszystów do władzy we Włoszech nie zapowiadało żadnego zagrożenia z ich strony dla niewielkiej liczebnie, bo liczącej w 1911 r. zaledwie 33 tys. osób, żydowskiej społeczności. Nawet na zebraniu założycielskim Fasci di Combattimento, które odbyło się 24 marca 1919 r. w Piazza San Sepolcro, w gronie ok. 300 jej założycieli było pięciu Żydów. Jednym z nich był przedsiębiorca Cesare Goldmann, wspierający finansowo gazetę redagowaną przez Mussoliniego „Il Popolo d'Italia", który udostępnił salę na wspomniane zebranie. Z biegiem lat liczba osób żydowskiego pochodzenia w szeregach ruchu faszystowskiego systematycznie rosła. Podczas odbywającego się w dniach 27–29 października 1922 r. zwycięskiego, jak się okazało, „marszu na Rzym" w gronie jego uczestników znajdowało się już 225 Żydów, natomiast tuż przed rozpoczęciem w 1938 r. kampanii antysemickiej we Włoszech było ich w PNF (Narodowa Partia Faszystowska) 10 125, co wskazuje, że prawie jedna trzecia Żydów mieszkających we Włoszech należała do partii faszystowskiej. Te wyliczenia wskazują, że byli oni nadreprezentowani w strukturach PNF w porównaniu z procentową liczbą żydowskich obywateli Królestwa Italii.

Jednymi z najbardziej znanych działaczy byli zamordowany w 1943 r. przez gestapo, wydający gazetę „La Nostra Bandera" bankier Ettore Ovaza oraz zamieszany w zabójstwo socjalistyczne-

eprasa.pl c6b514a6e3



Benito Mussolini i Adolf Hitler, 1940 r. FOT. WIKIPEDIA

go działacza Giacomo Matteottiego podsekretarz stanu w MSW, a w późniejszym czasie także działacz antyfaszystowskiego podziemia Aldo Finizi, rozstrzelany jako zakładnik w Grotach Adreatyńskich 23 marca 1944 r., czy też pełniący wysokie funkcje w aparacie państwowym minister finansów Włoch (w latach 1932–1935) Guido Jung. W momencie tworzenia się Fasci di Combattimento, a potem PNF, tzw. kwestia żydowska nie była obecna w przestrzeni ideologii faszystowskiej. Sam Benito Mussolini, choć początkowo krytyczny wobec Żydów i potępiający żydowski bolszewizm, zrewidował swoje stanowisko, pisząc w artykule „Żydzi, bolszewizm i włoski syjonizm": „Bolszewizm nie jest – jak się sądzi – zjawiskiem żydowskim. […] Włochy nie znają antysemityzmu i wierzymy, że nigdy go nie zaznają. […] We Włoszech nie czyni się żadnej różnicy między Żydami a nie-Żydami, w żadnej sferze, od religii po politykę, od wojska po gospodarkę […]. Nowy Syjon włoscy Żydzi mają tu, w tym naszym pięknym kraju, którego zresztą wielu z nich broniło, przelewając własną krew". W 1923 r., już jako premier Duce, deklarował: „Rząd Włoch i włoski faszyzm nigdy nie miały zamiaru prowadzić ani nie prowadzą polityki antysemickiej, co więcej, ubolewają nad tym, że zagraniczne ruchy antysemickie mogą starać się wykorzystywać w tym sensie sympatię, jaką faszyzm zdobywa na świecie. […] Odmówiłem spotkania Hitlerowi i bawarskie gazety oskarżyły mnie, że jestem narzędziem w rękach Żydów; kiedy dowiedzą się, co wam mówię teraz, powiedzą, że sam stałem się Żydem".

Z biegiem lat Włochy Mussoliniego zaczęły zajmować coraz bardziej prosyjonistyczne stanowisko. Jednym z jego przejawów było powstanie w 1926 r. komitetu Włochy-Palestyna, z którym współpracowali czołowi liderzy ruchu syjonistycznego Chaim Weizmann i Nahum Sokołow. Podczas spotkania 13 listopada 1934 r. z późniejszym przewodniczącym Światowej Organizacji Syjonistycznej Nahumem Goldmanem i rabinem Rzymu Angelo Sacerdotim Mussolini miał powiedzieć: „Musicie stworzyć państwo żydowskie. Ja osobiście jestem syjonistą. Mówiłem to już Weizmannowi. Musicie mieć prawdziwe państwo, a nie jakąś tam śmieszną siedzibę narodową, jaką zaoferowali wam Anglicy. Ja wam pomogę stworzyć państwo żydowskie". Nieco wcześniej, w 1929 r., w momencie, gdy w Palestynie doszło do wybuchu starć żydowsko-arabskich, prasa faszystowska relacjonowała te wydarzenia z dużą dozą wyraźnej sympatii wobec Żydów. Dziennik boloński „Il resto del Carlino" pisał: „Antysemityzm Arabów to antyeuropejska rewolta […]: nie można nawet porównywać cywilizacji syjonistów z cywilizacją Arabów". Dobre stosunki łączyły faszystowskie Włochy nie tylko z głównym lewicującym nurtem syjonistycznym, lecz także z jego prawicowym rewizjonistyczno-syjonistycznym odłamem. Jego lider Włodzimierz Żabotyński, który jeszcze w 1922 r. nawiązał kontakt listowny z Mussolinim, podjął uwieńczone sukcesem wysiłki na rzecz utworzenia we Włoszech Szkoły Morskiej Betaru. Jej adepci szkolili się w położonej niedaleko Rzymu morskiej bazie Civitavechia. Mając na uwadze zainicjowaną współpracę z Betarem, nie sposób się dziwić, że rząd włoski jako jedyny przesłał na odbywającą się we wrześniu 1932 r. w Wiedniu konferencję rewizjonistów oficjalne życzenia.



Włodzimierz (Ze'ew) Żabotyński FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Polityczny zwrot

Ta prosyjonistyczna postawa Włoch oraz brak akcentów antysemickich w faszystowskiej ideologii powodowały, że zupełnie niezrozumiałe dla faszystowskiego establishmentu były, stanowiące integralną część ideologii narodowo-socjalistycznej w Niemczech, teorie rasowe. Mussolini jeszcze w 1932 r., a więc przed dojściem Hitlera do władzy, mówił podczas wywiadu udzielonego jednemu z niemieckich dziennikarzy: „Nie ma już czystych ras, gdyż nawet Żydzi nie uniknęli pomieszania. Szczęśliwe pomieszanie ras stawało się właśnie nieraz przyczyną siły i piękna narodów. Na rasę składa się raczej uczucie niż realna rzeczywistość; uczucie stanowi w niej dobre 95 procent. Nie wierzę w to, aby można było udowodnić biologicznie, że dana rasa jest bardziej lub mniej czysta". Ta krytyczna ocena rasizmu nie zmieniła się po nawet po przejęciu władzy przez NSDAP. Mediolański dziennik „Il Popollo di Lombardia" konstatował wówczas: „Jest jasne, że ten sposób postrzegania spraw jest daleki od naszego. Rasizm uderza we wszystkie nasze przekonania. Włoch będzie mówił o narodzie,

eprasa.pl c6b514a6e3

o rodzinie, ale niełatwo mu, odnosząc się do bliźnich, posłużyć się w dokładnym sensie słowem »rasa«. Bo Włoch jest zanurzony w historii i to właśnie historia uczy go, że bogata i trwała cywilizacja nie powstaje z jednej rasy, lecz – jeśli już – ze współdziałania ras i ludów".

Trzeba jednak wyraźnie zaznaczyć, że przedstawiony powyżej pozytywny stosunek Mussoliniego do idei powstania państwa żydowskiego wynikał z kalkulacji politycznych, m.in. z potrzeby wzmocnienia wpływów Włoch na Bliskim Wschodzie, i z pewnością nie był wynikiem jakichś altruistycznych czy idealistycznych prożydowskich przekonań. Jego stanowisko w tej materii dość dobrze opisał ukazujący się w Palestynie żydowski dziennik „Haaretz" w artykule z 29 grudnia 1934 r.: „Głupstwem jest twierdzić, że Mussolini miłuje lub nienawidzi naród żydowski. On miłuje Italię. [...] Dla Mussoliniego żydostwo to pionek na szachownicy światowej polityki, może nie bardzo ważny, ale z pewnością i nie bezużyteczny. Oto i cały stosunek Mussoliniego do nas – ni mniej, ni więcej".

W tym kontekście należy też postrzegać zwrot, którego dokonał w polityce wobec Żydów we Włoszech w 1938 r. Głównym powodem jego przeprowadzenia było zawarcie sojuszu z III Rzeszą, więc państwem realizującym w praktyce politykę antysemityzmu. Owa zmiana, co warto podkreślić, nie była wynikiem jakichkolwiek nacisków czy sugestii niemieckich. Mussolini uznał, że przymierze z Berlinem skłoni prędzej czy później, co zresztą było naturalne, środowiska żydowskie w Italii, także te związane z PNF, do zajęcia wrogiej antyfaszystowskiej postawy. Duce nie wierzył, by włoscy Żydzi mogli działać na rzecz wspólnego niemiecko-włoskiego zwycięstwa. Dlatego decyzja o ograniczeniu ich praw wydawała mu się zgodna z włoską racją stanu. Warto jednak pamiętać, że w owych czasach takie zbiorowe restrykcje wobec różnych grup obywateli stosowano także w zachodnich demokracjach, np. w 1941 r. w USA obywatele pochodzenia japońskiego umieszczeni zostali w obozach internowania. Zmianę dotychczasowej polityki Rzymu w stosunku do Żydów oparto na instrumentarium rasowym, choć rasistowska ideologia, początkowo krytycznie oceniana przez włoskich faszystów, po wojnie z Etiopią, w kontekście relacji z Afrykanami, znajdowała coraz większe uznanie w ich oczach. Wykorzystano ją jako fundament, na którym oparto przepisy dyskryminujące żydowską społeczność Italii.

Przełomowym dokumentem stanowiącym zapowiedź modyfikacji polityki wobec Żydów był opublikowany 14 lipca 1938 r. w prasie manifest „Faszyzm i problem rasowy", znany jako „Manifest rasy". Niektóre jego fragmenty odnosiły się do Żydów: „Żydzi nie należą do rasy włoskiej. [...] Żydzi są jedyną grupą, która nigdy nie uległa we Włoszech asymilacji, ponieważ składa się z nieeuropejskich elementów rasowych, całkowicie odmiennych od tych, które dały początek Włochom". Ponad miesiąc po publikacji manifestu przeprowadzono tzw. spis rasowy. Z uzyskanych danych wynikało, że 46 656 osób było rzeczywistymi Żydami, wśród których znajdowało się 9415 cudzoziemców. 17 listopada 1938 r. ukazał się dekret królewski kompatybilny w dużej mierze z ogłoszoną nieco wcześniej przez Wielką Radę Faszystowską „Deklaracją o rasie". Zabraniał on Żydom służby w wojsku, policji, pracy w administracji, wszelkich urzędach, szkolnictwie czy przynależności do partii. Ograniczono im również możliwość posiadania ziemi rolnej, nieruchomości; nie mogli też być właścicielami firm zatrudniających ponad 100 pracowników. Żydzi będący weteranami ruchu faszystowskiego, wielkiej wojny, wojny libijskiej, abisyńskiej i hiszpańskiej (albo członkowie ich rodzin) zostali częściowo zwolnieni z tych ograniczeń – przykładowo mogli prowadzić działalność gospodarczą. Żydowskich cudzoziemców pozbawiono włoskiego obywatelstwa. Teoretycznie nie mieli oni zatem prawa przebywania na terytorium Włoch, a po wybuchu wojny część z nich odizolowano w 51 obozach internowania i 250 miejscach swobodnego internowania.

Do momentu upadku Mussoliniego umieszczono w nich 6386 Żydów, z czego 2047 w obozach zamkniętych. Warunki pobytu w nich były generalnie początkowo przyzwoite, choć z biegiem czasu ulegały systematycznemu pogorszeniu. Funkcjonariusz włoskiego MSW tak pisał w swym raporcie z lutego 1943 r. po inspekcji przeprowadzonej w trzech obozach: „Miały miejsce przypadki niedożywienia, zdarza się nieraz, że ktoś szuka wśród śmieci czegoś, co by uśmierzyło głód; inni leżą bezwolnie na łóżkach, oszczędzając siły fizyczne, inni posuwają się do jakichś drobnych wykroczeń, by trafić do więzienia, gdzie spodziewają się dostać większe racje chleba". Pomimo realizowanej w latach 1938–1943 polityki dyskryminującej Żydów faszystowskie Włochy stały się dla nich oazą bezpieczeństwa, a radykalni antysemici nawołujący do ich prześladowań, tacy jak np. lider faszystowski z Cremony Roberto Farinacci, byli mimo wszystko swoistym marginesem w PNF. Ta w miarę liberalna



Benito Mussolini podczas marszu na Rzym FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl c6b514a6e3



Członkowie Betaru FOT. WIKIPEDIA

jak na standardy państw osi polityka wobec Żydów była również kontynuowana na terytoriach okupowanych przez Regio Esercito (armia włoska). Na tym tle dochodziło zresztą do napięć włosko-niemieckich.

Niemcy od momentu rozpoczęcia w latach 1941–1942 masowej eksterminacji Żydów formułowali wobec swoich sojuszników żądania przekazania ich w celu deportacji do gett i obozów zagłady. Zarówno włoscy wojskowi, jak i przedstawiciele administracji czy MSZ nie widzieli powodu do uczestniczenia w tym procederze. Jednym z miejsc, w których doszło do zwarcia pomiędzy Berlinem a Rzymem, były okupowane przez armię włoską po alianckiej inwazji w Afryce Północnej obszary południowej Francji, stanowiące formalnie terytorium państwa francuskiego. Na zajętych przez Wehrmacht obszarach Vichy rozpoczęły się aresztowania i deportacje Żydów do obozów koncentracyjnych. Zagrożeni Żydzi zaczęli uciekać do włoskiej strefy okupacyjnej, w której zamieszkiwało ok. 22 tys. przedstawicieli tej społeczności. Niemcy, nie posiadając zbyt wielkich możliwości przeciwdziałania temu procederowi, próbowali zmusić Włochów do przekazania Żydów w swoje ręce. Comando Supremo 4 grudnia 1942 r. poinformowało niemieckiego attaché wojskowego w Rzymie, że Żydzi z włoskiej strefy zostaną internowani. Niemców ta wiadomość nie zadowoliła i na ich polecenie do akcji aresztowań Żydów we włoskiej strefie przystąpiła policja francuska. Jej działania spotkały się z przeciwdziałaniem dowództwa 4. armii włoskiej. Tymczasem Mussolinii, naciskany w sprawie deportacji przez Joachima von Ribbentropa i ambasadora Rzeszy Georga von Mackensena, zabrał kompetencje dotyczące Żydów włoskim wojskowym i przekazał je MSW, a konkretnie utworzonemu Komisariatowi ds. żydowskich, kierowanemu przez gen. Guido Lapinosę. Na jego rozkaz Żydów przesiedlono z wybrzeża w głąb lądu i osiedlono w miastach. Tych, których uznano za niebezpiecznych, umieszczono w obozie koncentracyjnym Scopello. Do chwili kapitulacji Włoch do deportacji więc nie doszło. Dopiero później pewna liczba Żydów padła ich ofiarami, ale Niemcy nie mieli sił i środków, by ująć wszystkich Izraelitów, tym bardziej że policja francuska wyrażała już wtedy jawny désintéressement w kwestii współdziałania w tym zakresie.

Podobna sytuacja miała miejsce w okupowanej przez Włochów części Chorwacji. Również tu Niemcy zaczęli wywierać presję na generałów Regio Esercito w kwestii wydania w ręce – teoretycznie – władz Niepodległego Państwa Chorwackiego 2661 (według danych żydowskich 3500) Żydów znajdujących się we włoskiej strefie operacyjnej. Włoscy dowódcy na tych terenach nie respektowali przepisów dotyczących antysemickiego chorwackiego ustawodawstwa, przez co zwiększała się systematycznie liczba żydowskich uchodźców uciekających pod opiekuńcze skrzydła włoskie przed ustaszowskimi i niemieckimi prześladowaniami. Dowódca 2. armii włoskiej w Chorwacji gen. Mario Roatta sprzeciwiał się deportacjom. Niemcy próbowali uzyskać aprobatę decyzji o wywózkach od samego Mussoliniego, co przyniosło skutek w postaci opinii wyrażonej przez Duce słowami: „Nie widzę przeszkód". Ale tak sformułowana dyspozycja nie została przez wojskowych potraktowana jako bezwzględny rozkaz. Poza tym uznali oni, że w grę mogą wchodzić tylko Żydzi z obszarów okupowanych, tzw. strefy B, a nie anektowanych z tzw. strefy A (część Dalmacji). A ponieważ spora część Żydów na terenach okupowanych ubiegała się o włoskie obywatelstwo, wdrożono żmudne i długotrwałe procedury administracyjne mające na celu ustalenie, kogo dokładnie deportacje mają dotyczyć.

Sprawa chorwackich Żydów stała się przedmiotem negocjacji włosko-niemieckich. Generał Mario Robotti, który zastąpił w tym czasie gen. Roattę na stanowisku dowódcy 2. Armii, zdecydowanie odmówił wydania Żydów. Aby przekonać do swego stanowiska Mussoliniego, udał się w tym celu na rozmowę z Duce do Rzymu. Mussolini po odbytym spotkaniu wycofał swą wcześniejszą akceptację dla akcji deportacyjnej. W efekcie Włosi internowali część Żydów w obozie koncentracyjnym na wyspie Rab. Również w Albanii przyłączonej do Włoch Żydzi zostali umieszczeni w obozach internowania. Jedyny przypadek ich wydania w ręce Niemców miał miejsce na terenie Kosowa, gdzie w marcu 1942 r. w Prisztinie włoscy karabinierzy przekazali 51 uprzednio aresztowanych przedstawicieli tej narodowości, których Niemcy zamordowali potem w obozie Sajmiste.

W samych Włoszech sytuacja Żydów uległa pogorszeniu po rozpoczęciu niemieckiej okupacji i powstaniu La Repubblica Sociale Italiana (RSI). Podczas odbywającego się w dniach 14–16 listopada 1943 r. kongresu PRF (Republikańska Partia Faszystowska) w Weronie Żydów potraktowano jako społeczność wrogą (punkt 7 manifestu werońskiego). W konsekwencji 30 listopada 1943 r. nowy szef włoskiego MSW, minister Guido Buffarini-Guidi, wydał tzw. rozkaz nr 5, nakazujący aresztowanie i skierowanie do obozów internowania wszystkich Żydów (poza pozostającymi w związkach z Aryjczykami). 10 grudnia 1943 r. szef policji RSI Tullio Tamburini złagodził nieco to rozporządzenie, wyłączając z niego osoby po 70. roku życia oraz chore. Tym samym we Włoszech rozpoczął się okres już nie dyskryminacji, ale prześladowań żydowskiej społeczności. Prawie połowa Żydów spośród aresztowanych i osadzonych, głównie w policyjnych obozach przejściowych Fossoli di Carpi i Bolzano, została zatrzymana przez różne włoskie formacje policyjne. Sprawujący nad nimi nadzór Niemcy zaczęli wywozić ich do obozów koncentracyjnych. Bufarinii co prawda już 20 stycznia 1944 r. protestował przeciw nielegalnym akcjom deportacyjnym, co wskazuje na to, że odbywały się one bez zgody władz RSI, ale owe protesty na niewiele się zdały. W efekcie deportowano 6806 Żydów (wraz z tymi z wysp Dodekanezu liczba ta wynosiła 8369), z których przeżyło 837. W Italii wojenną zawieruchę przetrwało natomiast ok. 37 tys. włoskich Żydów, co stanowiło ok. 80 proc. tamtejszej społeczności izraelickiej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c6b514a6e3

Artur Rubinstein / Nieznana twarz mistrza

Seksoholizm pianisty



Artur Rubinstein w 1906 r.
FOT. LIBRARY OF CONGRESS



Sławomir Koper

Artur Rubinstein przez całe życie cierpiał na kompleks Don Juana i musiał regularnie potwierdzać swoją męskość. Miał dziesiątki (jeżeli nie setki) romansów i wielokrotnie w tym samym czasie spotykał się z kilkoma partnerkami.

Rubinstein rozpoczął życie erotyczne w wieku 15 lat w Berlinie, a jego pierwszą partnerką była znacznie od niego starsza właścicielka mieszkania, w którym wynajmował pokój. Kochanka dokładnie wyedukowała go w sprawach seksu, a on zawsze wspominał ją z dużym sentymentem. Ten romans był dla niego potwierdzeniem tezy, że muzycy mają powodzenie u płci pięknej, a ich aparycja nie ma większego znaczenia.

Niebawem spotkało go jednak rozczarowanie, został bowiem odrzucony przez starszą o trzy lata Joannę Wertheim. Zrekompensował to sobie, nawiązując romans z matką dziewczyny. Różnica wieku wynosząca ok. 30 lat specjalnie mu nie przeszkadzała, jednak z czasem zaczął narzekać, że partnerka była „zbyt absorbująca". Rozwiązaniem sytuacji okazało się uwiedzenie jej córki, Lilli [starszej siostry Joanny – przyp. S.K.], która dla niego porzuciła męża i dwoje dzieci. Pianista nie myślał jednak o stabilizacji, rola kochanka zupełnie mu wystarczała. Było to zresztą zgodne z jego filozofią życiową. „[...] sytuacja kochanka jest zawsze korzystniejsza – tłumaczył – pokazuje się obiektowi swej miłości w najlepszym świetle i tylko w chwilach przez siebie wybranych. Pozostaje z nią tak długo, jak długo zechce; jego kurtuazja jest zawsze świeża, posyła kwiaty w odpowiednim czasie. Umie być dyskretny, a gdy nadejdzie odpowiedni moment – namiętny. A teraz spójrzcie na los męża – zawsze jest pod ręką, nawet gdy ona nie tęskni do jego widoku. [...] Może chrapie w nocy, a rano jest zmęczony i roztargniony, albo źle się zachowuje w łazience. Oboje muszą rozmawiać o sprawach pieniężnych, kosztach utrzymania, o dzieciach, służących etc.".

Co do Lilli, to podobno Artur ją „naprawdę kochał, ale porzucił jak gorący kartofel". W prywatnych rozmowach z przyjaciółmi wyjaśniał, że „nie leży w jego naturze żenić się z kobietą starszą od niego, a poza tym matką nie jego dzieci". Nie był zresztą jej wierny i po wybuchu pierwszej wojny światowej bez większych skrupułów zrezygnował z tej znajomości. Jego kompleksy na punkcie wyglądu doskonale uwidaczniały się w chwilach intymnych. Nigdy nie zasypiał w łóżku z kobietą, z którą spędzał noc, uważał bowiem, że podczas snu może wyglądać niekorzystnie. Po drugiej wojnie

eprasa.pl c6b514a6e3

światowej spotkał w USA córkę Lilli, która była wówczas żoną siostrzeńca Anieli. Adorował dziewczynę, ale podobno do niczego między nimi nie doszło…

Teściowa przyjaciela

Chociaż Rubinstein był koneserem damskiej urody (miał na sumieniu romanse z urodziwymi tancerkami Baletów Rosyjskich Sergiusza Diagilewa), to w praktyce nie odrzucał żadnej przygody erotycznej. Jedną z nich był przelotny romans z pewną pochodzącą z Warszawy damą w średnim wieku, którą poznał podczas podróży przez Niemcy. Towarzyszył mu wówczas jego przyjaciel i rówieśnik, skrzypek Paweł Kochański, co nie przeszkodziło pianiście w spędzeniu upojnej nocy z nową znajomą. Dwudziestoletni Rubinstein nie zwracał większej uwagi na to, że dama była „niska i nieco korpulentna", a do tego „musiała mieć już dobrze po pięćdziesiątce". Zdziwiło go jednak nieco jej zachowanie podczas zbliżenia, ponieważ „jęczała i nie przestawała mówić, posługując się dziwnym słownictwem:

– Bardzo dobrze to robisz, pięknie pracujesz, och, jak dobrze pracujesz, och, to dopiero wspaniała robota!

Paplanina ta nasilała się do crescendo…".

Jeszcze większe zaskoczenie spotkało go rano, gdy w jego pokoju zjawił się Paweł Kochański.

„– Co z tobą? Jesteś chory? – spytał.

– Nie, jestem po prostu wyczerpany po wczorajszym wieczorze – odpowiedziałem.

– I to wszystko? – upierał się.

– Co masz na myśli? – spytałem nieco zaniepokojony.

Obrzucił mnie długim spojrzeniem swych czarnych jak węgiel, aksamitnych oczu i nagle z szatańskim uśmieszkiem zaczął:

– Och, bardzo dobrze to robisz, pięknie pracujesz, och, jak dobrze pracujesz, och, to dopiero wspaniała robota!

Przez chwilę siedziałem z otwartymi ustami, a potem popatrzyliśmy na siebie i wybuchnęliśmy niepohamowanym, homeryckim śmiechem.

– Paweł, hultaju, a kiedy tobie się to przytrafiło? – spytałem, gdy byliśmy już w stanie mówić.



Gabriella Besanzoni

FOT. LIBRARY OF CONGRESS



Irene Ravensdale

FOT. LIBRARY OF CONGRESS



Annabella Whitestone

FOT. BERTELSMANN STIFTUNG/CC BY-SA 3.0 DE

– Po przedstawieniu w Wintergarten. Nie pamiętasz? Wtedy to właśnie ja siedziałem koło niej".

Ta dama była przyszłą teściową Pawła Kochańskiego…

Mistrz autokreacji

Jednak nie przy wszystkich kobietach Rubinstein sprawdzał się jako mężczyzna. Podczas pierwszej wojny światowej nawiązał romans z włoską śpiewaczką Gabrielą Besanzoni, ale po latach wspominał z niechęcią, że kochanka „miała wielki temperament" i była „męcząca i wymagająca" w łóżku. Właściwie o żadnej partnerce nie wyrażał się w podobny sposób.

Uwielbiał jednak pokazywać się z nią publicznie, była bowiem piękną kobietą, a do tego wielką gwiazdą. Podbudowywał w ten sposób własne ego i utwierdzał swoją sławę uwodziciela.

„Trudno zaprzeczać – wyjaśniał – że wysoce pochlebiało to mojej męskiej próżności, równocześnie jednak myśl o tej nowej i skomplikowanej odpowiedzialności napełniała mnie niejaką obawą. Nie zamierzałem wcale żenić się z Besanzoni, a strasznie się bałem, że właśnie to postawiła sobie za cel".

Zawsze dbał o swoją opinię kobieciarza, a odpowiednia publiczność była równie ważna jak same podboje erotyczne. Takie można odnieść wrażenie, kiedy się czyta relację hiszpańskiego dziennikarza, który odwiedził 31-letniego Rubinsteina w hotelu w Madrycie. Żurnalista zwrócił wtedy uwagę na porozstawiane po całym apartamencie zdjęcia ponad 20 pięknych kobiet, przy czym każde z nich miało „namiętną dedykację, deklarującą dozgonną miłość".

„Niech to pana nie dziwi – wyjaśniał dziennikarzowi. – To nie ma znaczenia. To tylko pamiątki. Chcę żyć otoczony rzeczami, na które miło spojrzeć. Otwierając oczy, czuję się mniej osamotniony, kiedy spotykam piękne twarze tych anielskich przyjaciółeczek. Poza tym proszę zauważyć, że wszystkie się do nas uśmiechają. Żadna nie niepokoi nas skargami".

Inna sprawa, że pianista zawsze potrafił wywierać odpowiednie wrażenie na kobietach. Jedna z jego przyjaciółek twierdziła, że „był jednym z nielicznych mężczyzn naprawdę znających kobiety, wiedział, jak sprawić, by czuły się dobrze – jak sprawić, by każda wierzyła, że jest jedyną kobietą na świecie". Chociaż zdawały sobie sprawę, że są jednymi z wielu, to kiedy z nim przebywały, miały poczucie, „że są najbardziej boskimi istotami na ziemi".

Rubinstein idealnie odnalazł się również w szalonych latach 20. Był już wówczas człowiekiem zamożnym, a pomimo przekroczonego 30. roku życia wciąż lubił się zabawić. Nad Sekwaną wprowadzał w życie towarzyskie znacznie młodszego od siebie skrzypka Jaschę Heifetza. Obaj muzycy wzięli kiedyś udział w corocznym balu studentów Akademii Sztuk Pięknych.

„Cała ogromna sala była zatłoczona – wspominał Rubinstein. – Pośrodku znajdowała się okrągła estrada. Dziewczęta, przeważnie modelki, miały na sobie lekkie tuniki korzystnie uwydatniające ich nagie ciała. […] W miarę upływu czasu następowało coraz większe rozpasanie. Wiele tunik porzucono w loży na galerii będącej zaimprowizowaną garderobą. Taniec zamienił się w inny rodzaj zabawy

eprasa.pl c6b514a6e3



Artur Rubinstein z żoną FOT. GETTY IMAGES

doprowadzanej artystycznie do końca. Była to rzymska orgia, w porządku, jednakże wyobraźnia paryskich studentów według mnie znacznie przewyższyła wyobraźnię starożytnych Rzymian, z którymi chcieli rywalizować. Heifetz, lekko przerażony, patrzył na wszystko szeroko otwartymi oczami. Ujrzawszy śliczną modelkę gwałconą na estradzie przez dwóch przedsiębiorczych studentów […], chciał już iść do domu w obawie, że za chwilę zjawi się policja, by aresztować »zbrodniarzy«. Uspokoiłem go i zabrałem do garderoby, gdzie można było także wypić czarną kawę, tam jednak natknęliśmy się na osobliwą scenę – niemłoda już kobieta pilnująca garderoby chętnie pozwalała nastawać na swoją cnotę kilku nader ochoczym amateurs. Bardzo mnie to ubawiło, ale Jascha z wrażenia omal nie zemdlał".

Wracając rano z imprezy, obaj muzycy odwiedzili jeszcze lokal na Montmartre. Usunęli z estrady miejscowego skrzypka i pianistę i ku zachwytowi właściciela oraz gości grali przez kilka godzin.

Małżeństwo

Gabrieli Besanzoni nie udało się doprowadzić Artura do ołtarza, sztuka ta powiodła się natomiast Anieli (Neli) Młynarskiej, córce znakomitego muzyka Emila. Pobrali się w lipcu 1932 r. w Londynie – pan młody miał 45 lat, a jego partnerka 24. I nawet w takim dniu pianista pozostał sobą i podczas uroczystego obiadu dyskretnie opuścił gości, aby spotkać się ze swoją byłą przyjaciółką Irene Ravensdale, córką lorda Curzona.

„Nie wybaczyłam mu tego do dziś – wspominała po latach żona. – Poszedł ją pocieszyć, ponieważ rozpaczała z powodu ślubu Artura. Zawsze chciał być strasznie elegancki wobec swoich eks. Uważał to za ważniejsze niż być ze mną i zostawił mnie w środku Londynu, w dniu naszego ślubu – właśnie tak".

Wizyta u Irene nie miała czysto przyjacielskiego charakteru, bo Rubinstein poszedł z nią wtedy do łóżka, chcąc w ten sposób sobie „udowodnić, że nie wpadł w pułapkę małżeństwa".

Nela nie miała zresztą złudzeń co do charakteru męża. Od samego początku wiedziała, że musi go bardzo pilnować, dlatego też starała się zawsze jeździć z nim w trasy koncertowe. Nawet, gdy było to sprzeczne z jej instynktem macierzyńskim.

„Siedemnaście dni po urodzeniu Pawła zostawiłam dziecko – wspominała. – Nie miałam wyboru, Artur nie był mężczyzną, któremu można by pozwolić wyjechać na sześć miesięcy. Było to dla mnie trudne, najtrudniejsze. Rozstać się z nowo narodzonym dzieckiem to okropna rzecz dla kobiety. Nie mogliśmy się porozumiewać: były tylko telegramy, nie było telefonów. Tak wielkie oddalenie i to aż na sześć miesięcy".

Pani Rubinstein „usiłowała utrzymać tego dzikiego mężczyznę i nie pozwalała mu samotnie fruwać po świecie". Nie zawsze to jej się udawało, artysta bowiem wciąż podróżował, a czworo dzieci wymagało stałej opieki. On skrzętnie to wykorzystywał, a podczas rozmów z przyjaciółmi przyznawał, że „nigdy nie był żonie wierny nawet przez tydzień". Ciągle szukał potwierdzenia własnej atrakcyjności, romansował z żonami kolegów muzyków i ze swoimi uczennicami.

Potrafił być jednak dyskretny, a jego osobisty służący wielokrotnie ratował go w kryzysowych sytuacjach. Dlatego żona przez wiele lat nie zdawała sobie sprawy z niewierności męża, gdyż wydawało się jej, że potrafiła go upilnować.

„Co do innych kobiet całkowicie mu ufałam – opowiadała Nela po śmierci pianisty – a on rzekł: »Nigdy Cię nie oszukałem«. Dziś nie jestem całkowicie pewna, co przez to rozumiał".

Często zdarzało się, że Artur, planując erotyczne ekscesy, skutecznie zniechęcał żonę do udziału w trasach koncertowych. Tłumaczył jej, że „będzie to męcząca podróż", a ona „tyle razy już słyszała ten program". Bywał bardzo przekonujący i z reguły osiągał swój cel.

Ostatnia kobieta

Z upływem lat Rubinstein zaczął podejrzewać, że kobiety oddają mu się wyłącznie z powodu jego muzycznej sławy. Zaczął odczuwać potrzebę akceptacji swojej osobowości w oderwaniu od tego, czym zawodowo się zajmował. I u schyłku życia spotkał kobietę, która mu to zapewniła.

Annabelle Whitestone poznał podczas tournée po Hiszpanii. On miał wtedy 83 lata, a ona 24. Annabelle wspominała, że od razu poczuła „ten jego niewiarygodny magnetyzm i urok". Nawiązali romans (muzyk wciąż zadziwiał otoczenie swoim wigorem seksualnym), a Annabelle, która na stałe mieszkała w Hiszpanii, odwiedzała pianistę pod nieobecność Neli.

„Artur bał się skandalu – wspominała panna Whitestone. – Bał się zaburzyć ustalony porządek rzeczy. Nie dlatego, że był hipokrytą, który udawał, że jest inny niż w rzeczywistości, ale ponieważ naprawdę chciał, żeby tak było. Zatrzymywałam się w hotelu Claridge w Paryżu i zawsze chodziliśmy oddzielnie – jedno za drugim – tak, aby nikt nie widział nas razem. Starałam się wybierać restauracje, w których go nie znano, ale oczywiście zawsze go rozpoznawano […] i natychmiast wiedzieliśmy, że wpadliśmy".

Artur w końcu porzucił żonę i zamieszkał z Annabelle w Genewie. Młoda partnerka była dla niego najlepszą „kochanką, żoną, córką, wielbicielką, powiernicą i sekretarką". Nigdy też nie miała wobec niego żadnych wymagań finansowych, wbrew opiniom Neli, która była pewna, że Annabelle skusiły pieniądze. Poza tym uważała rywalkę za intrygantkę i rozpustnicę, natomiast swojego męża – za „starego durnia", będącego na tyle „próżnym i zakochanym w sobie", że stał się ofiarą sprytnej, młodej kobiety.

Przy nowej partnerce Rubinstein leczył swoje kompleksy, tymczasem Annabelle sprawiała wrażenie, że kocha go całkiem bezinteresownie. Zanim zamieszkali w Genewie, zadowalała się tylko wspólnymi weekendami (dość rzadko), ewentualnie wizytą w restauracji. A przecież była młodą i bardzo atrakcyjną kobietą.

Razem spędzili ostatnie lata życia pianisty. Rok przed śmiercią Rubinstein zwierzył się Marcie Argerich, że partnerka „utrzymuje go przy życiu, sprawia, że jego życie jest boskie […] i dzięki niej wcale nie chciało mu się umierać".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

A. Rubinstein, „Moje młode lata", Kraków 1976;
A. Rubinstein, „Moje długie życie", Kraków 1988;
H. Sachs, „Artur Rubinstein", Wrocław 1999.

eprasa.pl c6b514a6e3

1888–1969 / Komunistyczna Czechosłowacja

Prymas niezłomny z Pragi



Piotr Semka

Kardynał Josef Beran był jedynym z trzech wielkich prymasów, którzy zaznali męczeństwa zarówno ze strony nazistów, jak i komunistów

FOT. CTK/PAP

eprasa.pl c6b514a6e3



Josef Beran jako seminarzysta, 1912 r.
FOT. ARCHIWUM ARCHIDIECEZJI PRASKIEJ

Josef Beran przychodzi na świat w 1888 r. w Pilźnie. To miasto znane jest na całym świecie głównie z wybornego piwa, ale w realiach czeskich jest to miasto znajdujące się na styku aktywności politycznej społeczności niemieckiej i czeskiej. Beran pochodzi z rodziny, w której wybory narodowościowe są skomplikowane. Rodzi się w rodzinie nauczyciela Josefa Berana, ale jego matka Maria pochodzi z domu Lindauerów i jest siostrzenicą wybitnego malarza Gottfrieda Lindauera – z terenu zachodnich Czech, gdzie małżeństwa mieszane nie są niczym rzadkim. Ten fakt wpłynie na późniejszą działalności ks. Berana. Będzie on bowiem starał się łagodzić antagonizmy czesko-niemieckie w imię katolickiego uniwersalizmu.

Po ukończeniu c.k. gimnazjum w Pilźnie postanowia wybrać drogę kapłaństwa i zostaje wysłany do kolegium czeskiego w Rzymie, tzw. Bohemicum. W Rzymie otrzymuje święcenia kapłańskie w 1911 r. i tu kończy studia teologiczne uwieńczone doktoratem. Po powrocie do kraju zostaje wysłany do pracy w parafiach Chyše, Prosek u Prahy i wreszcie w samej Pradze. Od 1928 r. zaczyna wykładać teologię pastoralną na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Karola. W 1932 r. zostaje rektorem czeskiego seminarium arcybiskupiego. Tu znów daje o sobie znać jego bardzo przemyślane i roztropne działanie w celu gaszenia antagonizmów między klerykami czeskimi a tymi, którzy wywodzą się z rodzin czeskich Niemców.

Pierwsza droga męczeństwa

W czerwcu 1942 r. w Pradze grupa zamachowców z Londynu strzela do Rainharda Heydricha, niemieckiego protektora Czech i Moraw. Ginie on od ran, które odniósł w wyniku akcji czeskich i słowackich konspiratorów. Hitlerowcy w zemście dokonują mordu w Lidicach, zabijają 340 mieszkańców – 192 mężczyzn, 60 kobiet i 88 dzieci. Pozostali mieszkańcy zostają wysłani do obozów koncentracyjnych, a zabudowania zostają zburzone. Pada postanowienie, aby uderzyć też w czeskie duchowieństwo katolickie uważane przez Niemców za możliwy punkt oparcia dla ruchu oporu. Josef Beran zostaje aresztowany i osadzony w więzieniu na Pankrácu. W czasie przesłuchań zachowuje godną postawę i odmawia bycia wtyczką gestapo w środowiskach kościelnych. Niemcy wysyłają go do obozu koncentracyjnego w Terezinie, a potem trafia do najstraszniejszego obozu dla księży w Dachau. Tam ociera się o śmierć głodową. Gehenna kończy się 29 kwietnia 1945 r., kiedy to Dachau zostaje zajęte przez armię amerykańską. Beran wraca do kraju. Jego martyrologiczna karta jest ważna dla odbudowania prestiżu czeskiego Kościoła, w którym w czasie wojny dominował raczej nastrój zastraszenia, a nie oporu.


Konzentrationslager Dachau

Karta Josefa Berana, więźnia niemieckiego obozu w Dachau FOT. DOMENA PUBLICZNA

W 1946 r. papież Pius XII mianuje Josefa Berana arcybiskupem Pragi i tym samym otrzymuje on tytuł prymasa Czech. Ten krótki czas – między listopadem 1946 r. a lutym 1948 r. – to czas tzw. republiki beneszowej. Czechosłowacja pozostaje przez pewien czas po wojnie w miarę normalną demokracją, choć funkcjonuje na zasadzie tzw. specjalnych relacji ze Związkiem Sowieckim. Komuniści, którzy szykują się do przejęcia władzy, patrzą na Berana stosunkowo pozytywnie. Z racji męczeńskiej karty wojennej wolą go nie atakować. Ponadto na tle wielu innych przedstawicieli elit czeskiego Kościoła, którzy czy to wywodzą się z austriackiej arystokracji, czy też sami ulegli zniemczeniu, Beran jawi się jako czeski człowiek z ludu.

Logika wydarzeń jest jednak bezlitosna. W lutym 1948 r. lider komunistów Klement Gottwald dokonuje zamachu stanu. Prezydent Edward Beneš nie podejmuje żadnych działań, aby powstrzymać czerwonych agresorów, i jesienią 1948 r. umiera. Komuniści dają szansę Beranowi, żeby przyjął rolę biernego obserwatora zmian, ale domagają się, aby akceptował wszystkie ich działania. Prymas odrzuca tę ofertę. Odmawia podporządkowania Kościoła komunistom, występuje przeciwko tzw. akcji katolickiej, która przypomina polski ruch księży patriotów, i wchodzi w konflikt z Gottwaldem w kwestii kolaboranta ks. Josefa Plojhara i zgromadzonych wokół jego grupy kościelnych kolabo-

eprasa.pl c6b514a6e3

rantów. Komuniści chcą demonstrować swój rzekomo pozytywny stosunek do Kościoła katolickiego poprzez zaproszenie Plojhara do rządu.

Upadły kapłan otrzymuje stanowisko ministra zdrowia. Prymas Czech zabrania Plojharowi przyjmowania tego zatrutego prezentu. Władze coraz ostrzej naciskają na Berana, aby zaakceptował specjalny status ks. Plojhara. Prymas w odpowiedzi zawiesza najpierw nieposłusznego księdza w czynnościach kapłańskich, a gdy to nie pomaga, ekskomunikuje go. Na posiedzeniach Biura Politycznego Gottwald żąda, by jego podwładni zmusili „upartego berana" („beran" to po czesku baran) do podporządkowania się linii władz. Prymas nie cofa ekskomuniki i w 1949 r. zostaje internowany. Dwa lata spędza w areszcie domowym w pałacu arcybiskupim w Pradze. Potem zostaje przerzucany do prowincjonalnych parafii, gdzie znajduje się pod strażą bezpieki. Władze pragną go skompromitować, posuwają się do dodawania afrodyzjaku do napojów i żywności przekazywanych arcybiskupowi. Mają nadzieję, że dojdzie do jakichś pikantnych scen, które chcą nakręcić ukrytą kamerą. Prymas orientuje się jednak, że uknuto przeciw niemu intrygę.

Gorzka odwilż

W 1963 r. do Czechosłowacji dociera odwilż poststalinowska. Prymas Beran zostaje zwolniony z internowania, ale nie oznacza to zgody władz na powrót do sprawowania urzędu arcybiskupa. Rozpoczyna się gra komunistycznych władz w celu wysłania Josefa Berana do Rzymu. W 1965 r. papież Paweł VI mianuje prymasa Czech kardynałem, a jako siedzibę kardynalską wyznacza mu rzymski kościół Santa Croce. Komuniści sugerują, że zgodzą się na wyjazd do Rzymu w celu odebrania kapelusza kardynalskiego. Beran waha się jednak, obawiając się, że może być to wstęp do pozbycia się go z Czech. I tu zaczyna się najbardziej kontrowersyjny etap całej sprawy.

Do Pragi przybywa dyplomata watykański – prałat Agostino Casaroli. Informuje prymasa, że Ojciec Święty pozostawia decyzję jemu samemu, ale dodaje, że jeśli odjedzie, to być może uda się zastąpić kierującego diecezją praską wikariusza kapituły podporządkowanego komunistom kimś, kto będzie biskupem wiernym Rzymowi.

Poddany presji ze strony czeskich komunistów i Stolicy Apostolskiej Beran postanawia dla dobra diecezji udać się do Rzymu. Angażuje się w prace Soboru Watykańskiego II. 20 września 1961 r. wygłasza przemówienie o wolności sumienia. Jako kapłan, który doświadczył prześladowań nazistów i komunistów, wzywa Sobór do jasnego zadeklarowania zasady wolności religijnej. W ostrożnych słowach, ale bardzo zdecydowanie, apeluje do Soboru, by stanął w obronie prześladowanych chrześcijan. Proponuje uzupełnienie deklaracji „Dignitatis humanae" żądaniem uwolnienia uwięzionych za wiarę kapłanów i świeckich. Dramatyczne wezwanie Berana pozostaje wołaniem na puszczy.

Sobór nie komentuje spraw chrześcijan prześladowanych przez komunistyczne reżimy, a deklaracja „Dignitatis humanae" nie zostaje uzupełniona proponowanym przez Berana sformułowaniem. Beranowi zostaje jedynie założenie czeskiego centrum religijnego Welehrad, które stara się pomagać Kościołowi nad Wełtawą.

Ostatni raz przyciąga uwagę Czechów i Słowaków, gdy w dramatycznym przemówieniu przed mikrofonem rozgłośni Radia Watykańskiego zabiera głos w sprawie samospalenia Jana Palacha. Czeski prymas zaznacza, że nie aprobuje jego czynu, ale szanuje ideały, w imię których zdecydował się na tak dramatyczny krok. 17 maja 1969 r. Beran umiera na raka płuc. Papież Paweł VI, wiedziony być może wyrzutami sumienia za sposób, w który potraktowano męczennika Czechosłowacji, wydaje polecenie, by kardynała pochowano w podziemiach bazyliki św. Piotra. W 2018 r. papież Franciszek zezwala na przeniesienie szczątków kard. Berana do Czech. Złożone zostają w kaplicy św. Agnieszki w katedrze św. Wita na Hradczanach.

Podwójna gorycz

Prymas Beran, obok prymasa Węgier Josefa Mindszentyego i prymasa Stefana Wyszyńskiego, pozostanie znakiem męczeństwa katolickich Kościołów Europy Środkowej w czasach panowania komunizmu. Wszyscy ci mężowie zderzyli się z polityką wschodnią sekretariatu Stolicy Apostolskiej, która uległa przekonaniu, że ugoda z komunistycznymi reżimami daje szansę na przetrwanie tamtejszym Kościołom. Zarówno Beran, jak i Mindszenty ulegli naciskom watykańskich dyplomatów i opuścili swoje kraje. Podobne plany snuto wobec kard. Stefana Wyszyńskiego, zostały jednak udaremnione wskutek siły woli i zdecydowania Prymasa Tysiąclecia. Kardynał Casaroli, który odegrał w sprawie Josefa Berana odpychającą rolę, awansował potem w hierarchii watykańskiej. Dopiero objęcie Stolicy Apostolskiej przez Jana Pawła II powstrzymało trend zginania karku przed żądaniami komunistycznych reżimów. Dziś te niedobre tendencje w polityce watykańskiej wobec wojny na Ukrainie wychodzą niestety znów na jaw. Dla dyplomatów watykańskich relacje z Moskwą stają się ważniejsze niż elementarna refleksja moralna. A papież Franciszek wydaje się bezradny wobec takiego obrotu rzeczy. Pamięć o losie kard. Berana powinna być też przypomnieniem, jak Sobór Watykański II odwrócił się od Kościołów prześladowanych w bloku sowieckim.



Sprowadzenie trumny abp. Josefa Berana z Rzymu do Pragi FOT. CTK/PAP

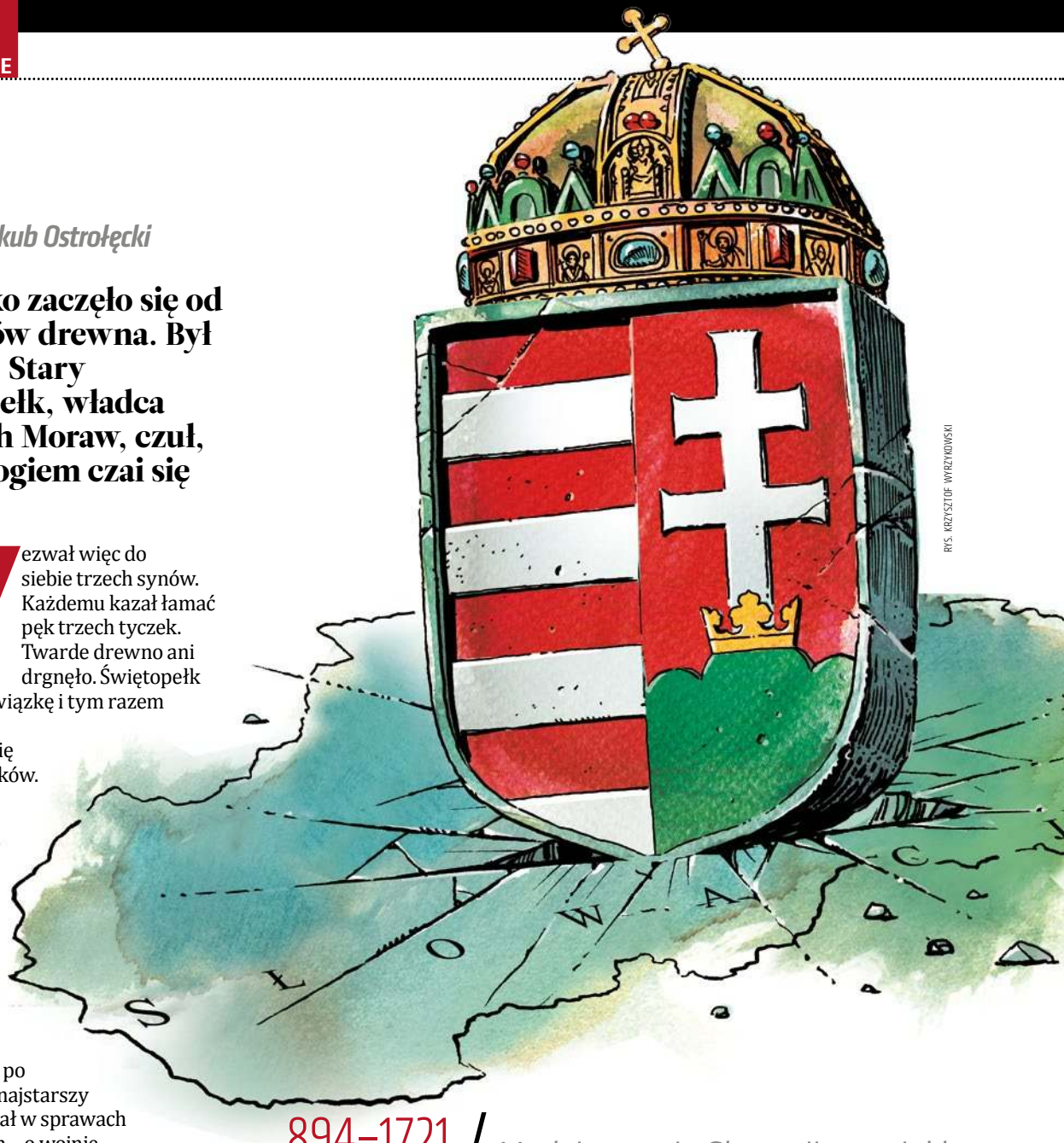
© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c6b514a6e3



Jakub Ostrołęcki

Wszystko zaczęło się od kawałków drewna. Był rok 894. Stary Świętopełk, władca Wielkich Moraw, czuł, że za progiem czai się śmierć



RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

Wezwał więc do siebie trzech synów. Każdemu kazał łamać pęk trzech tyczek. Twarde drewno ani drgnęło. Świętopełk rozdzielił więc wiązkę i tym razem każda z tyczek łatwo poddała się dłoniom młodzików. Była to swoista prezentacja testamentu władcy: każdy z synów otrzyma, co prawda, własną dziedzinę, w której będzie mógł rządzić się po swojemu, ale to najstarszy będzie decydował w sprawach najistotniejszych – o wojnie i układach z sąsiadami. Tylko wtedy przetrwają. Podzieleni sczezną marnie. Mojmir II osiadł zatem na „właściwych" Morawach, a Świętopełk II objął regnum nitrzańskie, czyli teren w południowo-zachodniej części dzisiejszej Słowacji, który nasi południowi sąsiedzi uznają za długo niewykiełkowany zarodek swojego państwa. Co z pozostałymi częściami wielkiego przecież państwa, rozpościerającego się na Równinę Panońską i – jak chce część badaczy – na Małopolskę i Śląsk, nie wiadomo. Nie wiemy też, co dostał Przecław, szybko bowiem znikł z kart kronik.

Mojmir II i Świętopełk II wytrwali w obietnicy danej ojcu całe cztery lata, po czym wzięli się za łby. Rozgorzała bratobójcza wojna, która utopiła we

894–1721 / Madziaryzacja Słowacji na miękko

Upadek Wielkich Moraw

eprasa.pl c6b514a6e3

krwi pogranicze obu państw – czyli tereny wokół Bratysławy, dolinę Wagu i Małych Karpat. Taką sytuację zastali w 896 r. przekraczający Karpaty węgierscy nomadzi, sami zresztą uciekający przed Pieczyngami. Za zgodą któregoś z władców Moraw osiedli na Równinie Panońskiej. Zrazu nie uczestniczyli we wspomnianej wojnie domowej. Wrogiem ich byli bowiem wschodni Frankowie, a konkretnie Bawarowie. W pierwszej połowie X w. gniew i furię konnych łuczników poznały również państwa włoskie, Zachodni Frankowie, a nawet hiszpańscy Maurowie. Zwycięskie wyprawy trwały aż do 955 r., kiedy to Madziarowie zostali doszczętnie rozbici nad rzeką Lech przez Ottona I. W toczonych równolegle wojnach Moraw z Bawarami Węgrzy początkowo stawali po stronie tych pierwszych.



W 901 r. Mojmir II pobił swojego brata, nie zajął jednak jego dziedziny. W Nitrze, a także w położonej na południe Panonii w wyniku bratobójczej wojny nie ostało się wielu zbrojnych, a sam Świętopełk II został wygnany do Bawarii. Tak zaistniałą polityczną pustkę natychmiast wypełnili Węgrzy, przekraczając Dunaj i zajmując południową część nitrzańskiego regnum. Mojmir II uznał zatem, że z sojuszem koniec, i zapragnął poskromić pazernych nomadów. Wygrał do 906 r. kilka starć, ale skrajnie wyczerpany nie zdołał odebrać Węgrom ani Panonii, ani Nitry.

Tymczasem ostateczny los państwa wielkomorawskiego rozstrzygnął się w następnym roku pod Brezelauspurc, co ma być zniekształconą germańską nazwą miasta, które sami Niemcy zwali potem Pressburg, Węgrzy – Pozsony, a Słowianie – Bratysławą. Na Węgrów ruszyli wówczas Bawarowie, roszczący pretensję do schedy po upadającym państwie wielkomorawskim. Przebieg bitwy znamy jedynie z XVI-wiecznej relacji bawarskiego historyka Johanna Turmaira, piszącego pod pseudonimem Aventinus, który miał korzystać ze źródeł z X w., dziś już niedostępnych.

Według renesansowego badacza niemiecka wyprawa marnie rokowała już na starcie. To Węgrzy dzięki wywiadowi i rozpoznaniu znali trasę marszu Niemców i rozmieszczenie ich sił, oni zaś niewiele wiedzieli o przeciwniku. Węgierska lekka jazda pozorowała manewry, szarpała, prowokowała nieustannie napastników, aż doszło do sytuacji, w której dwie kolumny niemieckie znalazły się po dwóch stronach Dunaju, tracąc łączność. Flota dunajska bowiem, która miała teoretycznie ją zapewnić, również została przez Węgrów wyprowadzona na manowce. Węgrzy wybrali zatem pole bitwy na południe od Dunaju. Tu uderzyli w typowy dla ludów stepu sposób, czyli puszczając rój strzał w galopie, pozorując ucieczkę i wciągając pościg w zasadzkę, co skończyło się rzezią Niemców, podobną do tej, którą sprawili nam Mongołowie pod Legnicą. Pierwszego dnia polegli abp Dietmar, dwóch biskupów i trzech opatów. Pamiętajmy, że we wczesnośredniowiecznej Rzeszy hierarchowie nagminne przywdziewali kolczugi i chwytali za miecze, będąc lennikami króla, potem cesarza, który, wybierając ich, kompletnie nie przejmował się poziomem duchowym, ale wiernością i wypełnianiem obowiązków wasala.

Węgrzy, rozgromiwszy tę część armii, przeprawili się przez Dunaj – do czego jazda bawarska obciążona taborami nie była zdolna – i napadli na kompletnie nieświadomych sytuacji śpiących wojów z północnego hufca. Doszło do kolejnej rzezi, w której polegli sam książę Bawarii Luitopld i wielu hrabiów.

Gdzie jednak w tym zamieszaniu zniknęli Morawianie? Przecież bitwa toczyła się niemal w środku ich państwa! Badacze są zgodni. Morawian w tej bitwie nie było, ewentualnie jakiś niewielki kontyngent walczył po stronie Bawarów – ich elity wojskowe były przetrzebione w niedawnej wojnie. O losie ich państwa zadecydowało więc starcie germańskich i węgierskich sąsiadów.

Węgier spotyka Słowianina

Z perspektywy przeciętnego Słowianina węgierscy przybysze byli barbarzyńcami – golili głowy, zostawiając kilka długich warkoczy pospinanych dodatkowo metalowymi płytkami lub pierścieniami, używali szabel zamiast prostych mieczy. Do tego gustowali w koninie, co dla Słowian było obrzydliwe.

Stepowi wojownicy zajęli część dzisiejszej Słowacji na wschód od linii Győr-Pieszczany i na południe od linii Nitra-Koszyce. Zatrzymali się niemal w miejscu, gdzie nizina i łagodne, porośnięte akacją i dębem wzgórza ustępują bardziej stromym, iglastym zboczom Karpat. Początkowo nie zapuszczali się do żyznej doliny Wagu. Węgierska fala zalała jedną siódmą terytorium dzisiejszej Słowacji, ale aż jedną czwartą ziemi nadającej się pod uprawę. Teren ten jest tylko nieco rozleglejszy od terenu zajmowanego dziś przez mniejszość węgierską.

Na tereny władztwa nitrzańskiego przybyła w latach 20. X w. konna węgierska elita, a potem, po 20 latach, pieszy plebs. Nie było jednak wypędzania autochtonów, spalonych wsi, uprowadzonych dziewek, zabitych mężów i terroru znanego z najazdów tatarskich czy wypraw Węgrów na Europę Zachodnią. Jak przekonują nas archeologowie, szybko doszło do zmieszania się Słowian i Węgrów. Nie wiadomo, kiedy dokładnie na terenie tym język węgierski wyparł słowiański, ale po kilkudziesięciu latach obie grupy ludności zaczęły rezygnować z ozdób typowych tylko dla swojego etnosu, tworząc zupełnie nowe, będące mieszanką obu kultur.

Asymilację Słowian ułatwiały dwa czynniki. Nowi węgierscy panowie byli pasterzami, toteż okazali się w miarę znośni dla Słowian, których nikt nie usuwał z ziemi. Wieloetniczna była też węgierska armia. W hordach Arpada moglibyśmy zatem ujrzeć zarówno typy ugrofińskie, jak i tureckie: chazarskie, bułgarskie, pieczyńskie. Nie było powodów, aby nie można było tam znaleźć i Słowian, od których zresztą pod koniec X w. Węgrzy zapożyczyli słownictwo związane z Kościołem. Historyk Paul Lendvai stwierdził nawet, że tę sytuację ułatwiał „liberalny stosunek wczesnego państwa węgierskiego do niewęgierskich grup narodowościowych".

Na północ od wspomnianej wyżej linii przeważał jednak cały czas żywioł słowiański skupiony wokół małych grodów, osierocony przez Wielkie

eprasa.pl c6b514a6e3

Morawy, ale jeszcze niezdolny do utworzenia nowego własnego państwa. W X w. Węgrzy penetrowali podtatrzańskie kotliny jedynie sporadycznie.

„Wierny jak Słowak"

Około 971 r. zmarł Taksony, wnuk słynnego Arpada. Miał dwóch synów – Gejzę i Michała. Władcą Węgier został Gejza, a młodszy Michał otrzymał Nitrę. Przydzielanie tej części państwa młodszym braciom króla czy też księcia zwierzchniego stanie się praktyką na następne 100 lat. W 974 r., po chrzcie Węgier, Michał rozpoczął ekspansję ku dolinie Wagu, w głąb kraju. Nie wiemy dokładnie, jak ona przebiegała, a lokalni władcy czy wojowie, z którymi potykał się Michał, są dla nas w większości anonimowi. Wiadomo jedynie, że część pokonanych uklękła przed Michałem i jego starszym bratem Gejzą i szybko zwrócono im utracone posiadłości.

Poznanowie dalej dzierżyli swoje włości na północ od Nitry i w Kotlinie Turczańskiej, znajdującej się całkiem niedaleko naszej dzisiejszej granicy, a Huntowie na południe od Zwolenia. Rody te nie porzuciły również wiary chrześcijańskiej, o czym świadczą obecność kościołów i kaplic w ich ufortyfikowanych grodach i fundacje dla klasztoru Benedyktynów na górze Zabor obok Nitry. Inne rody, które ukorzyły się przed Arpadami, to Miszkowcy oraz Bogat-Radwanowcy z Zemplina niedaleko Koszyc.

Michał zmarł ok. roku 990. Jego syn Vazul został natomiast oślepiony przez stryja Gejzę, który władzę nad całymi Węgrami chciał w przyszłości przekazać swojemu synowi Vajkowi. Młodzieniec ten przeszedł do historii jako Stefan I Święty, pierwszy król Węgier. Rządzenia, jeszcze jako książę, uczył się oczywiście w Nitrze. Jako samodzielny władca musiał sprawdzić lojalność słowiańskich (bo Słowakami nikt ich wówczas nie określał) Poznanów i Huntów. Na północ od Balatonu podniósł się bowiem bunt niejakiego Koppányego z bocznej linii Arpadów. Poznanowie i Huntowie stanęli wiernie przy Stefanie, zostając nawet jego paladynami. Koppány został pokonany w okolicach Vesprem. Jego ciało poćwiartowano i wysłano w cztery zakątki królestwa, gdzie mieszkali jego krewni, ku przestrodze. Słowiańscy możni ponownie stanęli u boku króla w 1003 r., podczas buntu wuja Gyuli w Transylwanii.

Wymienione rody szybko się madziaryzowały. Młodzi adepci wojowniczego fachu wysyłani byli na królewski dwór, gdzie ćwicząc, ucztując i ucząc się pieśni, przyswajali sobie język i zwyczaje zwierzchników. Gdy Słowacy po wieluset latach budowali swoją narodową tożsamość, okazało się, że są narodem chłopskim. Ich dawne elity uległy bowiem madziaryzacji, choć z poddanymi dalej porozumiewały się w ich słowiańskim języku. Drobni rycerze i posiadacze przechodzili akulturację oczywiście wolniej. Ich siedziby nosiły słowiańskie nazwy do XIV w., kiedy to w dokumentach zaczęto używać nazw węgierskich.

Madziaryzacja dzisiejszej Słowacji została na krótko przerwana, gdy Bolesław Chrobry objął ją w posiadanie na początku XI w., wraz z Morawami i Czechami, wykorzystując pewnie kłopoty Stefana I z krewniakami. Panowanie Chrobrego, sprawowane za pośrednictwem niejakiego Prokuja, miało wówczas sięgać do samego Dunaju, a więc na tereny zamieszkałe przez Węgrów. Polskie rządy nie zmieniły jednak etnicznego obrazu Górnych Węgier, jak wówczas z rzadka zaczęli nazywać ten teren sami Madziarzy. Za panowania Mieszka II Lamberta to my popadliśmy w tarapaty i najpóźniej w latach 30. XI w. Węgrzy odzyskali swoje górskie włości, dzierżąc je aż do roku 1918.

Jak już powiedziano, Nitrę – czyli, jak przyjęło się w terminologii węgierskiej, Tercia Pars Regni (trzecią część królestwa) – otrzymywali młodsi przedstawiciele rodu Arpadów. Nie miejsce wymieniać ich tu wszystkich, ale lokalnej społeczności szczególnie przypadli do gustu Domasław – być może z powodu słowiańskiego imienia – oraz jego kuzyn Bela wraz synem Gejzą. Obaj, jako kolejni królowie, otrzymali przydomek Pierwszy. Bela i Gejza, jak przekonuje nas w historii Słowacji Lech Kościelak, mieli do dyspozycji własne wojsko oraz bili własną monetę, która przez pewien czas miała większą wartość niż denary królewskie. Podczas królewskich rządów Gejzy I Nitrą władał jego brat Władysław. Gdy on sam został królem, stwierdził, że tak hojne nadawanie autonomii strategicznie położonemu księstwu jest niebezpieczne, i ograniczył samodzielność swojego brata Lamberta.

Kres nitrzańskiej złotej ery nadszedł wraz panowaniem Kolomana Uczonego. Jego władającym Nitrą bratem był Almos. Bracia pokłócili się o zakres samodzielności autonomicznego księstwa. Almos trzykrotnie stawał przeciw Kolomanowi, szukając sojuszników u wszystkich możliwych sąsiadów – w Cesarstwie, w Polsce Krzywoustego, w Czechach. Niewiele osiągnął. Ostatecznie Henryk V kazał braciom pogodzić się i ruszył na nieszczęsną wyprawę przeciw Bolesławowi Krzywoustemu. Koloman spostrzegł wówczas, że Almos nie ma już sojuszników, i będąc człowiekiem jednocześnie pamiętliwym, a także zapobiegliwym, kazał oślepić brata i jego kilkuletniego syna. Wskutek owej okrutnej wojny władztwo nitrzańskie zostało podzielone, tak samo jak całe Królestwo Węgier, na komitaty.

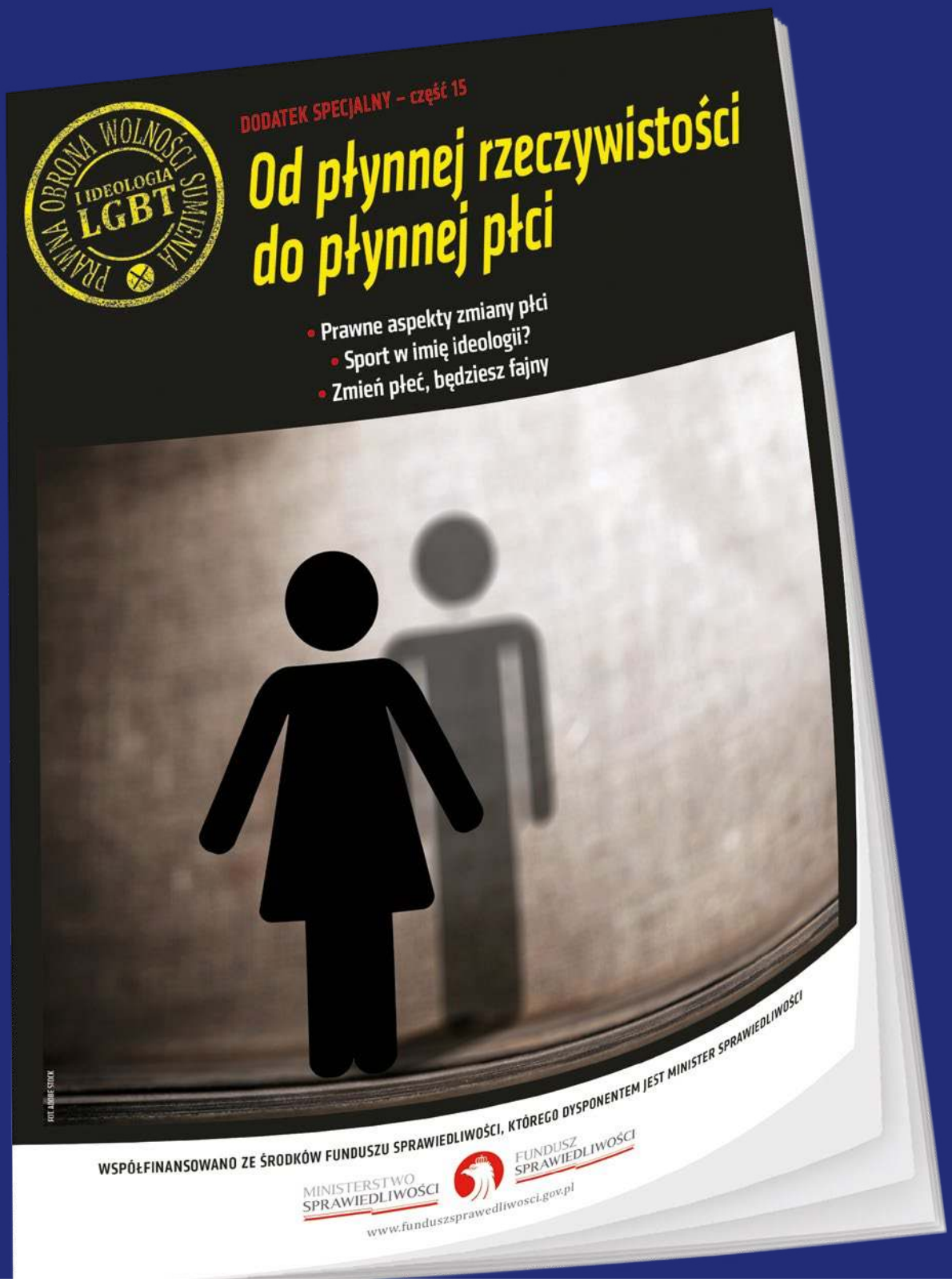
W XIII w. na tereny dzisiejszej Słowacji masowo migrowali Niemcy, którzy zaczęli dominować w miastach. Słowacy nie byli jednak dyskryminowani. Ludwik Wielki, zwany u nas Węgierskim, wydał przywilej gwarantujący Słowakom połowę miejsc w radzie Żyliny. Inwazje Husytów doprowadziły do ucieczki części niemieckich mieszczan, co natychmiast wykorzystali Słowacy i od XV w. ich język w wielu mniejszych miastach był używany na równi z niemieckim. W 1486 r. Maciej Hunyday zagroził śmiercią każdemu, kto w królewskich miastach będzie wzniecał spory na tle etnicznym.

Sygnałem końca owej feudalnej harmonii był rok 1721, kiedy to Michaly Bencsik, poseł do węgierskiego parlamentu, stwierdził, że trenczynianie nie mają prawa głosu, gdyż są naturalnymi niewolnikami sprzedanymi Węgrom przez Świętopełka za białego konia. Sto lat później Koroną Świętego Stefana wstrząsnęły pierwsze parkosyzmy nacjonalizmu.

℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c6b514a6e3

Już 28 listopada w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI — FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

eprasa.pl c6b514a6e3

100 lat temu / Konflikt Naczelnika Państwa z prawicą



Uroczystości zjednoczenia Wileńszczyzny z Polską. Józef Piłsudski i członkowie Tymczasowej Komisji Rządzącej Litwy Środkowej, kwiecień 1920 r. FOT. NAC

Pat w Sejmie II RP



Maciej Rosolak

Pierwszy poważny kryzys rządowy już w 1922 r. zrodził pytanie o trwałość ustroju II RP

Oto Polacy zdobywają długo oczekiwaną wolność. Ogarnia ich entuzjazm tym większy, im większe przeciwieństwa losu udało się im pokonać i im większe nadzieje wiążą z niezawisłym państwem. Oczekują przede wszystkim, że politycy zajmą się tym, czego się podjęli: służbą dla kraju. Że będą dążyć do umocnienia międzynarodowej pozycji Polski, rozwoju gospodarczego i pomnożenia dobrobytu, poprawy doli najciężej pracujących. Że będą współdziałać ze sobą, wspierać się wzajemnie, bo przecież cel jest wspólny i nadrzędny dla wszystkich członków naszej wspólnoty, a już dla jej przedstawicieli najbardziej.

Ludzie oczekują, że ustaną wszelkie pieniactwo, bezrozumne kłótnie, oczernianie się polityków z różnych partii, prywata, marnotrawienie i kradzież publicznego grosza, a w wolnej nareszcie prasie polskiej i w ogóle w życiu publicznym zapanują cywilizowane formy sporów i polemik. I oto wszelkie te jak najbardziej uzasadnione oczekiwania biorą w łeb niemal natychmiast po ziszczeniu się cudu wolności... Polaków ogarnia zniechęcenie, czasem bezsilny gniew, a naturalne różnice politycznych upodobań zamieniają się w zapiekłą nienawiść dzielącą społeczeństwo. W efekcie niepokojąco spada też akceptacja dla państwa w ogóle.

Skąd my to znamy? Oczywiście z własnych przeżyć po 1989 r. Ale w zbliżonej formie to wszystko już było za tzw. pierwszej niepodległości. A w formie groźnego kryzysu rządowego uwidoczniło się dokładnie 100 lat temu.

Sprawa Wilna

Decydujący o ostatecznym ustrojowym okrzepnięciu Rzeczypospolitej miał się okazać rok 1922. Wprawdzie Konstytucję RP Sejm Ustawodawczy uchwalił 17 marca 1921 r., ale do czasu wyboru Sejmu (5 listopada 1922 r.) i Senatu (12 listopada 1922 r.) oraz prezydenta (9 grudnia 1922 r.) równolegle z konstytucją obowiązywała tzw. Mała Konstytucja z lutego 1919 r. i głową państwa pozostawał Naczelnik. Czyli Józef Piłsudski, o znacznie większych uprawnieniach niż przewidywano dla prezydenta.

Dominująca w Sejmie Ustawodawczym narodowa demokracja, która obawiała się, że fotel prezydencki zechce zająć Piłsudski, wprowadziła bowiem parlamentarno-gabinetowy system rządów, pozbawiając prezydenta jakichkolwiek uprawnień ustawodawczych, nie mówiąc już o przysługujących Naczelnikowi dekretach. Podpisane przez prezydenta akty prawne wymagały zatwierdzenia przez rząd.

Brak szczegółowych przepisów, regulujących działanie najwyższych organów władzy państwowej w czasie obowiązywania obydwu konstytucji, dodatkowo zaostrzył spór między Naczelnikiem i Sejmem podczas przesilenia rządowego, związanego z odwoływaniem Antoniego Ponikowskiego ze stanowiska premiera.

Ponikowski (1878–1949) – geodeta, inżynier budowlany i rektor Politechniki

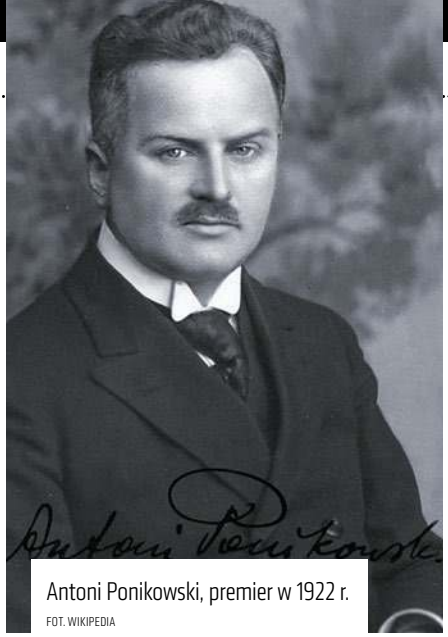
eprasa.pl c6b514a6e3

Warszawskiej, mający doświadczenia ministerialne z okresu Rady Regencyjnej – po raz pierwszy objął stanowisko premiera we wrześniu 1921 r. Stworzył tzw. rząd fachowców, w którym kierował też ministerstwami oświaty oraz – z zamiłowania, jako utalentowany wiolonczelista i baryton – kultury i sztuki. Od lat związany ze stronnictwem narodowym, unikał jednak „partyjniactwa" w służbie publicznej. Z początkiem 1922 r. przyszło mu podjąć trudną decyzję polityczną w kwestii Litwy Środkowej.

Wybory do Sejmu Wileńskiego przeprowadzone 8 stycznia na Litwie Środkowej – zajętej przez gen. Lucjana Żeligowskiego na rozkaz marszałka Józefa Piłsudskiego jesienią 1920 r. – zakończyły się zdecydowanym zwycięstwem ugrupowań polskich, szczególnie narodowych. Frekwencja wyniosła ponad 64 proc. przy bojkocie przedstawicieli mniejszości Litwinów i Żydów oraz części środowisk białoruskich. Już 20 lutego 106-osobowy Sejm Litwy Środkowej uchwalił jej przyłączenie do Polski. W akcie tym zawarto doniosły punkt 4: „Ziemia Wileńska stanowi bez warunków i zastrzeżeń nierozerwalną część Rzeczypospolitej Polskiej". Za owym wnioskiem – oznaczającym całkowitą inkorporację – głosowało 96 posłów, sześciu wstrzymało się od głosu.

Ale 1 marca rząd RP przedłożył Komisji Spraw Zagranicznych Sejmu RP projekt „Aktu złączenia", który miał uzupełnić uchwałę Sejmu Wileńskiego. W projekcie – na skutek obaw o reakcję państw zachodnich, a także wrogiego nastawienia Litwinów i Białorusinów – zapowiadano jednak nadanie ziemi wileńskiej autonomii podobnej do tej, jaką przewidziano dla województwa śląskiego. Dzień później przybyła do Warszawy 20-osobowa delegacja Sejmu Litwy Środkowej, ale brak jej zgody na wprowadzenie zmian do podjętej w Wilnie uchwały doprowadził do kryzysu politycznego, zakończonego zdymisjonowaniem rządu premiera Antoniego Ponikowskiego przez Naczelnika Państwa, który „stracił doń zaufanie". Doprowadziło to do zweryfikowania stanowiska rządu i 10 marca Naczelnik Państwa jeszcze raz powierzył Ponikowskiemu urząd premiera – nadal pozapartyjnego rządu fachowców.

Ostatecznie Sejm Ustawodawczy RP przyjął 6 kwietnia ustawę „O objęciu władzy państwowej nad Ziemią Wileńską"



Antoni Ponikowski, premier w 1922 r. FOT. WIKIPEDIA

w kształcie proponowanym przez Sejm Wileński, bez zmian proponowanych przez rząd RP. Delegatem rządu w Wilnie został (do 1924 r.) Walery Roman – prawnik i polityk związany z obozem Piłsudskiego. 18 kwietnia – zarazem akurat w wigilię trzeciej rocznicy odbicia Wilna z rąk bolszewików w 1919 r. – odbyły się uroczystości mające symbolicznie wprowadzić miasto do Polski. Litwini przenieśli wtedy stolicę do Kowna.

Skutek Rapallo

Od 10 kwietnia 1922 r. w Genui nad Morzem Liguryjskim odbywała się konferencja gospodarcza, na którą zaproszono przedstawicieli Niemiec i Sowietów. Zastanawiano się nad spłatą niemieckich reparacji wojennych – o co chodziło głównie Francji – oraz nad wznowieniem handlu z Rosją, na czym przede wszystkim zależało Wielkiej Brytanii. Z krótkiej przerwy w Niedzielę Wielkanocną 16 kwietnia skorzystali szefowie dyplomacji niemieckiej oraz rosyjskiej i podpisali w pobliskim uzdrowisku Rapallo układ, w którym wyrzekali się obopólnych roszczeń i przywracali stosunki dyplomatyczne między swymi państwami.

Rosja i Niemcy dawały sobie niejako wzajemną przepustkę powrotu na arenę międzynarodową, co wzbudziło u zaskoczonych aliantów spore, a zarazem bezskuteczne oburzenie. Ogromnym polskim obawom dał wyraz na posiedzeniu Rady Gabinetowej na początku czerwca Naczelnik Państwa, marszałek Józef Piłsudski: „Traktat w Rapallo powinien był zerwać resztę łusek z oczu – porozumienie rosyjsko-niemieckie zaszło tak daleko, że jest nie tylko faktem dokonanym, wspartym o doskonałą znajomość interesów stron obu, lecz także faktem nie do odrobienia. Istnieje sprzysiężenie rosyjsko-niemiecko-litewskie, skierowane przeciwko Polsce…".

Dodajmy, wyprzedzając nieco fakty, że w zawartym 11 sierpnia 1922 r. tajnym porozumieniu wojskowym Niemcy zobowiązały się do zaopatrzenia Rosjan w broń i amunicję, rozbudowania sowieckiego przemysłu zbrojeniowego przez specjalistów niemieckich z wykorzystaniem nowoczesnych technologii przemysłowych oraz udzielenia wysokich kredytów na zbrojenia w zamian za udostępnienie Niemcom sowieckich poligonów zlokalizowanych nad Wołgą i Kamą dla ćwiczeń zakazanych traktatem wersalskim rodzajów broni: pancernej, lotniczej i gazowej.

Układ niemiecko-sowiecki w Rapallo, jak również stanowisko Lloyda George'a, proponującego rewizję naszych granic Polski na rzecz Niemiec, przytoczył Piłsudski, dając do zrozumienia, że rząd nie jest dostatecznie silny, by sprostać zadaniom zrodzonym przez groźną dla Polski sytuację międzynarodową. Ponikowski natychmiast złożył rezygnację, którą Naczelnik przyjął. Miał on wciąż prawo powoływać rządy „na podstawie porozumienia z Sejmem", ale spór dotyczył interpretacji tego określenia. Tak rozpoczął się kryzys wokół jego konstytucyjnych uprawnień.

Opozycyjne stronnictwa uważały, że stopień zaufania Naczelnika Państwa



Wojciech Trąmpczyński, marszałek Sejmu (1919–1922), a następnie Senatu (1922–1927) FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl c6b514a6e3

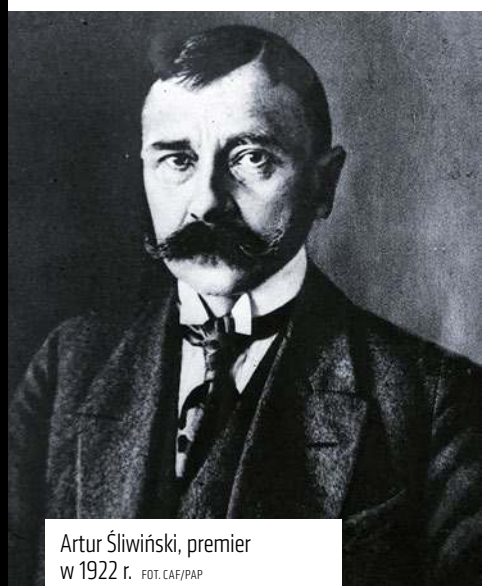


Julian Nowak, premier w 1922 r. FOT. NAC

do rządu nie jest czynnikiem decydującym o jego zmianie, toteż Konwent Seniorów wezwał go do wyjaśnienia przyczyn dymisji rządu. Piłsudski złożył więc 8 czerwca oświadczenie, że kierował się względem na nadchodzące wybory oraz trudną sytuację międzynarodową, której sprostać może rząd posiadający silny autorytet.

Opozycja dowodziła, że rząd Ponikowskiego próbował prowadzić politykę pokojową wbrew wojennym planom Marszałka, i 9 czerwca wysunęła ponownie projekt powierzenia Ponikowskiemu misji utworzenia nowego rządu. Piłsudski kategorycznie odmówił.

12 czerwca Piłsudski udał się do Sejmu na posiedzenie Konwentu Seniorów, gdzie przedstawił wątpliwości co do jego roli i orzeczeń. Pytał, czy postanowienia konwentu, do którego nie wszystkie kluby wysyłają swych przedstawicieli, są wolą Sejmu czy też opinią? Czy Naczelnik Państwa ma czynną rolę i jaką? Co oznacza formuła „na podstawie porozumienia"? Czy porozumienie z Sejmem oznacza układanie się z jego plenum? Nad wątpliwościami Piłsudskiego obradowała Komisja Konstytucyjna Sejmu, po czym Sejm 16 czerwca przyjął rezolucję głoszącą, że inicjatywa w wyznaczeniu premiera należy z reguły do Naczelnika Państwa. Z braku propozycji z jego strony lub zgody Sejmu organ regulaminowo ustanowiony desygnuje premiera większością głosów. Tym organem stała się Komisja Główna, powołana przez Sejm 17 czerwca, złożona z przeszło 80 delegatów klubów.



Artur Śliwiński, premier w 1922 r. FOT. CAF/PAP

17 czerwca ową wykładnię przesłano Piłsudskiemu. Odpowiedział, że zrzeka się inicjatywy, prosząc jednocześnie marszałka Sejmu o wskazanie desygnowanego przez Sejm premiera. Komisja Główna desygnowała na premiera Stefana Przanowskiego, co Naczelnik Państwa przyjął do wiadomości, ale nie polecił kandydatowi utworzenia gabinetu. Wówczas marszałek Trąmpczyński wysłał do Przanowskiego prośbę o przedłożenie Naczelnikowi Państwa listy nowego rządu. Akcja marszałka Sejmu, naruszająca kompetencje Naczelnika, wywołała obawy i niektóre kluby cofnęły swe poparcie dla kandydatury Przanowskiego. W tych warunkach 20 czerwca zrzekł się on misji tworzenia rządu.

Ciąg dalszy siłowania prawicy z Naczelnikiem – na zasadzie kto kogo – trwał. 26 czerwca Piłsudski wysunął kandydaturę Artura Śliwińskiego zamiast własnej, co trzy dni wcześniej proponował mu… Trąmpczyński. Komisja Główna przyjęła kandydaturę Artura Śliwińskiego i 28 czerwca Śliwiński przedstawił skład gabinetu, który Piłsudski zatwierdził. Sprawy zagraniczne powierzono Gabrielowi Narutowiczowi, a wojsko – gen. Sosnkowskiemu. Ale exposé sejmowe Śliwińskiego zostało 5 lipca źle przyjęte przez prawicę i część posłów centrum. Za rządem padło 195 głosów, przeciw 201 i Śliwiński podał się do dymisji, którą Naczelnik przyjął.

Od 7 do 13 lipca trwały bezowocne rozmowy Naczelnika Państwa z marszałkiem Sejmu oraz przedstawicielami największych klubów poselskich i w rezultacie Piłsudski zrzekł się inicjatywy powołania rządu. Ale gdy 14 lipca Komisja Główna na premiera desygnowała posła Wojciecha Korfantego, za którym opowiedziało się 219 posłów przeciw 206, Piłsudski oświadczył, że „będzie zmuszony w najbliższym czasie urząd swój złożyć". Rozmowom sejmowym o ewentualnym składzie nowego rządu towarzyszyły wezwania PPS do strajków i manifestacji przeciw Korfantemu. A gdy do Piłsudskiego zgłosił się sam Korfanty z listą swego gabinetu, Marszałek skierował go do popierających go stronnictw politycznych w Sejmie.

Stronnictwa te, nie mogąc same wybrać swego kandydata, 26 lipca postanowiły usunąć Naczelnika Państwa z urzędu. We wniosku o wotum nieufności czytamy m.in., „że Naczelnik Państwa Józef Piłsudski przez nieposzanowanie praw Sejmu Ustawodawczego, lekceważenie żywotnych interesów państwowych i pogłębianie przeciwieństw i walk partyjnych naraził Państwo na niepowetowane szkody moralne i materialne…". Wniosek został jednak odrzucony stosunkiem głosów 205 do 187, przy czym cztery kartki były puste. Wobec tego Komisja Główna wycofała 29 lipca kandydaturę Korfantego i znów zwróciła się do Naczelnika o podjęcie inicjatywy w sprawie powołania nowego premiera. Piłsudski wysunął kandydaturę prof. Juliana Nowaka, rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kandydatura przeszła w Sejmie i udało mu się pozostać na stanowisku do 14 grudnia 1922 r.

Wielotygodniowy konflikt obnażył niedostatek zapisów konstytucji, co każda ze stron starała się wykorzystać, zwięk-

eprasa.pl c6b514a6e3

szając swe prerogatywy w obsadzaniu stanowiska premiera. Piłsudski chciał, aby Sejm stanowił prawo, ale nie rządził. Sejm natomiast dążył do narzucania głowie państwa osoby premiera, którą ten winien każdorazowo zaaprobować. Autorytet Sejmu ucierpiał, podobnie jak główni aktorzy tego godnego ubolewania sporu. Co gorsza, konflikt między obozami endeckim oraz piłsudczykowskim utrwalił się i zatruwał życie polityczne oraz społeczne aż po kres II RP. Owa atmosfera doraźnie rzutowała na pierwsze wybory do Sejmu i Senatu, przeprowadzone 5 i 12 listopada w oparciu o nową konstytucję i nową ordynację, a po miesiącu na wybór pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, Gabriela Narutowicza. A także – na tragedię jego niemal natychmiastowego zabójstwa.

Wybory, wybory...

Nastroje Polaków polepszył natomiast z początkiem lata powrót części Górnego Śląska do ojczyzny. Przyznane nam uprzemysłowione obszary Wojsko Polskie przejęło 20 czerwca, a 16 lipca odbyła się uroczystość symbolicznego przejęcia ziemi śląskiej przez rząd RP. Oddziały WP witano serdecznie we wszystkich przyznanych Polsce powiatach obszaru plebiscytowego do końca lipca. Wybory do Sejmu Śląskiego I kadencji odbyły się 24 września. Czterdzieści osiem mandatów podzieliły między siebie: endecki Blok Narodowy (18 mandatów), PPS (8), Narodowa Partia Robotnicza (7), PSL „Piast (1), ugrupowania niemieckie łącznie (14). Sejmowi temu podlegały sprawy szkolnictwa, policji, wód, organizacji administracji wojewódzkiej i samorządu, rolnictwa czy wyznań. Polityka zagraniczna i wojsko należały do rządu centralnego w Warszawie. Autonomiczne województwo śląskie z Sejmem Śląskim, ze Śląską Radą Wojewódzką sprawującą władzę wykonawczą i Skarbem Śląskim stanowiło nieodłączną część Rzeczypospolitej Polskiej.

Wybory do Sejmu I kadencji przeprowadzono 5 listopada. W powszechnym, równym, tajnym, bezpośrednim i proporcjonalnym głosowaniu wybierano 444 posłów i 111 senatorów. Czynne prawo wyborcze w wyborach do Sejmu miały osoby, które ukończyły 21 lat (bierne – 25 lat), a w wyborach do Senatu 30 lat (bierne – 40 lat). W wyborach wzięło udział 8,8 mln obywateli, spośród 13 mln uprawnionych do głosowania. Frekwencja wyniosła 67,7 proc. Najwyższa była w Wielkopolsce – ok. 87 proc., najniższa – skutkiem ukraińskiego bojkotu – w województwach stanisławowskim (32 proc.) i tarnopolskim (35 proc.).

Największe poparcie (29,1 proc.) otrzymał chadecko-narodowy Chrześcijański Związek Jedności Narodowej, następnie: ukraińsko-białorusko-niemiecko-żydowsko-rosyjski Blok Mniejszości Narodowych (16 proc.). Dwadzieścia trzy mandaty zdobyli dodatkowo kandydaci mniejszości żydowskiej i ukraińskiej z innych list. I dalej: PSL „Piast" (13,2 proc.) głosów, PSL „Wyzwolenie" (11 proc.), PPS (10,3 proc.), Narodowa Partia Robotnicza (5,4 proc.). Komuniści pod nazwą Związku Proletariatu Miast i Wsi uzyskali 1,5 proc.

12 listopada odbyły się wybory do Senatu. Spośród 9,1 mln uprawnionych głosowało 5,9 mln, czyli 61,5 proc. Wyniki były podobne, z tym że prawica i mniejszości narodowe jeszcze poprawiły swoje wyniki z wyborów sejmowych.



Pierwsze posiedzenie Sejmu I kadencji, listopad 1922 r.
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Na marszałka Sejmu wybrany został Maciej Rataj z PSL „Piast", natomiast marszałkiem Senatu popierany przez prawicę Wojciech Trąmpczyński – marszałek Sejmu Ustawodawczego. Uroczystego otwarcia nowego parlamentu dokonał 28 listopada Naczelnik Państwa Józef Piłsudski, który powiedział: „Szczęśliwy jestem, że mogę otwierać pierwszy Sejm zwyczajny, nie nawołując do obowiązków walki, lecz do obowiązków spokojnej pracy pokojowej".

Analizując wynik wyborów, prof. Wojciech Roszkowski pisał („Najnowsza historia Polski 1914–1945"): „Nowy układ sił w parlamencie polskim sprowadzał się do konieczności tworzenia koalicji rządowych: centroprawicowej lub centrolewicowej. Mniejszości narodowe mogły odegrać pewną rolę w przypadku koalicji z chętną do współpracy lewicą i częścią centrum. Przestały być możliwe koalicyjne rządy centrowe. Wobec małego prawdopodobieństwa sojuszu chadecji z lewicą większe szanse miała koalicja prawicy i centrum; wybory oznaczały więc w istocie pewien sukces prawicy". Potwierdziły to tzw. rządy Chjeno Piasta w 1923 r.

Gabinety rządowe zmieniały się często. Łącznie od listopada 1918 r. (Jędrzej Moraczewski) do września 1939 r. (Felicjan Sławoj Składkowski) mieliśmy w kraju rządy 30 premierów, przy czym jeden z nich (Kazimierz Bartel) był powoływany aż pięciokrotnie, dwaj (Walery Sławek i Wincenty Witos) trzykrotnie, a trzej (Władysław Grabski, Józef Piłsudski i Antoni Ponikowski) dwukrotnie.

Można zauważyć, że od 1923 do 1926 r. zmiany gabinetów następowały zwykle w wyniku zmian sojuszy w parlamencie. Od przewrotu majowego (1926) do swej śmierci (1935) Marszałek powierzał misję tworzenia rządu tym, którzy jego zdaniem najlepiej wykonają kolejne, coraz to nowe, stawiane przezeń zadania. Natomiast po utrwaleniu podziału władzy między prezydenta Ignacego Mościckiego a głównego inspektora sił zbrojnych Edwarda Rydza Śmigłego jeden premier – Felicjan Sławoj-Składkowski – utrzyma się na stanowisku ponad trzy lata; od 16 maja 1936 r. do 30 września 1939 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c6b514a6e3

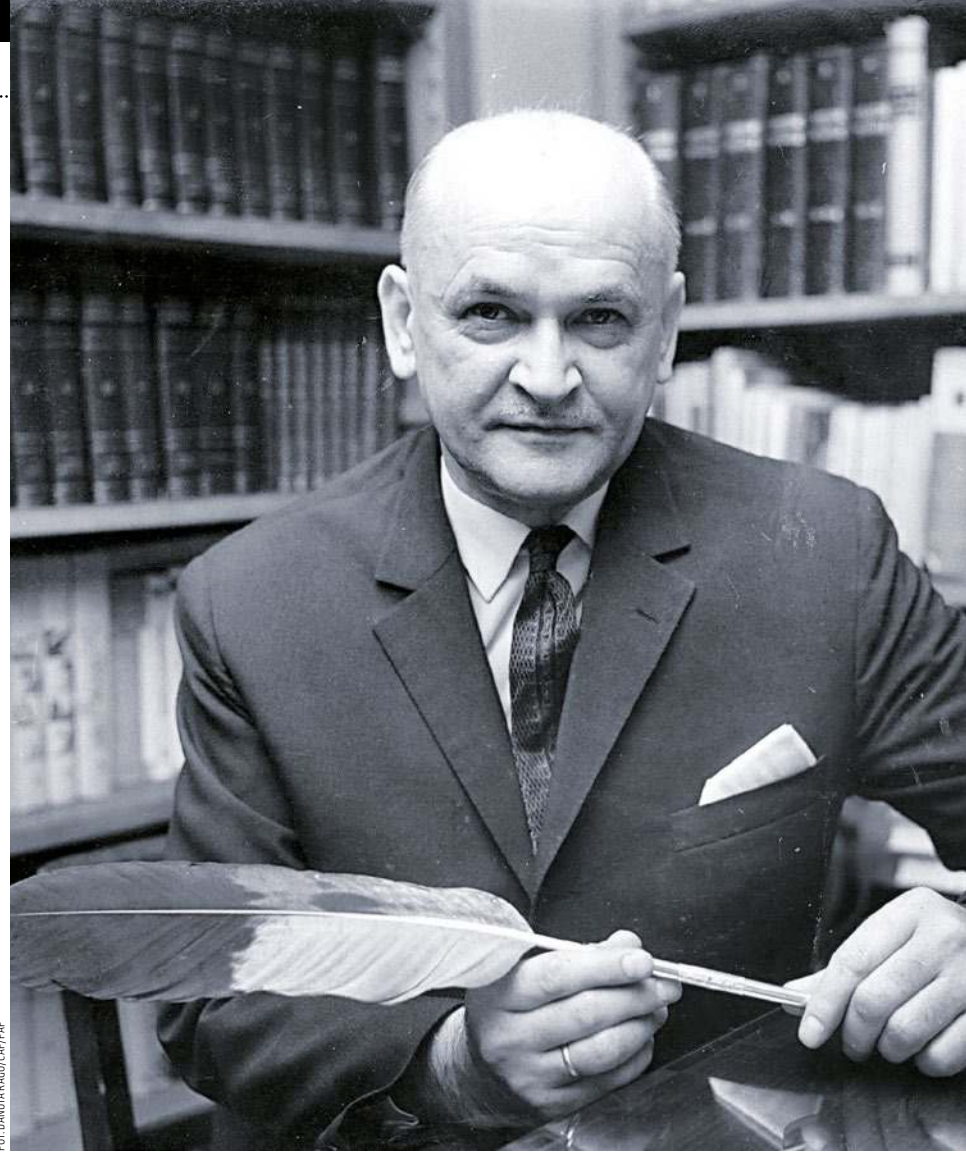


Krzysztof Masłoń

Tak porywających opisów walki ze szkolną rusyfikacją nie mieliśmy wielu w naszej literaturze

Na łamach „Uważam Rze” Maciej Urbanowski pisał (w 2012 r., tuż po setnej rocznicy urodzin autora książek o Tomku Wilmowskim): „Przygody Tomka rozgrywają się przed rokiem 1918, a on sam, jak i jego towarzysze nigdy nie zapominają, że są Polakami, są z tego dumni, raz po raz napotykając na swoim szlaku ślady polskości. Drażniło to zresztą niektórych krytyków. Wanda Żółkiewska, opiniując podanie Szklarskiego o wstąpienie do ZLP z roku 1959, pisała o »bardzo konserwatywnej, wstecznej bazie« jego pisarstwa i zauważała: »Autor na siłę wkomponowuje w książki element polskości, patriotyzmu członków wyprawy. Na siłę – bo nic z tego nie pozostaje, prócz czysto powierzchownych deklaracji, tym przykrzejszych, że chodzi o nie lada rzecz!«. Mnie się ten patriotyzm podobał”.

Mnie również. Zaryzykuję nawet stwierdzenie, że gdyby nie pierwsze powieściowe sceny ze szkoły i, niech będzie, że antycarskie, bo przecież w swojej wymowie antyrosyjskie akcenty rozsiane po innych częściach cyklu, książki Szklarskiego pozostałyby dla mnie tylko jednymi z wielu, ot, nieróżniące się zbytnio od pozycji wydawanych w PRL w popularnym cyklu wydawniczym „Klubie Siedmiu Przygód”. Nie przeceniałbym też zbytnio krajoznawczych walorów powieści o z tomu na tom starszym Tomku i jego wypróbowanych przyjaciołach z bosmanem Nowickim na czele. W końcu wiedzę o geografii świata można było poznawać i z innych źródeł. Ale tak porywających opisów walki ze szkolną rusyfikacją, choćby i na bardzo dziecięcym poziomie, nasuwających skojarzenia z recytowaniem „Reduty Ordona” przez Zygiera w „Syzyfowych pracach” Stefana Żeromskiego, w ogóle nie mieliśmy wielu



FOT. DANUTA RAGO/CAF/PAP

1912–1992 / Alfred Szklarski, autor „Przygód Tomka...”

Indiana Jones po polsku

eprasa.pl c6b514a6e3

w naszej literaturze, a już w Polsce Ludowej były one ściśle limitowane.

Przede wszystkim jednak ta młodzieżowa literatura przynosiła powiew swobody! Maciej Urbanowski przyznawał, że w młodości był fanem książek Szklarskiego. Kto nim nie był?! W wydanej właśnie pierwszej biografii Alfreda Szklarskiego zatytułowanej „Alfred Szklarski – sprzedawca marzeń" Jarosław Molenda powiada, że „Tomek Wilmowski był uosobieniem tysięcy młodych chłopaków z siermiężnej rzeczywistości Polski Ludowej, którzy w ten sposób spełniali swoje marzenia o wolności i otwarciu na świat. To był taki nasz swojski Indiana Jones…".

Sam pisarz w 1987 r. wspominał: „Będąc chłopcem, rozczytywałem się w książkach Karola Maya. Były one fascynujące ze względu na mnogość rozlicznych przygód, które przeżywali ich bohaterowie. Miałem jednak pretensje do Karola Maya. Drażniło mnie w jego pisarstwie to, że wszystkimi pozytywnymi cechami obdarzył bohaterów pochodzenia niemieckiego. Odczuwałem więc pewien niedosyt. Sądziłem bowiem, że gdyby któraś z pozytywnych postaci była Polakiem, to książki te byłyby mi bliższe i znacznie bardziej frapujące".



Biurko Alfreda Szklarskiego
FOT. ANDRZEJ GRYGIEL/PAP

Do Chicago i z powrotem

Nie można jednak wykluczyć, że gdyby koleje życia Alfreda Szklarskiego (1912–1992) potoczyły się inaczej, jego Tomek byłby pełną gębą Amerykaninem. Przyszły pisarz nie miał bowiem roku, gdy wraz z rodzicami – Andrzejem i Marią z domu Karkosik – oraz starszą o sześć lat siostrą Klarą przypłynął do Ameryki z Bremy na niemieckim parowcu „Frankfurt", który zasilił owego dnia Nowy Świat 2 tys. imigrantów. Ojciec zostawiał za sobą Włocławek i uciążliwy policyjny nadzór, któremu podlegał od 1905 r., gdy podczas rewolucji został aresztowany i osadzony w Cytadeli Warszawskiej, skąd ponoć go wykupiono. Dane i relacje są tu jednak sprzeczne i choć Jarosław Molenda przeprowadził wnikliwą kwerendę, to nie jest nawet pewne to, czy przyszły autor „Tomka na wojennej ścieżce" przyszedł na świat we Włocławku czy może jednak już w Chicago. W każdym w razie w mieście Ala Capone przyszło mu spędzić dzieciństwo. Tam też zaprzyjaźnił się ze swoim rówieśnikiem Tomkiem Brandysem, któremu jego sławny bohater zawdzięczać będzie imię, a może i coś jeszcze.

Matka Fredzia nie zaaklimatyzowała się za wielką wodą. Chłopiec miał 10 lat, gdy wrócił z nią do Polski, gdzie bardzo mu się nie spodobało. Tęsknił za Ameryką i ojcem. Niebawem zresztą udali się w rejs powrotny, żyło im się bowiem we Włocławku marnie. Ale rodzina się rozpadała i po trzech latach, w 1926 r., Alfred Szklarski z matką i siostrą, która w Chicago zdała maturę, kolejny raz popłynął do kraju przodków. W Stanach został ojciec, który założył tam drugą rodzinę, ale z synem zachował więź i wielokrotnie go odwiedzał.

Chłopak tymczasem uczył się Polski, nabawiając się przy okazji, niestety na stałe, choroby płuc. Korzystać będzie z pomocy ojca, tym bardziej potrzebnej, że już w 1932 r. umarła jego matka. Alfred ukończył we Włocławku Gimnazjum im. Jana Długosza, po drodze powtarzając jedną klasę. Oceny miał nie najlepsze, ale wymarzył sobie, że zostanie polskim dyplomatą. Znał angielski, był oczytany, wstąpił do Akademickiego Związku Pracy dla Państwa i na przełomie lat 1930 i 1931 rozpoczął kurs przygotowawczy w Akademii Nauk Politycznych, w której po roku podjął studia na wydziale konsularno-dyplomatycznym. Żeby się utrzymać, podejmował różne prace, udzielał korepetycji, zaczął tez zarabiać piórem, a że miał wyjątkową łatwość pisania, „produkował teksty – używając określenia jego biografa – dosłownie na metry". W Akademii poznał też Krystynę Murawską, z którą wziął ślub w 1939 r., w dniu wkroczenia Niemców do Warszawy, w zakrystii kościoła pw. św. Jakuba na Ochocie. „Kościół był pusty, ludzie w szoku – pisze Jarosław Molenda. – Zakochani spieszyli się w obawie, że wojna ich rozdzieli. Nie zrobili zdjęcia, panna młoda nie miała białej sukni, ale ten gorączkowy ślub przyniósł im szczęście. Przeżyli razem ponad pół wieku. Doczekali się córki i syna. Ta pierwsza po latach powtarza: »Mama była dla taty najważniejszą osobą na świecie«".

Długie dni grozy

I teraz zaczynają się prawdziwe schody. Już w grudniu 1939 r. Szklarski podjął, trwającą aż do końca 1944 r., współpracę z wydawaną przez Niemców prasą polskojęzyczną. Zadebiutował opowiadaniem „Wróżba" wydrukowanym w „Nowym Kurierze Warszawskim", popularnym „kurwarze". To, że pracował tam, a potem w tygodniku „7 Dni" jako

eprasa.pl c6b514a6e3



Alfred Szklarski podpisuje swoje książki

FOT. DANUTA B. ŁOMACZEWSKA/EAST NEWS

korektor, było w istocie bez znaczenia, ważne natomiast, że zaistniał tam jako autor nowelek, humoresek, felietonów, prawda, że w zasadzie apolitycznych i niewysławiających okupanta, a jednak budzących niesmak choćby przez fakt, że sąsiadowały na łamach z brutalną hitlerowską propagandą. I nic dziwnego, że już w 1942 r. Szklarski napiętnowany został przez władze Polski Podziemnej karą infamii, o czym powiadomił czytelników „Biuletyn Informacyjny".

Pisywał jednak dalej, także w „Fali", w „Co miesiąc powieść", „Gońcu Krakowskim" i „Ilustrowanym Kurierze Polskim". Zarabiał tak na chleb – romansami, kryminałami, literaturą rozrywkową, z pewnością nie najwyższych lotów. „Wystarczy zresztą przywołać tytuły: »Żelazny pazur«, »Krwawe diamenty«, »Tajemnica grobowca«, »Miłość pani Toli«… Są tu historie z Dzikiego Zachodu, jak chociażby w »Ostatniej walce Kendala«. Nawet jeśli, jak to czynili niektórzy badacze, szukać w tych utworach jakiejś ideologii, np. rasistowskiej, to jest ona na bardzo dalekim planie, i jest to realizm w tonacji bardzo łagodnej, typowy dla całej literatury XIX i XX wieku, np. tej spod znaku Karola Maya. Ciekawe, że także w przypadku cyklu o Tomku niektórzy krytycy wytykali autorowi Kiplingowską apoteozę »białego sahiba«".

Po wojnie, na ławie sądowej, będzie Szklarski utrzymywał, że z prasą gadzinową współpracował, mając na to zgodę podziemia. Nie znaleziono na to przekonujących dowodów; owszem, zdarzały mu się pojedyncze wypadki przekazania jakichś materiałów redakcyjnych osobie związanej z konspiracją, ale o tym, że zlecano mu przeprowadzenie działań wywiadowczych, nie było mowy. Na domiar złego pracę pisarza dla podziemia potwierdził przed sądem jedynie człowiek sam będący współpracownikiem tychże gadzinowych pism. Proces, który odbył się w styczniu 1949 r., toczył się w atmosferze wybitnie niesprzyjającej oskarżonym i zeznania świadków obrony na nic się zdały. Uznano, że publikacje Szklarskiego były „działaniem na rękę państwa niemieckiego ze szkodą dla interesów Narodu i Państwa Polskiego". Skazany został na osiem lat więzienia.

To, że walczył w powstaniu, do walki zgłaszając się jako ochotnik do Batalionu AK „Piorun", nie było dla stalinowskiego sądu okolicznością łagodzącą, wręcz przeciwnie. A swoją drogą jest zdumiewające, że po walce, którą – jako szeregowiec „Szklarz" – odbył, broniąc barykady przy ul. Wspólnej, po krótkim pobycie w obozie w Pruszkowie i odnalezieniu rodziny w Krakowie, w grudniu 1944 r. opublikował swoje powstańcze reminiscencje (pod tytułem „Dni grozy. Konająca stolica") nie gdzie indziej, a znów w „Nowym Kurierze Warszawskim". Paradoksalnie cykl ten pod względem literackim zdecydowanie przewyższa wszystko, co wcześniej wyszło spod jego pióra. Powiedziałbym, że gdyby „Dni grozy" wydrukowane zostały w jakimś piśmie podziemnym, z czasem trafiłyby do każdej antologii poświęconej postaniu warszawskiemu. Stało się inaczej…

Tomek w tarapatach

Od razu po wojnie Szklarscy wyjechali do Katowic. „Tu była szansa – wspominała żona pisarza – na pracę i mieszkanie". Ze Śląskiem związali się wtedy już na zawsze. W latach 1945–1949 Alfred Szklarski pracował m.in. w Centralnym Zarządzie Przemysłu Węglowego, redagował pisma branżowe, równocześnie pisząc i wydając pod pseudonimami kolejne powieści, już nie tylko sensacyjne, lecz także np. z życia górników. Nie odniosły sukcesu. Nawiasem mówiąc, „Tomkowego" powodzenia nie zdobył również wykorzystujący topografię Katowic, iście Lemowski „Sobowtór profesora Rawy" z 1963 r., kiedy to Szklarski miał już „nazwisko". Widać czytelnicy oczekiwali od niego innych książek, co zresztą potwierdziło się w latach 70., gdy wraz z żoną wydał dobrze przyjętą trylogię indiańską „Złoto Gór Czarnych".

„Znamienne, że w pierwszych powojennych książkach – czytamy w biografii »Alfred Szklarski – sprzedawca marzeń« – jest albo mowa o Podziemiu, albo o Armii Krajowej, są tu oficerowie z Londynu, wspominane są zwycięstwa pod Monte Cassino i ofensywa generała Maczka. Nie ma za to w ogóle komunistów. Szklarski nie był członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, choć po wojnie wstąpił do Polskiej Partii Robotniczej, która zjednoczyła się potem z Polską Partią Socjalistyczną, tworząc PZPR". No, tego rodzaju wyjaśnienie nadaje się nie wiem dla kogo. Zjednoczeniowy zjazd PZPR odbył się w grudniu 1948 r.; Szklarski już od lipca siedział w areszcie w Warszawie. A po wyjściu z więzienia ani on się nie kwapił ze wstąpieniem do partii, ani w partii nie oczekiwano kogoś takiego jak on, z takim życiorysem.

Od polityki, niejako z konieczności, trzymać się będzie później z daleka, zachowując się jak lojalny, ba – wręcz przykładny obywatel socjalistycznego państwa. I tak w 1985 r., gdy Wojciech Jaruzelski, omijając bojkot, z którym po wprowadzeniu stanu wojennego spotykał się niemal w całym świecie, pojawił się na sesji ONZ w Nowym Jorku, Szklarskiemu przypadła wątpliwa przyjemność wyrażenia radości z tego wydarzenia. „Trybuna Robotnicza" wydrukowała taką jego refleksję: „Uderza godność w przemówieniu generała. Wojciech Jaruzelski mówił o problemach świata, naszego narodu i państwa z realizmem, a jednocześnie z najgłębszą troską o zachowanie pokoju, o szacunek dla człowieka pod

eprasa.pl c6b514a6e3

każdą szerokością geograficzną. W słowach premiera nie było cienia prośby do kogokolwiek, o cokolwiek. Były rzetelne fakty, konstruktywne i logiczne propozycje oraz gotowość do partnerskiej współpracy".

Cofnijmy się znów jednak do końca lat 40. zeszłego wieku. W tym samym, fatalnym dla pisarza roku 1948 ukazała się niewielka, jak można było przeczytać w podtytule, „powieść podróżnicza dla młodzieży", czyli „Tomek w tarapatach", niejako forpoczta cyklu zapoczątkowanego „Tomkiem w krainie kangurów" w 1957 r.

„Choć w porównaniu z »Tomkiem w tarapatach« koncepcja głównego bohatera uległa później znacznym zmianom, niepozbawionym elementów dydaktyzmu, już w pierwszej powieści, w której pojawia się bohater o imieniu Tomek, dostrzec można zarys metody, którą Szklarski będzie się później bardzo chętnie posługiwać, polegającej na łączeniu wspominanych obietnic kolejnych egzotycznych przygód z nieustannym odwoływaniem się do polskości i powrotami do niej".

Na przemyślenie ostatecznej koncepcji swoich „Tomków" pisarz miał aż za wiele czasu w więzieniu, w którym ostatecznie przesiedział do 1953 r., po odrzuceniu kilku próśb o wcześniejsze zwolnienie motywowanych złym stanem zdrowia skazanego i trudną sytuacją materialną rodziny. Karę odbywał w zakładach karnych w Warszawie i Strzelcach Opolskich, choć i to do końca nie jest pewne. W każdym razie po zwolnieniu powrócił do Katowic, które wtedy akurat nazywały się Stalinogrodem, gdzie do 1977 r. pracował jako sekretarz Wydawnictwa Górniczo-Hutniczego przekształconego w roku 1957 w Wydawnictwo Śląsk. Pracował na etacie w tej oficynie, jednocześnie niejako utrzymując ją jako jej najbardziej wzięty autor.

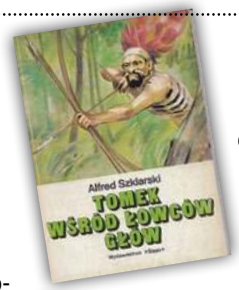
Czytanie z lupą

Łączny nakład jego książek przekroczył 10 mln egzemplarzy, przetłumaczono też „Tomki" – świetnie zilustrowane przez Józefa Marka – na kilkanaście języków. W sumie napisał osiem tomów o przygodach Wilmowskiego, dziewiąty – „Tomek w grobowcach faraonów" – dokończył już po śmierci autora zaprzyjaźniony z nim ks. Adam Zelga. Po Śląsku wydawała je od lat 90. Muza, a zadbał o to nie kto inny, jak ówczesny szef tego wydawnictwa Włodzimierz Czarzasty.

Czytelnikowi „Tomków" mogło się wydawać, że autor – wzorem przywoływanego już tutaj Karola Maya – wiele w swych powieściach fantazjował. Otóż niekoniecznie. Przemysław Fabiański, dyrektor chorzowskiego Liceum im. Juliusza Słowackiego – cytuję za Jarosławem Molendą – wspominał: „Tak mnie korciło, że w końcu sam postanowiłem sprawdzić, czy szczegółowe opisy Szklarskiego – przepiękną, bogatą sienkiewiczowską polszczyzną – zgadzają się z rzeczywistością. Śladem »Tomka na tropach Yeti« stanąłem w połowie lat 90. przed tybetańskim klasztorem w Ladakhu i po prostu wbiło mnie w śnieg. Nawet niski dźwięk mantry mnichów był jak żywcem wyjęty z kart powieści, którą niosłem w plecaku! To niesamowite, skąd ten człowiek czerpał tak detaliczną wiedzę w środku PRL-u, w epoce bez telewizji, z cenzurą listów z Zachodu, gdy w jedynej katowickiej księgarni z wydawnictwami z zagranicy 99,9 proc. stanowiła na półkach radziecka propaganda".

Ma Szklarski swoich wiernych, choć – nie da się ukryć – często zaawansowanych już wiekiem czytelników, ale zaczynają się nad jego twórczością gromadzić inne już teraz, niemniej jednak groźne chmury. Już Anna Nasiłowska zauważyła w 2007 r., że „dziś czytam te powieści ze znacznie większą dozą podejrzliwości, wychwytuję pewne wątpliwe momenty. Na przykład uratowany z rąk oprawcy Murzynek przemawia w sposób, który zdaje się świadczyć, że Czarni są infantylni […]".

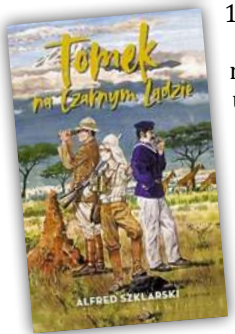
„Są też opisy dość podejrzane z punktu widzenia dzisiejszej wrażliwości na etnocentryczne przekonanie. Oto kobiety Masajów, zresztą »na ogół brzydkie«: »wydały się Tomkowi chodzącymi składami drutu i żelastwa, większość z nich bowiem miała łydki zakute w metalowe rury; również i ręce od ramienia do dłoni, z przerwą na łokieć, schowane były w bransolety lub rury zrobione z miedzianej bądź żelaznej blachy«. Co prawda trzeba przyznać, że nie ma w powieści śladu Sienkiewiczowskiej »moralności Kalego«" – przyznaje autorka wspaniałomyślnie.

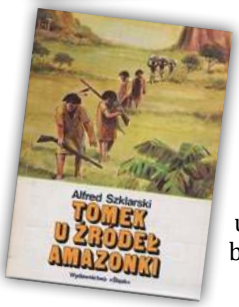












Dopóki poprawnościowi szaleńcy nie wyrzucą „Tomków" na śmietnik historii, dopóty zachęcajmy nasze dzieci czy wnuki do przeżycia wielkiej przygody z powieściami Alfreda Szklarskiego o Tomku Wilmowskim i jego ojcu, o panu Smudzie i bosmanie Nowickim, o Sally i psie Dingo. Zwracając uwagę już na sam początek tej długiej obfitującej w całą masę perypetii historii; na to, co się działo na lekcjach historii i geografii w czwartej klasie warszawskiego gimnazjum, którego nowy dyrektor, „Rosjanin Mielnikow z niesłychaną surowością wymagał od swoich wychowanków ślepego posłuszeństwa i przywiązania do carskiej Rosji". Mamy rok 1902…

PS Jeszcze na koniec zacytujmy Alfreda Szklarskiego, który u schyłku życia w wywiadzie udzielonym jesienią 1991 r. Krzysztofowi Zajączkowskiemu z „Głosu Porannego" opowiadał: „Kiedyś jeden pan z wydawnictwa »Śląsk« podszedł do mnie i mówi: – Panie Szklarski, może by pan opisał, jak Tomek uwalnia w Rosji Dzierżyńskiego? Zaniemówiłem. – To jest temat! – szczerze mnie zachęcał. Wreszcie wpadła mi do głowy odpowiedź, która wybawiła mnie z opresji.

– Jak taki mały Tomek ma uwolnić takiego wielkiego bohatera? – mówię. Ustąpił".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c6b514a6e3



Izraelskie żołnierki FOT. IDF

Książka miesiąca / Tajna broń Mosadu

Zabójczo piękne

Na widok samotnego mężczyzny stojącego w nocy na rogu ulicy budzą się podejrzenia. Kiedy widzisz samotną kobietę, chcesz jej pomóc – usłyszeli autorzy książki od jednej z funkcjonariuszek Mosadu. Izraelski wywiad szybko odkrył, jak zabójczo skuteczne potrafią być kobiety.

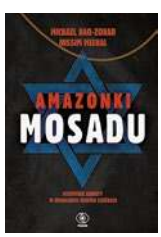
Gdy w 1954 r. funkcjonariusze Mosadu ścigali Aleksandra Iwora, oficera izraelskiej armii, który zdradził i sprzedawał w Europie Egipcjanom sekrety swojej ojczyzny, postanowili skorzystać z uroku swojej koleżanki z „firmy". Piękna kusicielka usiadła obok Iwora w samolocie lecącym z Wiednia do Paryża. W czasie podróży okręciła go sobie wokół palca i nieświadomy niczego zdrajca ochoczo skorzystał z oferty podwiezienia z lotniska do centrum. „Przyjaciele" pięknej współpasażerki szybko obezwładnili w aucie Iwora i zapakowali go od razu do innego samolotu – tym razem lecącego do Izraela. Ta część operacji, za którą odpowiadała kobieta, została zrealizowana perfekcyjnie. Gdy jednak pałeczkę przejęli panowie z Mosadu, cały misterny plan legł w gruzach. Iwor dostał zbyt dużą dawkę środka nasennego i umarł. Do dziś kontrowersje w Mosadzie budzi decyzja ówczesnego szefa Mosadu Isera Harela, który kazał wyrzucić jego ciało do morza…

To tylko jedna z dziesiątek akcji funkcjonariuszek izraelskiego wywiadu, które opisuje w swojej książce duet Michael Bar-Zohar i Nissim Mishal. Ten pierwszy jest wykładowcą, byłym deputowanym Knesetu, który doskonale poznał kulisy działalności Mosadu. Drugi to znany izraelski dziennikarz, który również zjadł zęby na tym temacie. Wcześniej opisali m.in. historię Mosadu, a także przybliżyli najbardziej spektakularne operacje izraelskich wojsk specjalnych (obie książki ukazały się w Polsce).

– Nieraz wykorzystywałam to, że jestem kobietą – powiedziała podczas wywiadu z autorami książki funkcjonariuszka ukrywająca się pod imieniem Jael. – Ale nigdy nie używałam swojego ciała, aby zyskać akceptację lub zaufanie w krajach wroga. Czułam, że przestrzeganie granic jest właśnie zaletą kobiecości. I taką wiadomość otrzymałam od przełożonych. Nigdy nie liczyli na to, że wykonując zadanie, pójdę z kimś do łóżka. Przeciwnie. Takie zasady panowały zawsze.

Autorzy niemało wysiłku włożyli w przekonywanie czytelników, że – wbrew temu, co zachodnie media pisały o metodach „kusicielek" z Mosadu – funkcjonariuszki izraelskiego wywiadu nigdy nie dostawały niestosownych rozkazów od swoich szefów. Wszystko ma bowiem zależeć od wolnej decyzji kobiety. Czy rzeczywiście jest to żelazna zasada, której ani razu w historii Mosadu żaden dowódca nie złamał? Nawet w ostateczności, wiedząc, jak skuteczne może być zaciągnięcie „celu" do łóżka? Akurat co do tego można mieć jednak pewne wątpliwości.

Kobiety z Mosadu miały ogromny udział w powstrzymywaniu programu atomowego Iranu, polują na terrorystów i ścigają zdrajców swojej ojczyzny. Chociaż tuż po powstaniu Izraela kierownictwo tamtejszego wywiadu widziało kobiety głównie w charakterze sekretarek wspierających zza biurek „prawdziwych" funkcjonariuszy, to szybko okazało się, że takie podejście to ogromny błąd. W 2019 r. panie stanowiły już 47 proc. nowych rekrutów Mosadu. ©℗ ***Piotr Włoczyk***



MICHAEL BAR-ZOHAR, NISSIM MISHAL
„AMAZONKI MOSADU"
REBIS

eprasa.pl c6b514a6e3

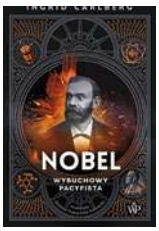
Biografia wielkiego Alfreda

Właśnie ukazało się polskie wydanie wspaniałej biografii Alfreda Nobla pióra szwedzkiej dziennikarki i pisarki. Po napisaniu serii książek dla dzieci dała się poznać (2012) jako autorka książki o Raoulu Wallenbergu – bohaterze szwedzkiej pomocy Żydom w zajętym przez Niemców Budapeszcie, prawdopodobnie zamordowanym następnie przez Sowietów. Przygotowanie biografii Nobla zajęło jej kilka lat.

Spenetrowanie wielu archiwów, zbiorów muzealnych i bibliotek – nie tylko w Szwecji i Norwegii, lecz także we Francji i Włoszech, w USA czy w Rosji – a nawet odkrycie przez nią samą nieznanych zapisków i prób literackich wielkiego wynalazcy, chemika i przemysłowca zostało wzbogacone 20-letnią pracą dziennikarską Ingrid Carlberg w „Dagens Nyheter". Dlatego jej dzieło czyta się wspaniale, krocząc śladami Alfreda od wczesnej młodości i nauki w Rosji u boku ojca, producenta materiałów wybuchowych i broni, aż do śmierci w wieku 63 lat we włoskim San Remo, gdzie również (obok m.in. Sztokholmu i Paryża) miał siedzibę oraz laboratorium.

Zgromadził wielki majątek dzięki 355 patentom na materiały wybuchowe – nitroglicerynę, dynamit, żelatynę wybuchową czy proch bezdymny balistyt – oraz z zakładanych w różnych krajach fabryk dynamitu. Pracował także nad bateriami, żarówkami, telefonem, fonografem, tworzywami sztucznymi, farbami i lakierami oraz kamieniami syntetycznymi. Interesowało go nawet ogumienie kół rowerów i powozów. Sam żył dość powściągliwie. Nie żałował natomiast pieniędzy – uzyskanych głównie ze sprzedaży środków wybuchowych i fabryki broni Bofors – na wspieranie działań na rzecz pokoju (szczególnie Berthy von Suttner w Wiedniu).

W 1895 r. zmienił spisany dwa lata wcześniej testament, ograniczając drastycznie środki dla krewnych i przyjaciół z jednej piątej majątku do 3 proc. (półtora miliona koron). Pozostałe akcje i nieruchomości miano sprzedać, a pieniądze ulokować w „bezpiecznych papierach wartościowych". Procenty miały rokrocznie stanowić nagrody dla tych, którzy „uczynili najwięcej dla dobra ludzkości" – w dziedzinie chemii, fizyki, medycyny, literatury i utrwalania pokoju. Umarł 10 grudnia 1896 r. na udar mózgu. Autorka pisze: „[...] zakończył swoje życie, tak samo jak żył. Samotnie... stanął twarzą w twarz ze śmiercią otoczony jedynie przez ludzi, którym zapłacił za poświęcenie". ©℗ ***Maciej Rosalak***



INGRID CARLBERG
„NOBEL. WYBUCHOWY PACYFISTA"
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Polska Niobe

Jędrzej Moraczewski był pierwszym premierem II Rzeczypospolitej. Zofia Moraczewska nie była jedynie żoną swojego męża. Moraczewska to jedna z najwybitniejszych działaczek socjalistycznych i kobiecych. Była posłanką z ramienia PPS. Walczyła o pełne prawa dla kobiet, dążyła do stworzenia kobiecych elit politycznych.

Kamila Cybulska ocenia, że Zofia Moraczewska miała niezwykłe zdolności przywódcze i charyzmę. Nazwano ją „Polską Nobe". Jej pierwszy syn Kazimierz zginął podczas wojny w 1920 r., drugi syn i córka – konspiratorzy – w niemieckim obozie Auschwitz. ©℗ ***(t.s.)***



KAMILA CYBULSKA
„O NIEPODLEGŁOŚĆ I PRAWA KOBIET. ZOFIA MORACZEWSKA 1873–1958. ŻYCIE I DZIAŁALNOŚĆ"
IPN



JOHN LEWIS GADDIS
„GENIUSZE STRATEGII"
WYDAWNICTWO RM

WIELKA STRATEGIA

Wytrawny amerykański historyk zabiera czytelników w podróż przez dzieje widziane z perspektywy strategicznych decyzji podejmowanych przez wielkie postacie historyczne. Od Kserksesa przez Elżbietę I aż do Roosevelta. Ta książka wyjaśnia, jak jedna pozornie nieistotna decyzja potrafiła obrócić w ruinę całe imperia. ©℗ ***(p.w.)***



JAN WERNIK
„SYK WĘŻA"
VON BOROWIECKY

SYK ZDRADY

Powieściowe ujęcie zdrady i prowokacji, związanych z czasami bezpośrednio po powstaniu styczniowym. W książce występują rzeczywiste postacie. Jan Kubary to jeden z naszych najbardziej znanych podróżników. A także agent rosyjskiej ochrany. Namówił do zdrady Aleksandra Zwierzchowskiego, który swoją działalnością doprowadził do aresztowania wielu ludzi. ©℗ ***(t.s.)***



SZULIM KESELMAN
„WSPOMNIENIA OCALONEGO. WOŁYŃ 1941–1944"
IPN

ŻYD NA WOŁYNIU

Na Wołyniu rozegrał się najbardziej dramatyczny rozdział konfliktu polsko-ukraińskiego. Warto jednak pamiętać, że na Wołyniu mieszkali również Żydzi. Szulim Keselman był jednym z nielicznych wołyńskich Żydów, którzy przetrwali Holokaust. Przeżył dzięki pomocy Polaków i Ukraińców. Bardzo ciekawe wspomnienia! ©℗ ***(p.z.)***

eprasa.pl c6b514a6e3



Ciemne strony wojny 1920 r.

Żołnierze armii Hallera w drodze do Polski FOT. NAC

Książka „Bez sławy i chwały" Remigiusza Kasprzyckiego przedstawia dezercje, przestępstwa i patologie w Wojsku Polskim podczas wojny z bolszewicką Rosją. Czy armia składa się z samych aniołów? To pytanie retoryczne. A oczywistą sprawą jest, że wojna prowadzi do demoralizacji. Nie można, rzecz jasna, patrzeć na Wojsko Polskie walczące z rosyjskim imperializmem, który wówczas przybrał barwę czerwoną, przez ciemny pryzmat patologii. Stanowiły one jedynie margines, owszem, może zatrważający, zachowań żołnierzy. I nie taki był cel autora.

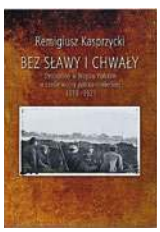
Pobór do wojska zaczął się na początku 1919 r., uchylało się od niego wielu wezwanych, głównie dotyczyło to wsi i mniejszości narodowych, a szczególnie Żydów. Byli oni niechętni do służby w wojsku, a jeśli do niego trafili, to w powszechnej opinii starali się znaleźć służbę bezpieczną, na tyłach. Również w powszechnej opinii oficerów byli żołnierzami niepewnymi, na których nie można było liczyć. Autor uważa, że decyzja o niepowoływaniu ich do wojska podczas poboru na wiosnę 1920 r. była słuszna, bo i tak nie chcieli walczyć.

Z wojska dezerterowano także z powodu fatalnych warunków bytowych, brakowało żywności, ale był to problem całego społeczeństwa Rzeczypospolitej. Polscy komuniści wychodzili ze skóry, by – licząc na masowe dezercje – rozbić swoją agitacją Wojsko Polskie. Bez skutku. Ogromnym problemem było to, że dezerterzy, często łącząc się z cywilami, tworzyli bandy rabunkowe, terroryzujące wsie i miasteczka.

Dezerterowali nie tylko żołnierze, lecz także – nieliczni – oficerowie. Większość z nich przed ucieczką z wojska popełniała przestępstwa kryminalne, byli defraudantami mienia wojskowego, łapownikami, rabusiami, a nawet mordercami. Znalazły się w Wojsku Polskim takie oddziały, które przeradzały się w „żołdackie watahy" rabunkowe. Nie miała dla nich znaczenia narodowość ofiar. Bywały przypadki rekwizycji bez pokwitowań. Żołnierze 41. Pułku Piechoty mieli opinię rabusiów, m.in. ograbili Sejny.

Remigiusz Kasprzycki w obiektywny sposób pisze o ekscesach, których dopuszczali się żołnierze Wojska Polskiego wobec ludności żydowskiej, podaje ich tło. Ekscesy te, jak można wywnioskować z tego, co autor pisze, nie wynikały głównie z komunistycznych postaw Żydów, te były jednak marginesem. Ważniejsze było niechętne, wrogie nawet nastawienie Żydów do Wojska Polskiego.

Opisując pogrom lwowski w listopadzie 1918 roku, autor cytuje – ale między innymi – opinię Grzegorza Gaudena, autora skrajnie tendencyjnej książki o tym tragicznym wydarzeniu. ©℗ ***Tomasz Stańczyk***



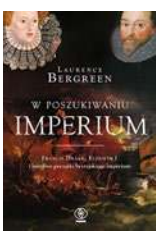
REMIGIUSZ KASPRZYCKI
„BEZ SŁAWY I CHWAŁY. DYSCYPLINA W WOJSKU POLSKIM W CZASIE WOJNY POLSKO-BOLSZEWICKIEJ 1919–1921"
WYDAWNICTWO NAUKOWE UNIWERSYTETU PEDAGOGICZNEGO W KRAKOWIE

W poszukiwaniu krańca świata

W całej długiej erze elżbietańskiej nie mógł się z nim równać żaden inny angielski żeglarz. Sir Francis Drake zasłynął jako pierwszy Anglik, który opłynął świat (w latach 1577–1580). Wielokrotnie stawał wówczas oko w oko ze śmiercią, a jego relacje z krańców świata fascynowały nie tylko Anglików. Już sama ta wyprawa stanowiłaby wystarczający materiał na fascynującą książkę. A tymczasem życie Drake'a było przecież dużo bogatsze! Żeglarz ten był zajadłym wrogiem Hiszpanów, których zwalczał, gdzie tylko mógł. Zresztą królowa Elżbieta dała mu carte blanche na rabowanie ich statków i przeszkadzanie im w każdy możliwy sposób.

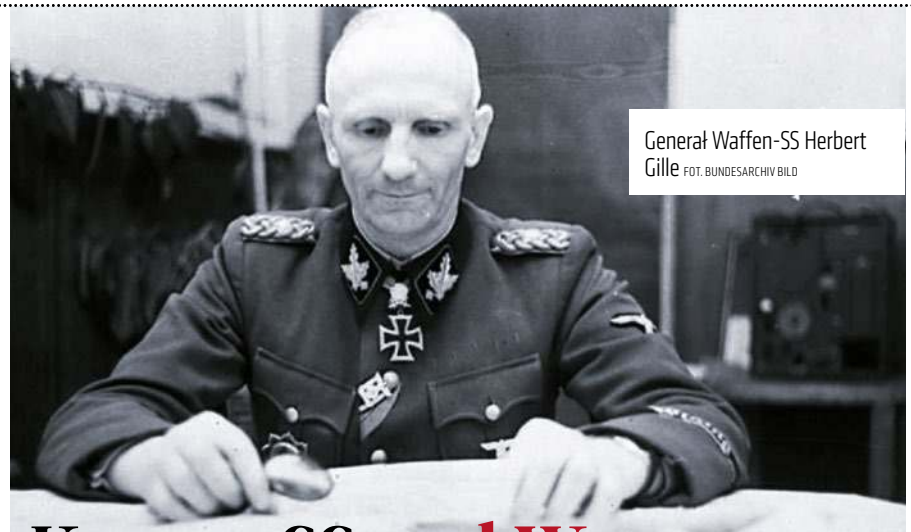
Laurence Bergreen po napisaniu biografii Marca Polo, Krzysztofa Kolumba i Ferdynanda Magellana wziął wreszcie na warsztat sir Francisa Drake'a. Postać ta jest tym ciekawsza, że przecież słynny korsarz był w bliskich stosunkach z królową Elżbietą I. Monarchini, budując potęgę Anglii, dostrzegła niezwykły potencjał tego awanturnika. Drake wyszukiwał dla swojej ojczyzny najbardziej obiecujące miejsca do ekspansji. Można wręcz powiedzieć, że zakreślał kilwaterami swoich okrętów przyszłe granice imperium ze stolicą w Londynie. A gdy przyszła chwila próby, nie wahał się stanąć przeciw Wielkiej Armadzie.

Najciekawsza w tej książce jest jednak relacja Drake'a i Elżbiety I, bez której nie da się zrozumieć przyczyn przyszłej światowej dominacji Wielkiej Brytanii. ©℗ ***Piotr Włoczyk***



LAURENCE BERGREEN
„W POSZUKIWANIU IMPERIUM"
REBIS

eprasa.pl c6b514a6e3



Generał Waffen-SS Herbert Gille FOT. BUNDESARCHIV BILD

Korpus SS pod Warszawą

Historia IV Korpusu Pancernego SS nie jest znana szerokiemu gronu czytelników. Stan ten postanowiło zmienić wydawnictwo Napoleon, wydając książkę Douglasa Nasha seniora. Pozycja prezentuje związek taktyczny, który uczestniczył w krwawych zmaganiach na przedpolach Warszawy w końcu lipca i początkach sierpnia 1944 r. Dowódcą korpusu był SS-Gruppenführer Herbert Gille, dowódca 5. Dywizji Pancernej SS „Wiking", która w składzie korpusu się znalazła.

Opisywany okres działalności korpusu wiąże się z zaciętymi walkami pod Warszawą, gdzie korpus SS odpierał szturmy trzech sowieckich korpusów pancernych z 2. Armii Pancernej gen. Aleksieja Radzijewskiego. Sowieci zamierzali doprowadzić do całkowitej katastrofy Grupy Armii „Środek", poprzez zajęcie mostów na Wiśle i Narwi i zdobycie kluczowych miast – Serocka, Modlina, Zegrza. W efekcie poniesiona klęska Wehrmachtu odpowiadałaby skalą tej poniesionej w czasie operacji „Bagration" na Białorusi.

Gdy wydawało się, że katastrofa zbliża się wielkimi krokami, dowódca Grupy Armii „Mitte" feldmarszałek Walter Model dostrzegł szansę na zadanie Sowietom poważnego ciosu poprzez okrążenie i zniszczenie III Korpusu Pancernego. Siłą uderzeniową, która miała to wykonać, były jednostki XXXIX Korpusu Pancernego gen. Dietricha von Sauckena. Zamknęły one w kotle pod Okuniewem wspomniany sowiecki korpus, choć części jego żołnierzy udało się wyrwać z pułapki. Dywizja „Wiking" domykała zamknięty kocioł, natomiast żołnierze dywizji „Totenkopf" trwali na swych pozycjach, powstrzymując ataki czerwonoarmistów, próbujących przyjść z odsieczą okrążonym towarzyszom broni. Pomiędzy 29 lipca a 3 sierpnia 1944 r. „wikingowie" ponieśli straty 299 zabitych i rannych, a dywizja „Totenkopf" 573 zabitych i rannych.

Z walkami pod Okuniewem, Wołominem czy Radzyminem określanymi jako bitwa pancerna na przedpolach Warszawy wiąże się poniekąd wątek dotyczący wybuchu powstania warszawskiego. To właśnie informacja o sowieckich czołgach rzekomo wjeżdżających do prawobrzeżnej części stolicy Polski 31 lipca 1944 r. być może miała wpływ na decyzję o wywołaniu powstania. Rzeczywiście czołgi z czerwonymi gwiazdami zbliżyły się na odległość 30 km od miasta, jednak ich marsz został zatrzymany przez niemieckie dywizje pancerne, a nie na skutek politycznych decyzji Stalina. Cała 2. Armia Pancerna padła ofiarą poważnego pogromu. Z ok. 810 czołgów, z którymi rozpoczynała ona działania bojowe, 8 sierpnia 1944 r. pozostało 347. IV Korpus Pancerny SS był jednym z tych związków taktycznych mających swój znaczący udział w tym zwycięstwie. ©℗

Arkadiusz Karbowiak



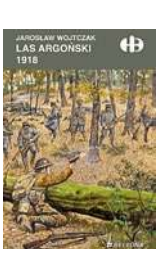
DOUGLAS E. NASH SENIOR
„Z KRAINY GASNĄCEGO SŁOŃCA. IV KORPUS PANCERNY SS W WALKACH O WARSZAWĘ LIPIEC–LISTOPAD 1944"
WYDAWNICTWO NAPOLEON

HISTORYCZNE BITWY

Argonny

Argonny stanowią pasmo lesistych, pooranych wąwozami i wykrotami wzgórz, ciągnących się 100 km z południa na północ między Aisne a Mozą w górnym biegu tych rzek. Abraham Krotoshinsky z 307. Pułku Piechoty US Army, wcześniej żydowski fryzjer w Płocku, wspominał, że była to „regularna dżungla, pełna bagien, splątanych gałęzi i krzaczorów". Po fiasku prób odwrócenia losów pierwszej wojny światowej w 1918 r. przez Niemców okopali się tu oni, aby nie wpuścić aliantów w granice II Rzeszy. Po raz pierwszy w tej wojnie do boju weszła cała 1. Armia USA w sile 22 dywizji, którym towarzyszyło sześć dywizji francuskich. W trzech fazach od 26 września do 11 listopada pół miliona ich żołnierzy atakowało w mgle, deszczu i błocie niewiele mniej licznych Niemców, z doskonale rozmieszczonymi gniazdami karabinów maszynowych i pozycjami artylerii. Brak doświadczenia, a i niedostateczne – mimo starań amerykańskiego wodza gen. Johna Pershinga – wyszkolenie oficerowie i poborowi nadrabiali entuzjazmem i typową, amerykańską zaradnością. Nagradzano ich Medalami Honoru Kongresu. Oto wiejski chłopak z Tennessee kpr. Alvin York, który podczas samotnego ataku zniszczył pięć wrogich gniazd ckm, zabił kilkudziesięciu wrogów, a ponad 130 wziął do niewoli. A „Galopujący Charlie" Whittlesey – wzięty w Nowym Jorku adwokat prawa bankowego po Harvardzie – dowodził legendarnym „zaginionym batalionem", który kilka dni skutecznie bronił swej wysuniętej pozycji, co zadecydowało o sukcesie operacyjnym w pierwszej fazie bitwy. Świetnie się to czyta. ©℗

M. Rosalak



JAROSŁAW WOJTCZAK
„LAS ARGOŃSKI 1918"
BELLONA

eprasa.pl c6b514a6e3

/ Felieton

Wynegocjowana historia



Rafał A. Ziemkiewicz

Marek Pasturczak napisał kolejną książkę. O poprzedniej, „Krojanty 1939", napisanej wspólnie z Jerzym Lelwicem, informowałem tutaj, zachwalając państwu niezwykle drobiazgową i przenikliwą analizę świadectw, zachowanych śladów oraz okoliczności historycznych, w których tworzone były kolejne wersje mitu sławnej szarży 18. Pułku Ułanów. Przede wszystkim zaś autorską analizę tego mitu, zwłaszcza przyczyn i sposobu jego budowania. Nie ukrywam, że stałem się zagorzałym fanem tego autora i jego pisarskiej metody, w której, nie będąc zawodowym historykiem, wykorzystał on unikalny atut: dzieciństwo spędzone, za sprawą ojca, kombatanta wspomnianego pułku, w środowiskach weteranów, dogłębną znajomość ich sporów, towarzyskich układów i powiązań oraz ustaleń, do których na swych zjazdach dochodzili.

„Sieroty w łapach niedźwiedzia" (podtytuł: „Bitwa pod Bukowcem 3 września 1939") opowiada losy niedobitków spod Krojant, przeformowanych w zbiorczy szwadron, a także wielkopolskich ułanów 16. pułku i kilku pododdziałów piechoty z 27. DP w krytycznym momencie przełamywania przez Niemców „korytarza pomorskiego". O ile mi wiadomo, o bitwie pod Bukowcem nie przeczytają państwo nigdzie indziej. Przede wszystkim dlatego, że – Bogiem a prawdą – nie była to właściwie bitwa, a wiele chaotycznych bojów spotkaniowych, rozrzuconych po okolicach wspomnianej miejscowości. Kłopotem było nawet samo ustalenie miejsc, w których dochodziło do konkretnych starć – trudno tu nie podziwiać mrówczej pracy autora, konfrontującego dane ze źródeł pisanych z relacjami żyjących jeszcze, pamiętających wojnę mieszkańców okolicy, zapisami ksiąg cmentarnych, dotyczących pochówków polskich i niemieckich żołnierzy, fotografiami, lokalizacjami, gdzie zbieracze odnajdywali części rozbitych pojazdów i elementy uzbrojenia… Ale nagrodą za to jest chyba maksymalne zbliżenie się do realiów opisywanego czasu.

> / Nie ukrywam, że **stałem się zagorzałym fanem tego autora** i jego pisarskiej metody

Właśnie dlatego tak wysoko oceniam książki Pasturczaka. Od zawodowych historyków dowiaduję się o układzie kresek na sztabowych mapach, pozwalającym łatwo ogarnąć ogólną sytuację. Od zapaleńca, dla którego historia pierwszych dni Września jest też na swój sposób historią rodzinną, dowiaduję się, jak wyglądała wojna widziana oczami podoficerów i oficerów liniowych. Chaos sprzecznych bądź niedochodzących rozkazów, pomyłki, zaskoczenia, piach i pył, brak wody, momenty paniki i porywy heroizmu…

Abodaj jeszcze lepiej opisuje Pasturczak to, co działo się potem, kiedy już kurz opadł, i ci, którzy przeżyli, musieli złożyć noszone przez każdego kawałki potłuczonego lustra w jakąś całość. Nie taką, która najlepiej odda to, co się w lustrze naprawdę odbijało, ale taką, która wyjaśni wzajemne pretensje, jednych obciąży, drugich usprawiedliwi – kto zawiódł, kto nie dotarł tam, gdzie miał być, albo był tam, gdzie nie powinien być, dlaczego… Ta praca odbywała się latami w oflagach, często kończyła się zaprzysiężeniem wynegocjowanej wersji pod słowem oficerskim wszystkich uczestników. Rzutowała na nią większa i mniejsza polityka – czy to rozliczenia obozu Sikorskiego z sanacyjnymi „legunami", czy potrzeby tych, którzy mimo wszystko chcieli wrócić po wojnie do „ludowego", ale jedynego istniejącego polskiego wojska. I ten proces również opisuje Pasturczak, zarówno w „Krojantach", jak i w „Sierotach", bardzo przekonująco. Choćby dlatego warto go czytać, by rozumieć, jak się zwykle miała rzeczywistość do jej znanego nam, budowanego ex post obrazu. ©℗

eprasa.pl c6b514a6e3



/ Felieton

W tęczy

Franków rozgrabieni

Piotr Semka

Jedną z najbardziej znanych portugalskich sag rodzinnych jest „Dwór w Romarigães" – powieść pióra Aquilino Ribeiro. Autor opisał dzieje ośmiu pokoleń portugalskich właścicieli ziemskich, którzy gospodarowali wielkim szlacheckim majątkiem na północy Portugalii. Z przyjemnością przeczytałem polskie tłumaczenie tej powieści i stało się to okazją do zadumy nad różnicą spojrzenia na okres wojen napoleońskich w kraju naszych południowo-zachodnich przyjaciół i u nas.

Aquilino Ribeiro opisuje, jak w 1807 r. kraj został wydany na pastwę oddziałów cesarza, a portugalska rodzina królewska uciekła do Brazylii. „Nadleciała przerażająca wiadomość: Francuzi od strony Armeidy [miasto na wschodniej granicy Portugalii – przyp. red.] najechali kraj i forsownym marszem zdążali ku Lizbonie. Tam, którędy przeszli, nie zostawili nawet okruszyny".

Bohater książki Luis de Azevedo doszedł w tej sytuacji do wniosku, że najeźdźca „wszystko do czysta splądruje, a tam, gdzie stopę postawi, źdźbła słomy nie uświadczysz". Bohater książki, gdy tylko dotarł do majątku po kryjomu, zaczął wyzbywać się wszystkiego, co zgłodniały najeźdźca mógłby zagrabić albo z wściekłości zniszczyć. Najpierw pozbywa się wierzchowców, choć po cenie obniżonej, bo handlarze końmi już wyczuli załamanie się interesów. Potem na sprzedaż idą bydło, tuczniki, po nich kukurydza i zboże na pniu.

Stracił, ale mógł jeszcze mówić o szczęściu. Aquilino Ribeiro pisze: „Po dokonaniu tego wszystkiego przeraził się stanem ogołocenia majątku, bo wiedział, że kiedy Francuzi zastają zupełną pustkę, uważają to za szczególną złośliwość i wtedy mszczą się na majątkach całej gminy. Tam, gdzie nie mogli nic zagrabić, pustoszyli, burzyli i puszczali z dymem. Życie ludzkie też znaczyło dla nich mniej niż woda do wypłukania gardła, której nabierali do manierek ze źródeł rzecznych. Wskazane było uciekać, ale dokąd, święty Boże. Najpierw myślał schronić się do Cabracão, by zaszyć się w jakimś zakątku gór Arga. Jedynie dymek z ogniska świadczył, że żyją tam ludzie, pospołu z wilkami. Ale czy to było bezpieczne? W Bravães jeszcze mniej. Ta francuska zaraza, przyparta do muru gerylasów (partyzantów) albo rozprzestrzeniając się niczym epidemia, gotowa była dotrzeć aż na szczyty".

Luis de Azevedo, roztrząsając różne możliwości schronienia się, nie znalazł nic lepszego od Bragi, stolicy arcybiskupiej. Jak mówił sobie: „Jeśli Francuzi będą chcieli rozlewu krwi, tyle tam ludzi, że chyba ktoś ocaleje. Sami najeźdźcy mogą się już zmęczyć; w mrowiu ludzkim najlepsza ochrona, w różnorodności najlepsza zapora. W razie podobnych znaków niebezpieczeństw lepiej jest w ciżbie niż w leśnym ostępie".

Bardzo szybko okazało się, że wszelkie wyobrażenie o okropnościach francuskiej okupacji było igraszką w stosunku do tego, co realnie zaczęło się dziać. Znów zacytujmy Aquilino Ribeiro: „Francuzi gdziekolwiek przeszli, zostawiali za sobą ziemię spaloną, zbrukaną krwią i śliną dzikiego zwierza [...]. Francuski dowódco Loison jawnie łupił kanoników Bragi i ich gospodynie, świętoszki i przekupki na rynku, kupców kolonialnych i robotników, nakładając wojenne kontrybucje i biorąc zakładników. W sanktuarium Bom Jesus najmniejszą szkodą, jaką wyrządziło żołdactwo, było obtłukiwanie nosów świętym figurom stacji krzyżowych albo zabawianie się ich głowami jak piłką.

Francuzi myszkowali po okazałych domach w mieście i okolicy, po splądrowaniu komnat i piwnic puszczali wszystko z dymem. Zrównane demokratycznie jednym losem drżały razem pałace i lepianki".

Aquilino Ribeiro pisał swoją powieść w połowie lat 50. XX w. Emocjonalne opisy francuskiego barbarzyństwa pozwalają zrozumieć, jak żywe były wspomnienia o zachowaniu się żołnierzy cesarza. Rewolucyjna antyreligijność łączyła się tu z imperialną pogardą dla podbitych narodów. Ale skutki francuskiego najazdu miały znacznie dłuższe konsekwencje. Uraz konserwatystów wobec wolnomyślicieli i masonów, którzy zaprosili Francuzów do interwencji w Portugalii, zaowocował wojną domową, która pustoszyła Portugalię w latach 1828–1834. Ten wyniszczający konflikt porównywalny z niszczącym Polskę sporem między stronnictwem Augusta II Sasa i Stanisława Leszczyńskiego wyniszczył Portugalię i pchnął ją w zastój, który trwał aż do drugiej połowy XIX w.

Być może dlatego Polska jest jedynym chyba krajem, gdzie w centrum Warszawy na dawnym placu Napoleona stoi popiersie cesarza. W takich krajach jak Portugalia o armii cesarskiej myśli się tak, jak dzisiaj Ukraińcy postrzegają armię rosyjską na okupowanych terenach Donbasu i Charkowszczyzny. Bezsensowne mordy, grabieże i palenie tego, czego już nie można okraść. Zbyt często zapominamy, że wysłanie Napoleona do miejsca odosobnienia na Wyspie św. Heleny wywołało w pierwszej połowie XIX w. głęboki oddech ulgi bardzo wielu narodów. ©℗

eprasa.pl c6b514a6e3

Wrzesień 1914–czerwiec 1915 r. / Generał-gubernator Gieorgij Bobrinski i wiceprezydent Tadeusz Rutowski



Żołnierze rosyjscy w centrum Lwowa. W tle pomnik Adama Mickiewicza, 1914–1915 FOT. NAC

Rosyjskie rządy we Lwowie



Tomasz Stańczyk

Okupacyjne władze i ukraińscy moskalofile deklarowali zjednoczenie „po wieczne czasy" Galicji Wschodniej z Rosją

W pierwszym miesiącu wielkiej wojny Rosja doznała upokarzającej porażki w bitwie w Prusach Wschodnich. Dwie armie rosyjskie zostały rozbite. Inaczej było w Galicji Wschodniej: tu rosyjska ofensywa rozwijała się pomyślnie. 27 sierpnia 1914 r. Lwów opanowała panika na wieść o zbliżaniu się oddziałów rosyjskich. Zaczęła się masowa ucieczka, opuściło go ok. 40 tys. mieszkańców (spośród 200 tys.). Ze Lwowa wyjechały władze krajowe oraz prezydent miasta – Józef Neumann i połowa radnych.

Jednym z pierwszych zarządzeń magistratu pod przewodnictwem wiceprezydenta Tadeusza Rutowskiego było powołanie Miejskiej Straży Obywatelskiej. Usiłowała ona ograniczyć masowe rabunki magazynów wojskowych i kolejowych oraz sklepów, które rozpoczęły się po wyjściu z miasta wojsk austro-węgierskich. „Gromady rzezimieszków i apaszów wzmocniły się wydatnie zastępami »porządnej« pozornie ludności z szeregów robotników, stróżów, dozorców, sutenerów, wierć i półinteligentnych amatorów łatwej zdobyczy". Nie był wyjątkowy widok ludzi – jak pisał lwowianin Bohdan Janusz, polski i ukraiński historyk oraz archeolog – dźwigających pianina, fortepiany, kredensy, biurka, stoły, szafy, kasy żelazne, maszyny do pisania i szycia.

2 września magistrat Lwowa wydał oświadczenie: „Obywatele! Wojska Monarchii odniosły ciężkie porażki i cofnęły się na zachód. Za chwilę wkroczą zwycięskie wojska rosyjskie do Lwowa. W takiej chwili wzywamy całą ludność miasta, by przez Boga! zachowała godność, spokój, wystrzegała się popłochu i wybryków nierozważnych czy złych żywiołów, wszelakiej prowokacji. Miasto otwarte, więc nie może grozić mu żadne niebezpieczeństwo. Cała poważna ludność oczekuje na wypadki z całym spokojem".

3 września na ulicach Lwowa pojawiły się pierwsze oddziały rosyjskie. „Ciekawe i jedyne w swoim rodzaju, rozgrywały się tymczasem sceny po kamienicach i mieszkaniach – wspominał lwowianin, pisarz i historyk Józef Białynia-Chołodecki. – Wystraszona ludność, chrześcijańska, a także żydowska, wywieszała w bramach i po oknach obrazy świętych, zwłaszcza św. Mikołaja, jako talizman przeciw napadom i rabunkom żołnierzy rosyjskich, a rodziny legionistów nisz-

eprasa.pl c6b514a6e3



Zakładnicy spośród obywateli Lwowa, wzięci przez Rosjan FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



Generał-gubernator Gieorgij Bobrinski FOT. WIKIPEDIA

czyły wszelkie ślady po nieobecnych już we Lwowie drużyniakach".

Rosyjski komendant miasta płk Sergiusz Szeremietiew zażądał zakładników spośród znaczniejszych obywateli miasta – ulokowano ich pod strażą w hotelu George – zakazał sprzedaży alkoholu i nakazał mieszkańcom oddanie broni. Starał się też ukrócić masowe rabunki, które nadal trwały. Szeremietiew złożył kurtuazyjne wizyty Józefowi Bilczewskiemu, arcybiskupowi rzymskokatolickiemu, i Józefowi Teodorowiczowi, arcybiskupowi obrządku ormiańskiego, pominął natomiast Andrzeja Szeptyckiego, arcybiskupa greckokatolickiego, duchowego przywódcę Ukraińców. Rosjanie nie uznawali bowiem istnienia narodu ukraińskiego. Szeremietiew przyjął wprawdzie ukraińską delegację ze Stefanem Fedakiem na czele, ale na jej prośby o umożliwienie działalności ukraińskich instytucji oświadczył jej, że jest to sprawa nieaktualna. Zakazał też druku ukraińskiej gazety „Diło". Polskie gazety mogły się ukazywać, ale były poddane rosyjskiej cenzurze.

„Na łonie matki Rosji"

Do ukraińskich mieszkańców miasta i całej Galicji Wschodniej, „do narodu ruskiego" skierował swoją odezwę wielki książę Mikołaj, naczelny wódz armii rosyjskiej:

„Bracia! Nadchodzi sąd Boży. Cierpliwie, z chrześcijańską pokorą, przez przeciąg wieków, uginał się naród ruski pod jarzmem cudzoziemskim, ale, ani pochlebstwami, ani prześladowaniem, nie można było złamać w nim oczekiwania wolności. Jak burzliwy potok rwie kamienie, żeby zlał się z morzem, tak nie ma siły, która mogłaby zatrzymać naród ruski w jego porywie ku zjednoczeniu się. Niech nie będzie więcej Rusi ujarzmionej. Dziedzictwo św. Włodzimierza, ziemia Jarosława Ośmiomysła, kniaziów Daniła i Romana, zrzuciwszy jarzmo, niechaj wstąpi na jedyną ścieżkę wielkiej nierozdzielnej Rosji! […] Bracia ruscy, uwolnieni spod jarzma! Dla was wszystkich znajdzie się miejsce na łonie Matki Rosji".

Rosjanie okupujący Galicję Wschodnią mogli liczyć na moskalofilów – Ukraińców uważających, że ich naród jest częścią narodu rosyjskiego, mówiącym dialektem języka rosyjskiego. Przed wybuchem pierwszej wojny światowej stronnictwo moskalofilów było czynnie wspierane i finansowane przez Rosję. W bursach dla młodzieży zakładanych przez moskalofilów królował język rosyjski, a na ścianach wisiał portret cara Mikołaja II.

W połowie września do Lwowa przyjechał generał-gubernator Gieorgij Bobrinski. Objął władzę nad okupowaną Galicją Wschodnią, którą anektowano do Rosji i utworzono gubernie.

Bobrinski przyjął delegację moskalofilów, z Włodzimierzem Dudykiewiczem na czele. Dudykiewicz zwrócił się do rosyjskiego dygnitarza słowami:

„Nieubłagany jest bieg historii. Dokonywa się wielkie dzieło zbierania russkiej ziemi, na które błogosławił Wielkiego Księcia Iwana Kalitę, orędownik ziemi russkiej i wyraziciel bólu Rusi

eprasa.pl c6b514a6e3

Czerwonej św. Piotr, pierwszy metropolita halicki i pierwszy metropolita moskiewski i wszech Rusi. [...] I dopiero dzisiaj panującemu Cesarzowi Mikołajowi Aleksandrowiczowi pozwolił Bóg zakończyć wielkie dzieło jego przodków, święte dzieło zbierania russkiej ziemi, zjednoczyć z Rusią państwową ojcowiznę św. Włodzimierza Wielkiego, Czerwieńskie grody, Ruś Jarosława, Ośmomysła, Romana, Daniła i Lwa".

„Ludność zawsze russka"

Bobrinski przyjął też delegację polskiej społeczności Lwowa. Wiceprezydent Tadeusz Rutowski podkreślił, że miasto jest „słowiańskim i polskim grodem", prosił o umożliwienie działalności zarządu miasta i jego gospodarczych, kulturalnych i humanitarnych zakładów. Prosił też o pomoc materialną dla mieszkańców miasta, zubożonych przez warunki wojenne. Bobrinski wyjawił delegacji cele polityki rosyjskiej na okupowanych terenach:

„Przede wszystkim wschodnia Galicja i Łemkowszczyzna, z dawien dawna stanowimy rdzenną część jedynej wielkiej Rusi. Na tych ziemiach rdzenna ludność była zawsze russką, a zatem układ na tych ziemiach powinien się zasadzać na pierwiastkach russkich".

Generał Bobrinski oświadczył, że będzie wprowadzał „russkie" język i prawo.

„Russki" oznaczało „rosyjski", podczas gdy „ruski" – „ukraiński". Dlatego też pierogi ruskie to pierogi ukraińskie, a nie rosyjskie, jak się niekiedy uważa.

Bobrinski zapowiedział więc rusyfikację podbitego kraju, co oznaczało m.in. eliminację szkolnictwa ukraińskiego, a także polskiego. W Petersburgu i w Galicji Wschodniej utworzono kursy dla nauczycieli Ukraińców moskalofilów, którzy mieli rusyfikować swoich rodaków.

Generał-gubernator zażądał od lwowskich bibliotek – Ossolineum, biblioteki Baworowskich i Pawlikowskich oraz Towarzystwa im. Szewczenki – usunięcia wszystkich książek ukraińskich, a także polskich, niecenzurowanych w Rosji. W tej sytuacji, by nie dopuścić do przetrzebienia zbiorów, polskie biblioteki postanowiły zamknąć czytelnie. Natomiast



Tadeusz Rutowski FOT. NAC

ukraińskie Towarzystwo im. Szewczenki zostało ostatecznie zlikwidowane przez okupacyjne władze rosyjskie.

Na rozkaz Bobrinskiego został wywieziony do Rosji metropolita lwowski obrządku greckokatolickiego Andrzej Szeptycki. Naraził się on Rosjanom kazaniem, w którym wprawdzie powiedział, że runął kordon oddzielający od siebie Ukraińców, ale stwierdził też, że prawosławie jest „państwowe, synodalne i rządowe", natomiast „nasze, lepsze i wyższe, ponieważ myśmy katolikami, uznającymi zwierzchnictwo papieża". Szeptycki był jednym z wielu ukraińskich działaczy narodowych deportowanych w głąb Rosji.

Do Lwowa przyjechał arcybiskup wołyński Eulogiusz, wsławiony udziałem w likwidacji obrządku unickiego na Chełmszczyźnie, by nawracać grekokatolików na prawosławie i zlikwidować obrządek greckokatolicki. Eulogiusz natomiast stwierdził, że „w piersi całego narodu rosyjskiego od Karpat po Ocean Wielki bije jedno serce, to i jedna wiara powinna być, żeby naród rosyjski był jednością".

Rozpoczęła się akcja zmuszania greckokatolickich parafii do przechodzenia na prawosławie.

Kolejnym zarządzeniem Bobrinskiego był zakaz działalności ukraińskich i polskich klubów, związków i stowarzyszeń, zamknięcie zakładów naukowych, internatów, kursów, z wyjątkiem szkolnych warsztatów. Zapowiedział, że prywatne szkoły polskie mogą zacząć funkcjonować od stycznia 1915 r., jednak po wydaniu zezwolenia przez niego, z obowiązkiem nauki rosyjskiego w każdej klasie przez co najmniej pięć godzin w tygodniu. Historia, geografia, język polski i historia literatury polskiej mogły być wykładane tylko na podstawie podręczników dopuszczonych do szkół w Rosji przez cenzurę.

Dzielny magistrat

Warunki wojenne doprowadziły do ogromnego zubożenia ludności Lwowa, brakowało żywności i opału. O węglu nie było mowy, magistrat starał się dostarczać bezpłatnie drewno, jednak było go za mało. „Uzbrojone w piły, siekiery i sznury pospólstwo wyruszało z mieszkań, by niszczyć wandalsko najprzedniejszy materiał drzewny, a także parkany, bramy, krzyże po cmentarzach, nawet całe drewniane budynki i urządzenia domowe, a to nie tylko na własny użytek, ale i na lichwiarski handel".

Władze miejskie pod przewodnictwem Rutowskiego uruchomiły bezpłatne rozdawanie chleba najuboższym, stworzyły też kilkadziesiąt tanich, także bezpłatnych kuchni, z których korzystało prawie 50 tys. mieszkańców. Utrzymywanie tych placówek było częściowo finansowane przez generała-gubernatora. Magistrat Lwowa pod przewodnictwem Tadeusza Rutowskiego robił wszystko, co mógł, by złagodzić ciężkie położenie ludności miasta. I generalne zyskał wysoką ocenę. Józef Białynia-Chołodecki stwierdzał:

„Ster władzy chwycił w swoje dłonie, pozostały we Lwowie pierwszy wiceprezydent miasta dr Tadeusz Rutowski i wykonywał ją przy pomocy dwóch kolegów, wiceprezydentów dr. Leonarda Stahla i dr. Filipa Schleichera, stwierdzając na każdym kroku, iż jest nie tylko mężem prawym, dyplomatą i politykiem, lecz także niepospolitym organizatorem, żywicielem tysięcy, a wszystkich umiejętnym doradcą. Godnie sekundowali mu obaj koledzy. Pierwszemu z nich zawdzięczało później miasto, obok innych praktycznych zarządzeń, ocalenie mieszkańców, pozbawionych opału, od śmierci wskutek zamarznięcia, drugiemu zaś, skrzętnemu, zapobiegliwemu, przewidującemu włodarzowi, szczerą pracę w dziale aprowizacji".

22 marca 1915 r. twierdza Przemyśl poddała się wojskom rosyjskim. Moskalofile triumfowali, składali gratulacje Bobrinskiemu, który zarządził w mieście uroczyste obchody na cześć zwycięstwa, na ulicach pojawiły się rosyjskie sztandary i portrety cara. Na początku kwietnia

eprasa.pl c6b514a6e3

Mikołaj II przyjechał do Lwowa. Jego wizytę poprzedziły liczne aresztowania, które objęły kilkuset mieszkańców miasta, w szczególności ukraińskich działaczy. Władze rosyjskie obawiały się, że mogliby zakłócić wizytę cara. Mikołaj II odwiedził w szpitalu rannych żołnierzy rosyjskich, złożył hołd poległym na ich mogiłach, wyszedł na balkon siedziby generała-gubernatora i powiedział: „Dziękuję za serdeczne przyjęcie. Niech będzie jedna, potężna, nierozdzielna Ruś! Ura!".

Przełamanie frontu pod Gorlicami przez armie austro-węgierską i niemiecką na początku maja 1915 r. oznaczało zwrot w działaniach na froncie wschodnim. W czerwcu Rosjanie zaczęli ewakuować się ze Lwowa. „Wywozili Rosjanie z budynków rządowych, miejskich, z biur banków i instytucyj, a także i z prywatnych mieszkań, co im tylko podpadło pod rękę" – wspominał świadek wydarzeń. Zabierali wyposażenie fabryk i szpitali, wywiezione zostały też zbioru Muzeum Stauropigialnego. Uprowadzili ze sobą również prawie 40 zakładników – Polaków, Ukraińców, Żydów. Wśród nich byli wiceprezydenci Lwowa: Rutowski, Stahl i Schleicher.

„Zawitał dzień 22 czerwca r. 1915, dzień osnuty w dymy nocnych pożarów, ale pogodny i pełen błogich nadziei wśród strapionej ludności. Około godziny 9 rano podążył w towarzystwie kozaka oficer rosyjski na wieżę ratuszową, zdjął chorągiew o barwach rosyjskich, zwinął ją i odszedł w milczeniu, a równocześnie znikły chorągwie z drzewca na Kopcu Unji Lubelskiej i na gmachu Namiestnictwa. Niebawem odjechał automobilem, w stronę rogatki Łyczakowskiej, otoczony oddziałem konnicy, wojenny gubernator Sergiusz Szeremetjew, ustąpiła z ulic żandarmerja połowa, a tylko tu i ówdzie staczały jeszcze cofające się patrole kozackie, w dzielnicy Łyczakowa, walkę uliczną z nadpływającymi od strony dzielnicy Gródeckiej, patrolami austrjackiemi".

Tak zakończyła się trwająca ponad dziewięć miesięcy rosyjska okupacja Lwowa i próba rusyfikacji Ukraińców w Galicji Wschodniej. © ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Cytaty w tekście pochodzą z książek: J. Białynia-Chołodecki, „Lwów w czasie okupacji rosyjskiej, 3 września 1914–22 czerwca 1915 (z własnych przeżyć i spostrzeżeń)", Lwów 1930; B. Janusz, „293 dni rządów rosyjskich we Lwowie 3 IX 1914–22 VI 1915", Lwów 1915; „Rządy rosyjskie w Galicyi Wschodniej", Piotrków 1915.

Kościół w Mińsku i abp Kondrusiewicz



Tomasz Stańczyk

Pod koniec września „nieznani sprawcy" próbowali podpalić katolicki kościół pw. św. Szymona i św. Heleny w Mińsku. Mimo że Białoruś jest państwem policyjnym, niezwykle skutecznym w ściganiu przestępców, oczywiście tych „politycznych", to „nieznanych sprawców" nie udało się rzecz jasna ująć.

Po tym incydencie władze zażądały od parafii opuszczenia kościoła, rzekomo z powodu konieczności przeprowadzenia w nim remontu, choć uszkodzenia w wyniku pożaru, w jednym z pomieszczeń, były nieznaczne. W oczywisty sposób chęć odebrania katolikom kościoła jest praktyką dyskryminacyjną i represyjną.

Niewiele wcześniej Łukaszenka pogroził katolikom: „Uważajcie, doigracie się!". Teraz spełnił swoją zapowiedź. Być może dyktatora rozzłościły m.in. słowa abp. Tadeusza Kondrusiewicza, który powiedział, że z pomocą Matki Boskiej zostanie zbudowana nowa szczęśliwa Białoruś. Arcybiskup stał do 2021 r. na czele Kościoła katolickiego na Białorusi. Po wybuchu masowych protestów na Białorusi wzywał do zaprzestania przemocy wobec demonstrantów, co nie mogło się spodobać Łukaszence.

Gdy latem 2020 r. arcybiskup powracał z Polski do Mińska, nie został wpuszczony na Białoruś, gdyż władze tego państwa unieważniły jego paszport...

Dyplomacja watykańska wynegocjowała powrót arcybiskupa do Mińska, ale najpewniej za cenę jego rezygnacji z urzędu arcybiskupa mińsko-mohylewskiego, która nastąpiła później. Pretekstem było ukończenie przez arcybiskupa 75 lat. Nie pierwszy raz Watykan ulega dyktatorom...

Kościół pw. św. Szymona i św. Heleny nie jest własnością wspólnoty katolickiej, choć został przez nią wybudowany. Ten stan rzeczy to spadek po epoce Związku Sowieckiego. Komuniści zawłaszczyli świątynie i tylko z łaski przekazały niektóre z nich w użytkowanie wiernym. Łukaszenka kontynuuje politykę komunistycznego bezprawia.

Kamień węgielny pod budowę świątyni położono w 1906 r., a zgodę na budowę u władz rosyjskich uzyskano nie bez trudności. Udało się ją uzyskać dzięki osobistej pozycji Edwarda Woyniłłowicza, prezesa Mińskiego Towarzystwa Rolniczego, bardzo szanowanego przez Rosjan. Woyniłłowicz zdecydował się na styl romański, gdyż rozkwitał w epoce, w której nie nastąpił jeszcze podział w chrześcijaństwie. Wybudowana z cegły świątynia nazywana jest z tego powodu Czerwonym Kościołem. W 1932 r. została zamknięta przez władze sowieckie. W przebudowanym wnętrzu mieściły się studio filmowe, muzeum kinematografii i kawiarnia, a fasadę przesłonięto socrealistycznym budynkiem. Świątynia zwrócona została wiernym w 1990 r.

Teraz, 90 lat po pierwszym zamknięciu kościoła, Łukaszenka chce ponownie odebrać go katolikom, co również stawia go w pozycji kontynuatora sowieckich porządków na Białorusi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c6b514a6e3



Maciej Rosalak

Tureckie działa burzyły mury, a janczarzy ponawiali szturm za szturmem. Rycerze zakonu św. Jana Chrzciciela wytrwali...

Byliśmy (jesteśmy?) dumni, gdy po wiktorii wiedeńskiej nazwano nas przedmurzem chrześcijaństwa (antemurale christianitatis), a Jana III Sobieskiego obrońcą wiary (fidei defensor). Co prawda, od połowy XIII w. przez pół tysiąclecia odpieraliśmy łupieżcze najazdy Tatarów ze Złotej Ordy, a potem z Krymu i ze stepów nadczarnomorskich, ale podboje przez Turków osmańskich udaremniliśmy trzykrotnie dopiero w XVII w. (w latach 1621, 1673 i 1683). Znacznie wcześniej od nas walczyli z nimi Węgrzy, Serbowie i inni chrześcijanie z Bałkanów i Grecji. Na wyspach i wybrzeżach Morza Śródziemnego opierali się im Wenecjanie i Genueńczycy, a najdzielniej stawali bracia rycerze z zakonu szpitalników pw. św. Jana Chrzciciela.

Właśnie zaczynamy tryptyk chwały oręża joannitów – tego przedmurza chrześcijaństwa opartego na twierdzach i okrętach. Przedstawimy: obronę Rodos (1480), zdobycie Rodos przez Turków (1522), obronę Malty (1565) i współudział w pokonaniu floty osmańskiej pod Lepanto (1571) w ramach Ligi Świętej. To w tamtej epoce zakon otrzymał od papieża znaną obecnie oficjalną nazwę: Suwerenny Rycerski Zakon Szpitalników Świętego Jana, z Jerozolimy, z Rodos i z Malty.

Twierdze i galery

Joannici wywodzili się z bractwa szpitalnego powołanego w Amalfi (południowa Kampania) w XI w. i sprowadzonego przez zwycięskich krzyżowców do Królestwa Jerozolimskiego dla zapewnienia opieki i ochrony pielgrzymom wędrującym do Ziemi Świętej. Już w 1113 r.

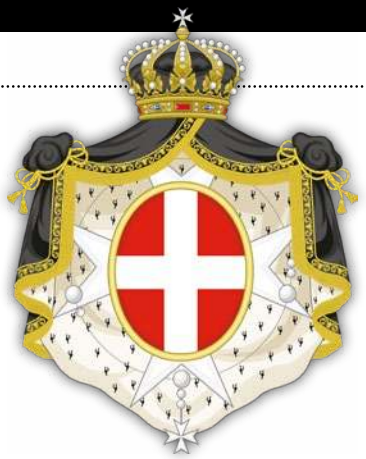


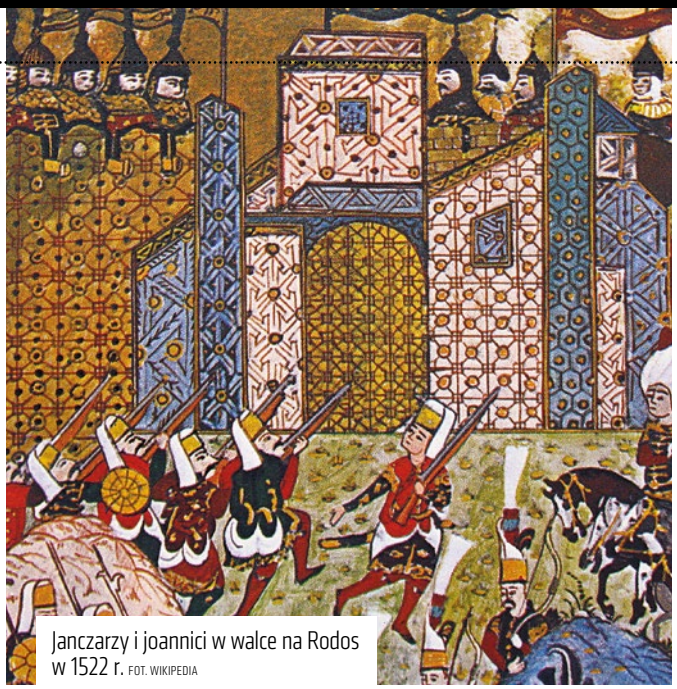
„Wkroczenie sułtana Mehmeda II do Konstantynopola", 1453 r. Obraz Benjamina Constanta FOT. WIKIPEDIA

XV–XVI w. / Tryptyk walk joannitów z Osmanami (1)

Obrona Rodos

eprasa.pl c6b514a6e3





Janczarzy i joannici w walce na Rodos w 1522 r. FOT. WIKIPEDIA

papież Paschalis II oficjalnie uznał ich zakon, do którego przyjmowano szlachetnie urodzonych rycerzy wszystkich nacji. Podobnie czynili templariusze – w przeciwieństwie do wyłącznie teutońskiego zakonu Krzyżaków. Joannici dzielili się na osiem grup narodowo-językowych, zwanych langua: z Prowansji, Owernii, Francji, Anglii, Włoch, Niemiec, Aragonii i Kastylii. Grupy te podczas oblężeń tworzyły osobne oddziały, które współzawodniczyły między sobą męstwem i sprawnością bojową. W zakonie dominował język francuski, a wielkimi mistrzami obierano też przeważnie Francuzów.

Na Bliskim Wschodzie joannici stali się też znakomitymi budowniczymi i organizatorami systemu warowni-szpitali. Zwracają uwagę ich twierdza Margat blisko wybrzeża śródziemnomorskiego oraz położony również w Syrii, do dziś budzący podziw zamek Krak des Chevaliers, oddany im w 1144 r. przez Rajmunda II, hrabiego Trypolisu. Przemyślnie rozbudowali go i oparli się w nim samemu Saladynowi po rozgromieniu przezeń armii Królestwa Jerozolimskiego pod Hittin (1187). Oddali go dopiero w następnym wieku (1271) mameluckiemu sułtanowi Bajbarasowi, który sfałszował list od hrabiego Trypolisu rzekomo odwołującego obiecaną odsiecz.

Po upadku 20 lat później Akki joannici przenieśli się na Cypr razem z templariuszami, którzy odkupili tę wyspę od mającego ją chwilowo angielskiego króla Ryszarda Lwie Serce. Po rozwiązaniu zakonu templariuszy na początku XIV w. papież Klemens V przekazał ich majątek joannitom. Takie wzmocnienie przydało się ich wielkiemu mistrzowi Foulques'owi de Villaretowi, który akurat zajmował wtedy przemocą bizantyjską wyspę Rodos.

Leży ona 20 km od wybrzeża Azji Mniejszej, wśród 12 wysp archipelagu Dodekanezów, na południowym wschodzie akwenu śródziemnomorskiego Po jej spacyfikowaniu joannici – zwani teraz kawalerami rodyjskimi – z wielką znajomością rzeczy ufortyfikowali wiele miast, ze stołecznym portem (również o nazwie Rodos) na czele. Nad miastem górował potężny zamek zakonu, a wejścia do portu strzegły wieże i wielki łańcuch. Rycerze do walki zakładali na zbroje czerwone tuniki z białym krzyżem, a podczas przerw w starciach – czarne płaszcze z białym krzyżem naszytym po lewej stronie okrycia, co zatwierdził w 1259 r. papież Aleksander IV. Natomiast znana do dziś forma tzw. krzyża maltańskiego stosowana jest od wieku XVI.

Właścicielem pierwszego statku transportowego do przewozu pielgrzymów zakon stał się już w połowie XII w. Następnie zaczął budować okręty we własnej stoczni w Akce i wysyłać je w rejsy transportowe i bojowe. Po opuszczeniu Ziemi Świętej na przełomie wieków XIII i XIV rycerze zdecydowanie przesiedli się z koni na żaglowo-wiosłowe galery, na których staczali regularne bitwy morskie na Morzu Egejskim, jak np. koło wyspy Chios w 1319 r. Pierwsza wzmianka o „admirale zakonu" pojawia się w 1299 r.

Napędem galer były przede wszystkim wielkie i ciężkie wiosła – w jednym rzędzie po 20–26 na jedną burtę – poruszane siłą kilku wioślarzy każde. Aby statek rozwijał jak największą prędkość, był niezwykle smukły; w proporcjach szerokości do długości nawet jak 1:9. Dodatkowy napęd dawały łacińskie żagle na ukośnych rejach. Atakował zwykle okutym taranem, który potrafił łamać wiosła jednostek przeciwnika i wbijać się w ich burty, aby na unieruchomione łatwiej mogli się przedostać odziani w kolczugi, zbrojni w miecze i włócznie rycerze, wiodący żołnierzy krzyżowców (zwykle turkopolów – miejscowych potomków chrześcijan). Na dziobach galer pojawiało się po kilka dział.

W XV w. we flotach europejskich pojawiły żaglowce o wysokich kasztelach na dziobie i na rufie, z dwoma lub trzema masztami. Krzysztof Kolumb przepłynął Atlantyk (1492) na trzymasztowej karace „Santa Maria", mającej dwa pierwsze maszty z ożaglowaniem rejowym (fokmaszt i grotmaszt), a ostatni (bezanmaszt) z ożaglowaniem łacińskim. Towarzyszyły mu dwie mniejsze karawele – „Niña" i „Pinta" – z ożaglowaniem łacińskim ułatwiającym żeglowanie pod wiatr. A joannici po opuszczeniu Rodos przybyli na Maltę (1530) na czterech okrętach z flagową karaką „Santa Anna", zamówioną w Nicei jeszcze w 1522 r., o wyporności 1,7 tys. ton, pokrytą częściowo ołowianymi płytami. Karaki w ciągu XVI w. przekształciły się w wielkie galeony z rzędami dział na burtach.

Atakami na flotę osmańską i piratów berberyjskich joannici zyskali poparcie chrześcijan (zwłaszcza weneckich kupców), natomiast nienawiść i chęć odwetu ze strony wyznawców islamu. Byli to przede wszystkim Turcy. Ich plemiona zostały wyparte z centralnej Azji przez Mongołów i na ogół z bronią w ręku szukały swego miejsca w bliskowschodnim świecie islamu. Agresja i okrucieństwo Turków Seldżuków wobec chrześcijańskich pielgrzymów stały się przyczyną wypraw krzyżowych. W Azji Mniejszej cała Anatolia, zajmująca dwie trzecie terytorium dzisiejszej Turcji, została przez nich odebrana Cesarstwu Bizantyjskiemu.

Tak się złożyło, że na początku XIV w. – gdy joannici zajęli Rodos – tureckim sułtanem został Osman I. Stworzył on słynną dynastię i sprawnie działające rozbójnicze państwo, które żyło kosztem podbijanych ludów. Jego łupem

eprasa.pl c6b514a6e3

na kontynencie europejskim padały włości Bizancjum i innych bałkańskich krajów chrześcijańskich. Przykładem prawosławna Serbia, pokonana w dwóch bitwach na Kosowym Polu (w latach 1389 i 1448), a następnie zhołdowana i wreszcie całkiem ujarzmiona. Z uporem i porażającą konsekwencją potęga turecka będzie podbijać kolejne terytoria i ludy – mahometańskie w Afryce i na Bliskim Wschodzie zresztą również – i budzić grozę w sercach Europejczyków przez pół tysiąclecia.

Natomiast za „odwiecznego wroga" uznała pozornie niewiele znaczący zakon, który zuchwale trwał tuż pod jej bokiem. Nawet gdy w XVI w. będzie zmuszony przenieść się z Dodekanezu dalej na zachód – na Maltę leżącą pośrodku Morza Śródziemnego – pozostanie niepokonany i będzie atakował osmańskie linie transportowe wiodące od wybrzeży Morza Czarnego do portów północnej Afryki.

Mehmed Zdobywca

Przydomkiem Zdobywca Mehmed II – syn Murada II, zwycięzcy spod Warny (1444) – został obdarzony po swym największym triumfie, czyli zdobyciu w 1453 r. Konstantynopola. Trzeba przyznać, że tureckie przygotowania i przeprowadzenie tej operacji znamionował najwyższy kunszt wojenny, aczkolwiek wyludnione i pozostawione bez skutecznej pomocy miasto nie przypominało dawnej twierdzy, od której murów odbijały się w ciągu stuleci szturmy wielu najeźdźców. Ale 21-letni sułtan, który zabił ostatniego cesarza Bizancjum, tragicznego Konstantyna XI, oraz przyniósł kres ponadtysiącletniemu trwaniu cesarstwa rzymskiego na Wschodzie, trzy lata później Belgradu zdobyć już nie zdołał. Ranny w udo, uciekał stamtąd w popłochu wraz pozostałymi przy życiu janczarami przed atakiem Jana Kapistrana i Jana Hunyady'ego. Każdy z tych dwóch zasługiwałby na przyznawany przez papieży od 1521 r. tytuł obrońcy wiary (fidei defensor), podobnie jak albański bohater, książę katolicki Skanderbeg, który z Mehmedem II zwyciężył w 1468 r.

Jednak zdecydowana większość batalii owego sułtana kończyła się jego zwycięstwami i podbojami kolejnych ziem. Zwyciężał na śródziemnomorskich wyspach i wybrzeżach, walcząc z Wenecją i Genuą, ostatecznie pokonał Serbię, zdobył Bośnię, Trapezunt nad Morzem Czarnym, Wołoszczyznę, Albanię i Mołdawię, na Krymie uzależnił chanat tatarski i genueńską Kaffę (Teodozję). Pokonał federację mongolskich i tureckich plemion Ak Kojunlu na rozległych obszarach Bliskiego Wschodu i centralnej Azji. Zajmował Otranto na samej podkówce włoskiego buta, napadał nawet na Styrię i Karyntię w południowej Austrii. Wreszcie w 1480 r. wysłał osmańskie okręty i armię ku Rodos. I tu spotkał go srogi zawód.





Mehmed II i Foulques de Villaret, wielki mistrz zakonu joannitów FOT. DOMENA PUBLICZNA

Przeciw joannitom wysłał spore siły pod dowództwem wezyra Mesiha Paszy. Był to członek rodziny ostatniego cesarza bizantyjskiego. Schwytany przyjął islam i jako admirał floty wyróżnił się podczas oblężenia weneckiego portu Negrepont na Peloponezie. Urząd wezyra powierzono mu kilka lat przed wyprawą na Rodos. Na ponad 100 (niektóre źródła podają 150) okrętach płynęło w końcu maja 1480 r. zapewne kilkanaście tysięcy zbrojnych, w tym 3 tys. janczarów. Co prawda, wielki mistrz joannitów Pierre d'Aubusson pisał o 70 tys. tureckich żołnierzy, ale historycy tego nie potwierdzają. D'Aubusson natomiast miał pod komendą od 3,5 do 5 tys. ludzi, więc przytłaczająca przewaga była tak czy inaczej po stronie napastników.

Oblężenie zaczęło się od intensywnego ostrzału tureckiej artylerii okrętowej. Następnie Turcy przeprowadzili dwa desanty, których celem było zdobycie wieży portowej Saint-Nicolas, której posiadanie pozwoliłoby na uniemożliwienie wpłynięcia do portu chrześcijańskich okrętów. Tym samym obrońcy zostaliby pozbawieni dostaw żywności i broni oraz przybycia ewentualnej odsieczy. Gdy nocny szturm z 8 na 9 czerwca się nie powiódł, Mesih Pasza nakazał jego powtórzenie za dnia 18 czerwca. Obydwa ataki zaciekle walczący chrześcijanie odparli.

W lipcu – znów po bombardowaniu artyleryjskim – Turcy skupili się na atakowaniu wschodniego odcinka bronionego przez langua włoską. Wbrew ich nadziejom na zniszczenie murów przez działa w stopniu wystarczającym na wtargnięcie do Rodos joannici wraz ludnością zdążyli pogłębić fosę i naprawić umocnienia. Następnie walczyli zaciekle i znów zadali wrogom dotkliwe straty. Najbardziej niebezpieczny okazał się generalny szturm przeprowadzony na tym samym



Joannicka bombarda z Rodos FOT. WIKIPEDIA/PHG.COM

eprasa.pl c6b514a6e3

odcinku 27 lipca. Dwa i pół tysiąca janczarów szło na czele atakujących Turków. Zdobyli wieżę stanowiącą węzłowy punkt odcinka włoskiego i miasto stanęłoby przed nimi otworem, gdyby nie atak odsieczy prowadzonej przez samego wielkiego mistrza.

D'Aubusson się nie oszczędzał, jak nigdy zresztą nie oszczędzał się żaden rycerz zakonny, mając w ręku swój długi, zabójczy miecz. Wielki mistrz został pięciokrotnie ranny, ale po trzech godzinach zaciekłej walki koło murów leżały zwały trupów nieprzyjaciół. Odparcie szturmu nie wystarczyło joannitom. Z furią ruszyli do kontrataku za resztkami wycofujących się wrogów i wtargnęli do ich obozu. Mesih Pasza, który starał się uporządkować obronę, nie pomógł i wkrótce sam się wycofał, dowodząc tym samym, że jako turecki wezyr nie może się równać z wielkim mistrzem joannitów. Rycerze zakonni wtargnęli do namiotu wezyra i zdobyli sztandar islamu.

Poniesione straty, ale zapewne jeszcze bardziej upadek ducha nielicznych, pozostałych przy życiu i zdrowiu Turków sprawiły, że kontynuowanie oblężenia stało się niemożliwe. 18 sierpnia flota osmańska ruszyła z powrotem na wschód, wioząc niedobitki armii i ciężko wystraszonego wezyra. Stracił co prawda stanowisko, lecz zachował na karku głowę, chociaż Mehmed II był wściekły. Przysiągł sobie, że rozprawi się z bezczelną wyspą, ale nie zdążył. Zmarł 3 maja 1481 r., w czasie przygotowań do wyprawy na Egipt.

Podczas swego 30-letniego panowania nie tylko wojował, lecz także położył solidne podwaliny pod imperium osmańskie, stworzył regularną armię turecką i kodeks prawny, a także ustanowił zasady funkcjonowania administracji oraz handlu. Ale też on, gdy tylko został po śmierci ojca (1451) sułtanem, utrwalił makabryczną tradycję swej dynastii, mordując – w trosce o zachowanie tronu – wszystkich braci i ich żony. Pozostawił państwo o powierzchni ponad 2,2 mln km kw. Pochowany został w meczecie Fatih (Zdobywca) wzniesionym po zdobyciu Stambułu. Na swym grobowcu kazał napisać: „Zamierzałem podbić Rodos i podporządkować sobie Italię".

Podbić Rodos udało się dopiero po 42 latach jego potomkowi Sulejmanowi Wspaniałemu, do czego wrócimy w następnym odcinku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Jutro cały świat!



Maciej Rosalak

Podboje sułtanów tureckich brały się przeświadczenia, że największy władca islamu ma święte prawo do panowania nad całym światem oraz obowiązek egzekwowania tego prawa. Sam prorok Mahomet, który zainicjował dżihad, tak to wyraził w liście do króla perskiego: „Z nakazu Allaha, zapraszam cię do Niego. On posłał mnie, abym oświecił wszystkie ludy, abym mógł je wszystkie ostrzec przed Jego gniewem i mógł postawić niewiernym ultimatum. Przyjmij islam, abyś mógł pozostać bezpieczny". Podobny list wysłali następcy do bizantyjskiego cesarza Herakliusza: „Bóg dał tę ziemię w dziedzictwo naszemu ojcu Abrahamowi i jego potomkom. Jesteśmy dziećmi Abrahama. Wystarczająco długo dzierżyłeś nasz kraj. Oddaj go nam w pokoju, a nie najedziemy twojego kraju. Jeżeli tego nie uczynisz, odbierzemy z nawiązką, co od nas wziąłeś". Chodziło o staro- i nowotestamentową Ziemię Świętą, w której Mahomet znalazł korzenie dla swego islamu. W iście ojcowskim tonie mongolski chan Kubiłej pisał w 1266 r. do cesarza japońskiego: „Myślimy o wszystkich krajach jak o jednym domu, więc także Japonia powinna myśleć o nas jak o ojcu. Jeżeli tego nie pojmiecie, to będziemy zmuszeni – choć z żalem – nasłać na Was wojsko".

Minęło 600 lat i oto powstała pieśń, która bardzo przypadła do gustu socjalistycznemu działaczowi rosyjskiemu, niejakiemu towarzyszowi Leninowi: „Wyklęty, powstań ludu ziemi! / Powstańcie, których dręczy głód! / Myśl nowa blaski promiennemi / Dziś wiedzie nas na bój, na trud. / Przeszłości ślad dłoń nasza zmiata; / Przed ciosem niechaj tyran drży! / Ruszymy z posad bryłę świata, / Dziś niczem – jutro wszystkiem my! / Bój to będzie ostatni, / Krwawy skończy się trud, / Gdy związek nasz bratni / Ogarnie ludzki ród!". Wspomniany towarzysz twórczo wprowadził tę myśl do rewolucyjnej praktyki, a myśl rozwinął wielki kreator komunistycznego imperializmu rosyjskiego – Stalin. W latach 1918–1944 była hymnem sowieckiego państwa, które zabiło dziesiątki milionów ludzi. Kolejne miliony zamordowanych i poległych dodał niemiecki zwolennik socjalizmu narodowego – Hitler. Po dojściu do władzy zobowiązał wszystkie organizacje NSDAP, SA oraz Hitlerjugend do śpiewania łatwej i przyjemnej dla teutońskiego ucha pieśni ze słowami: „Dziś należą do nas Niemcy, a jutro cały świat".

W 1944 r. Aleksandrow skomponował na rozkaz Stalina monumentalny „Hymn ZSRR" ze słowami m.in. Siergieja Michałkowa. Zgodnie z mądrością kolejnych etapów w utworze dokonywano zmian. Po śmierci Stalina, w latach 1955–1977, melodię wykonywano zwykle tylko w wersji instrumentalnej, a potem w ogóle wyleciał on z tekstu. W miejsce „wychował nas Stalin w wierności ludowi" Michałkow wplótł Lenina, który to „do dzieła wielkiego porywał narody". Od 1990 do 2000 r. zamiast hymnu grano pozbawioną w ogóle słów „Pieśń Patriotyczną" Michaiła Glinki z 1833 r. I dopiero na trzecie tysiąclecie poproszono Michałkowa, aby znów zmodyfikował ściskającą każde prawdziwie rosyjskie serce stalinowską pieśń. Nie odmówił. Kto poprosił? A któżby, jak nie Władimir Władimirowicz Putin! I w hymnie Federacji Rosyjskiej znów słyszymy: „Niezłomny jest związek republik swobodnych, / Ruś wielka na setki złączyła je lat. / Niech żyje potężny jednością narodów, / Z ich woli zrodzony nasz kraj, Związek Rad! / [...] Sztandar radziecki, sztandar ludowy, / drogą zwycięstwa niech kraj wiedzie nasz!". No to właśnie wiedzie – na Ukrainę. © ℗

eprasa.pl c6b514a6e3

Janczarzy i spahisi



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Oblicze wojska sułtańskiego w epoce nowożytnej odzwierciedlało zlepek kultur, tradycji i narodów tworzących imperium



Trzon sił zbrojnych tworzyły oddziały stołeczne (kapikulu askerleri) stacjonujące w Stambule i finansowane z sułtańskiego skarbca. Wojsko to miało charakter stały, broń i wyposażenie pobierało z państwowych zbrojowni i manufaktur. W ich skład wchodziły korpus janczarów (organizowany w orty, będące odpowiednikami batalionu), kilka rodzajów jazdy, a także artyleria, jednostki inżynieryjne i logistyczne. Była to elita tureckich sił zbrojnych.

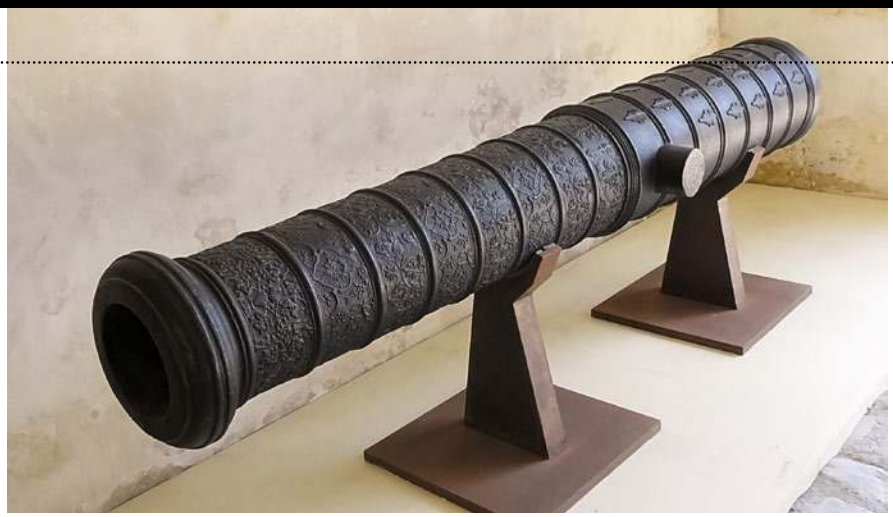
Kolejnym elementem składowym były formacje organizowane w poszczególnych prowincjach (eyalet askerleri). Część z nich miała charakter stały; były to oddziały pełniące funkcje garnizonowe, milicyjne, osłaniające granicę. Ich stan liczebny zwiększał się w momencie wybuchu wojny. Należeli do nich m.in. piesi azapowie, których organizowano niemal identycznie jak polską piechotę dymową (tzw. wyprawy dymowe). Nie brakowało też formacji ochotniczych, niefinansowanych przez zarządców prowincji, które „żywiły się" wojną. Należeli do nich bośniaccy jeźdźcy deli, znani z niezwykłej brawury.

Z kolei powinności wynikające z obowiązku lennego sprawiały, że w czasie konfliktu sułtan dysponował masą rozmaicie uzbrojonej, nieregularnej lekkozbrojnej szlacheckiej kawalerii – spahisami. Istotną rolę odgrywały także kontyngenty dostarczane przez państwa wasalne. Największe znaczenie miał Chanat Krymski, dysponujący najlepszą lekkozbrojną jazdą epoki.

Turcy starali się śledzić zmiany zachodzące w Europie Zachodniej, dzięki czemu nasycenie formacji pieszych bronią palną sukcesywnie się zwiększało. Nie wypracowano jednak tak efektywnych sposobów jej wykorzystania, a zwłaszcza współdziałania strzelców z kawalerią, jak to miało miejsce w armiach chrześcijańskich. Janczarzy używali rozmaitych muszkietów, część produkowano na miejscu, sporo jednakże sprowadzano z zachodniej Europy. Opinie o skuteczności ognia sułtańskiej piechoty (przede wszystkim janczarów) są podzielone, niewątpliwie zależała ona od stopnia wyszkolenia oddziału. Po oddaniu salwy janczarzy dążyli do szybkiego zwarcia, które rozstrzygali za pomocą jataganów, szabel, rozmaitej broni obuchowej i drzewcowej.

W przypadku formacji konnych, podobnie jak w Europie Zachodniej, tureccy kawalerzyści stopniowo pozbywali się stalowych osłon ciała, często jeszcze spotykanych w XVI stuleciu. W obliczu siły ognia atutami jazdy były szybkość oraz zdecydowany atak na białą broń i właśnie z tych walorów słynęła osmańska kawaleria walcząca włóczniami/lancami, szablami, nadziakami, koncerzami. Uzbrojenie ofensywne uzupełniał łuk refleksyjny (typu azjatyckiego). Artyleria i wojska inżynieryjne stały na stosunkowo wysokim poziomie. Podkreśla się, że turecka praktyka artyleryjska w XVII w. nie odbiegała od europejskiej. Jednakże kwestie transportowe, logistyczne znacząco ograniczały możliwość wykorzystania cięższych dział podczas kampanii prowadzonych z dala od granic. ©℗

eprasa.pl c6b514a6e3



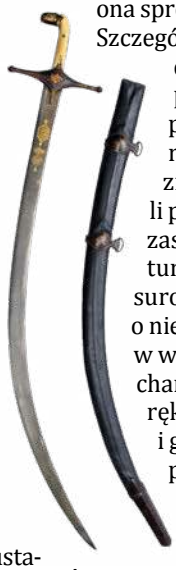
Osmańska artyleria – początki

Już u zarania piętnastego stulecia artyleria przeżywała w Turcji szybki rozwój. Stało się tak dzięki zatrudnieniu wykwalifikowanych specjalistów: Greków, Włochów, Węgrów i Serbów. Gros sułtańskich warsztatów zbrojeniowych zlokalizowane było w Stambule. To cudzoziemcy byli twórcami słynnej stołecznej ludwisarni położonej nad Bosforem w dzielnicy Tophane. Działa oraz broń strzelecka odegrały istotną rolę w wielu spektakularnych tureckich zwycięstwach.

Piętnastowieczny autor tzw. „Kroniki tureckiej" pisał: „Dział polnych, hufnych i tarasowych wielkie mnóstwo z sobą miewa [sułtan]. Bywają też i pawęży, oszczepy, łuki, kusze, i wielkie mnóstwo rusznic i strzelby rozmaitey". Artyleria była szczególnie przydatna podczas oblężeń: „Najpierwej puszkarze i strzelcy z dział i z ufnych [hufnic] rusznic ze wszech stron strzelają; a po takowem wystrzeleniu janczarzy biegną rychło z wielkim krzykiem […], włażą na mury, i strzelbę silną i gęstą bardzo z łuków na ludzi mieyskich puszczają". Pod Konstantynopolem Mehmed zgromadził 69 dział, które rozmieszczono w 15 bateriach. W głównej baterii, nieopodal namiotu sułtana, ustawiono trzy największe działa – bombardy, które strzelały pociskami o wadze do 680 kg. Z takich luf można było wystrzelić zaledwie kilka razy na dobę. ©℗

Szabla

Turcy przyjęli u siebie szablę za sprawą Persów, którzy zasłynęli z wytwarzania doskonałej broni siecznej. Produkowano ją z najlepszych stali sprowadzanych nierzadko z odległych krajów, m.in. Indii. Dzięki skomplikowanym zabiegom metalurgicznym – będących efektem wielowiekowej tradycji – otrzymywano doskonałej jakości stal zwaną damasceńską (bułat). Była ona sprężysta i twarda jednocześnie. Szczegółów tego procesu nie poznano do końca, ponieważ technologia produkcji została zapomniana na początku XVII w. Tureccy żołnierze szablą zadawali silne cięcia znad głowy, ewentualnie stosowali pchnięcia sztychem; fechtunku zasadniczo nie ćwiczono. Wczesne tureckie szable mają stosunkowo surową formę, krótkie jelce i głownie o niewielkiej krzywiźnie. W XVII w. w wojsku tureckim króluje kilidż – charakterystyczna szabla z otwartą rękojeścią, wydatną głowicą i głownią mocno wygiętą w łuk od połowy długości. Szabli używano zarówno w formacjach konnych, jak i pieszych, np. u janczarów. Ci ostatni używali także krótszych i znacznie poręczniejszych jataganów, czyli orientalnych noży bojowych o lekko sierpowatych głowniach. ©℗



Kotły dla janczarów

Tradycyjne osmańskie wojskowe kapele, zwane mehterhane, ukształtowały się pod koniec XIII w. Były liczne, miały rozbudowaną strukturę i charakteryzowały się różnorodnością instrumentów. Ich członkowie byli jednymi z najlepiej opłacanych żołnierzy w całej armii. Orkiestry te stanowiły bardzo istotną inspirację dla armii europejskich, w tym polskiej. Największe znaczenie miały instrumenty perkusyjne, w tym kotły. Zygmunt Gloger pisał w „Encyklopedii staropolskiej":

„Kocioł i bęben choć głosem i sposobem wydobywania go prawie jednostajne, kształtem jednak były różne […]. Kocioł (będący spolszczeniem łacin. – catillus) miał kształt połowy kuli ze skórą naciągniętą na kolistym obrębie, bęben zaś miał zawsze kształt cylindra". W armii tureckiej wyróżniano dwa rodzaje kotłów: mniejsze, zwane nakkare, i duże, czyli kös". Te drugie zawieszano na koniach, wielbłądach, a największe mocowano na grzbietach słoni. Nakkare z kolei noszone były także bezpośrednio przez muzykanta, przewieszone przez szyję, przy czym różniły się wielkością i średnicą. Na zdjęciu turecki kociołek (łombaszka sygnałowa) ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego; według tradycji zdobyty pod Chocimiem w 1673 r. ©℗



eprasa.pl c6b514a6e3

4 października 1957 r. / Sputnik na orbicie



Sowiecki Sputnik na współczesnej ilustracji
FOT. ADOBE STOCK

Kosmiczne oko



Tymoteusz Pawłowski

Sześćdziesiąt pięć lat temu w Kosmos wzniósł się pierwszy sztuczny satelita Ziemi – Sputnik. Było to wielkie rosyjskie osiągnięcie techniczne, ale jednocześnie bardzo duży błąd polityczny. Ułatwił bowiem Stanom Zjednoczonym inwigilację sowieckiego terytorium i uniemożliwił Rosjanom przeprowadzenie zaskakującego ataku jądrowego

W 1794 r., w czasie bitwy pod Fleurus, Francuzi pierwszy raz skorzystali z powietrznego rozpoznania, obserwując pozycje wroga z balonu. W XIX w. niezbyt często korzystano z tego wynalazku, ale w czasie pierwszej wojny światowej stał się on powszechny na każdym froncie. Oprócz balonów do rozpoznania zaczęto wykorzystywać również samoloty – pionierami byli Włosi – oraz niemal każdy pojazd zdolny do wzniesienia się w powietrze. Eksperymentowano nawet z gołębiami, które przenosiły miniaturowe aparaty fotograficzne, ale akurat ten wynalazek się nie przyjął.

Rozpoznanie stało się w latach 1914–1918 najważniejszym zadaniem lotnictwa. Sytuacja ta trwała co najmniej do końca kolejnej wojny światowej, ponieważ potencjał uderzeniowy samolotów był zbyt nieprzewidywalny: czasem bombardowanie przynosiło sukces, a czasami było zupełnie nieszkodliwe. Dopiero bomba atomowa sprawiła, że uderzenia powietrzne stały się naprawdę skuteczne i mogły mieć wpływ na wynik wojny.

Nawet gdy zakończyła się druga wojna światowa i zaczęła się zimna wojna, samoloty rozpoznawcze nie straciły na wartości. Być może nawet zyskały, ponieważ to ich służba gwarantowała, że żadna ze stron nie mogła niezauważenie skoncentrować wojsk i zamienić zimnej wojny w wojnę gorącą. Olbrzymią przewagę od początku mieli Amerykanie. Po pierwsze, ich samoloty były lepsze od rosyjskich; po drugie, ich bazy otaczały wianuszkiem Związek Sowiecki. Rosjanie mogli co najwyżej szpiegować na niebie

eprasa.pl c6b514a6e3

Europy i wysyłać swoje samoloty nad Atlantyk.

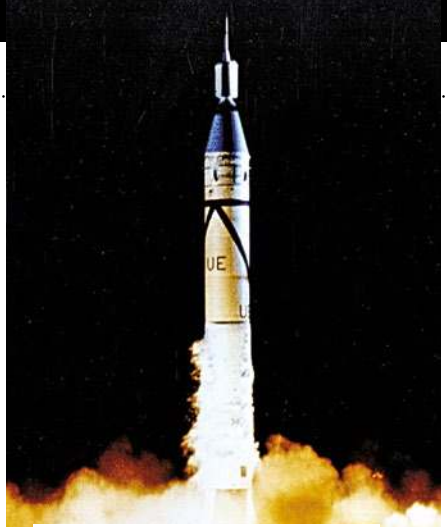
Skomplikowany sukces Sputnika

Jednak Amerykanie od 1955 r. pracowali również nad innymi metodami rozpoznania „powietrznego". Miały je prowadzić satelity krążące na orbitach wokół Ziemi. Stany Zjednoczone miały jednak dwa problemy do rozwiązania: pierwszym była legalność takich działań, drugim – brak satelity i brak rakiety, która mogła go wynieść na orbitę. Wbrew pozorom poważniejszy był pierwszy problem, jako że naruszenie przestrzeni powietrznej obcego państwa mogło doprowadzić do kryzysu dyplomatycznego, a nawet stać się usprawiedliwionym powodem wojny.

Z lotami samolotów rozpoznawczych radzono sobie w ten sposób, że za każdym razem, gdy Moskwa protestowała na forum ONZ, Waszyngton tłumaczył, że samolot przelatujący w poprzek ZSRS nie był maszyną szpiegowską, tylko cywilnym samolotem meteorologicznym pracującym dla dobra całej ludzkości, który doznał awarii sprzętu nawigacyjnego. Z satelitą takie tłumaczenie nie wchodziło w grę: orbita była wybierana jeszcze przed startem rakiety i żadna „pomyłka nawigacyjna" nie była możliwa.

Zbudowanie rakiety oraz satelity było tylko kwestią czasu, a opóźnienie wynikało z problemów politycznych. Amerykanie mieli rakiety przenoszące głowice jądrowe, ale nie chcieli ich użyć, były to bowiem rakiety wojskowe. Chcieli, aby satelity były wynoszone przez rakiety cywilne, żeby nie dać pretekstu Rosjanom do rozpoczęcia wojny. Amerykanie byli pewni swojej przewagi – i faktycznie ją mieli – byli więc mocno zdziwieni, gdy okazało się, że ubiegli ich Rosjanie.

4 października 1957 r. wystartowała rosyjska rakieta, która wyniosła na orbitę pierwszego sztucznego satelitę Ziemi, nazwanego Sputnikiem. W ten sposób Rosjanie rozwiązali dyplomatyczno-moralny problem Amerykanów: nie przejmowali się bowiem rozgraniczeniem przestrzeni powietrznej, a zarazem nie przejmowali się panującym w ZSRS bałaganem decyzyjnym.



Start rakiety wynoszącej amerykańskiego Explorera 1 na orbitę

FOT. NASA'S MARSHALL SPACE FLIGHT CENTER

Rakieta, która wyniosła na orbitę Sputnika, była rakietą wojskową zaprojektowaną przez Siergieja Korolowa. Była prawdziwym cudem techniki, olbrzymią maszyną zdolną do zaniesienia głowicy termojądrowej nad Amerykę. Była jednocześnie całkowicie bezużyteczna – tak duża, że można ją było wystrzelić jedynego z kosmodromu ZSRS, i tak skomplikowana, że jej przygotowanie do startu trwało tyle, iż Amerykanie zdążyliby ją zniszczyć.

Spanikowany Korolow – a jako wieloletni więzień gułagu mógł obawiać się wyroku śmierci za niezrealizowanie zadania – postanowił wykorzystać swoją rakietę do innych celów. Zamiast głowicy bojowej zamontował nadajnik radiowy w kulistej osłonie i postanowił, że będzie to pierwszy sztuczny satelita Ziemi. Na początku października dowiedział się, że Amerykanie szykują konferencję prasową na 7 października, i podejrzewając, że ogłoszą wysłanie w Kosmos własnego satelity – on również wiedział, iż amerykański program kosmiczny jest bardziej zaawansowany – wsiadł do samolotu, poleciał na kosmodrom i nakazał natychmiastowe wystrzelenie rakiety. Nie miał czasu na konsultowanie swojej decyzji z władzami państwowymi.

Przez dziurkę od klucza

Pośpieszne wystrzelenie Sputnika rozwiązało ręce Amerykanom. 1 lutego 1958 r. na orbicie znalazł się ich własny satelita – Explorer (o widowiskowej – bo transmitowanej na cały świat – eksplozji wcześniejszego o trzy miesiące satelity Vanguard woleliby zapomnieć). Wkrótce w Kosmos wysłano już nie eksperymentalne, ale operacyjne satelity obserwacyjne. Przylgnęło do nich określenie „szpiegowskie" oraz amerykańska nazwa „Key Hole", czyli dziurka od klucza.

Pierwszy w pełni udany lot orbitalny KH-1 nastąpił latem 1960 r. Problemem było odzyskiwanie materiału zwiadowczego: zdjęcia zrobione przez satelitę musiały zostać zrzucone i przejęte na Ziemi, co nie zawsze się udawało. Stopniowo jednak nabywano coraz większej wprawy, aż wreszcie… zmieniono metodę. W 1976 r. na orbicie znalazł się pierwszy satelita KH-11, który mógł przesyłać obrazy w formie cyfrowej. Do końca XX w. wystrzelono ich kilkanaście, a później zastąpiono nowocześniejszymi maszynami. Bardzo przypominają teleskop Hubble'a, tyle że skierowany w stronę Ziemi.

Nie wszystkie satelity szpiegowskie służą do robienia zdjęć. Być może ważniejsze są te, które miały meldować o ewentualnym wystrzeleniu rakiet przez Rosjan. Pierwsze z nich nosiły nazwę Midas i pojawiły się na orbicie już w 1960 r. Ich współczesne wersje określane są jako Defense Support Program – Program Wsparcia Obrony – i sprawiają, że niespodziewany atak rakietowy na Stany Zjednoczone jest niemożliwy.

Sowiecki program rozpoznania satelitarnego miał co najmniej dwuletnie opóźnienie wobec amerykańskiego: pierwszy rosyjski satelita rozpoznawczy wystartował w 1962 r. Miał również spore opóźnienie techniczne: fotografie były dużo gorszej rozdzielczości, misje były krótsze – planowano je na dni i tygodnie, a nie na lata i dziesięciolecia – a więc dużo mniej ekonomiczne. Sprzęt wymagał również obsługi przez ludzi i to właśnie dlatego w Kosmos jako pierwszy wniósł się Rosjanin Jurij Gagarin. Jego lot nie był dowodem sowieckiej przewagi technicznej, tylko czegoś wprost przeciwnego…

21 września 2022 r. do Międzynarodowej Stacji Kosmicznej zacumował rosyjski statek Sojuz MS-22. Na orbitę został wyniesiony rakietą Sojuz 2.1a. Pod tą nazwą kryje się dogłębnie zmodernizowana rakieta, którą 75 lat temu użyto do wystrzelenia Sputnika. To naprawdę był cud techniki, ale od tamtego czasu Rosja nie była już w stanie wyprodukować nowego pojazdu kosmicznego…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

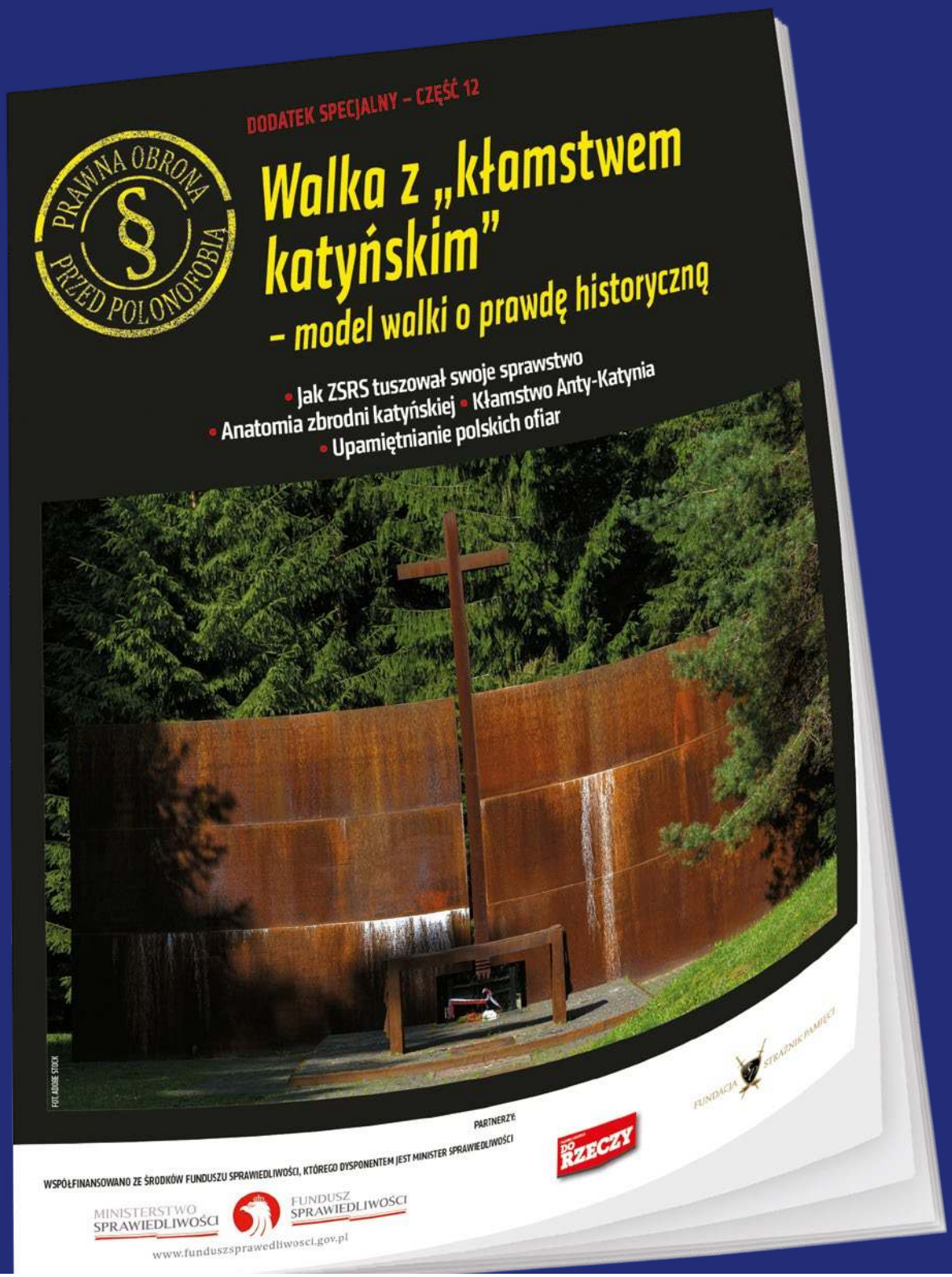
eprasa.pl c6b514a6e3

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński



eprasa.pl c6b514a6e3

Już 14 listopada w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

eprasa.pl c6b514a6e3

WYDAWNICTWO
INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

IPN

NOWOŚĆ: tom III – 60 PLN

Pakiet 3 tomów:
~~160 PLN~~ **110 PLN**



PEŁNA OFERTA NA

ksiegarniaipn.pl

Więcej na www.ipn.gov.pl
FB.com/ksiegarnia.ipn

Oferta obowiązuje w księgarniach i punktach stacjonarnych IPN do wyczerpania zapasów, nie dłużej niż do końca 2022 r.

eprasa.pl c6b514a6e3